

# HISTERIA

Wpadniesz w nią i TY

MARZEC 2016/2

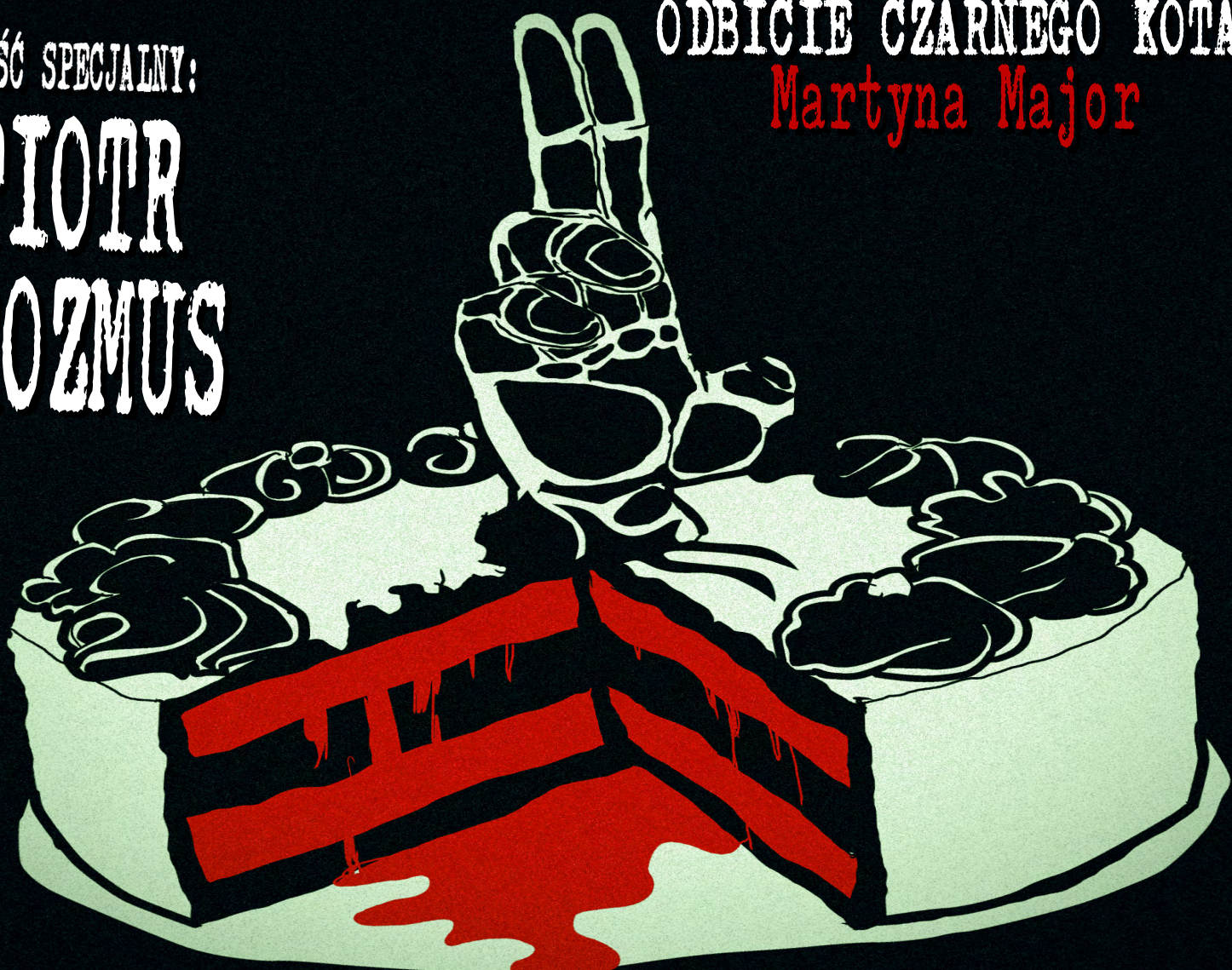
magazyn **histeria**.pl

GOŚĆ SPECJALNY:

**PIOTR  
ROZMUS**

ODBICIE CZARNEGO KOTA

**Martyna Major**



CÓRKA WETERANA | CZARNA KAWKA  
HORROR DOMU RACZYŃSKICH | KARASU  
KRWAWY ROMEO | MARTWE, MŁODE KOBIETY  
NIELUBA | NIM OPADNIE KURTyna | PIECZARA  
PIERWORODNY | PIĘKA | POWRÓT  
RĘKOPIS CMENTARNY



# SPIIS TREŚCI:

Słowo od redakcji		3
Wyznania Histeryka		4
CÓRKA WETERANA	Przemysław Karbowski	5
CZARNA KAWKA	Marek Zychła	16
HORROR DOMU RACZYŃSKICH	Paweł Cieliczko	34
KARASU	Agnieszka Barańska	49
KRWAWY ROMEO	Piotr Rozmus	60
MARTWE, MŁODE KOBIETY	Piotr Borowiec	73
NIELUBA	Martyna Konwińska	88
NIM OPADNIE KURTYNA	Piotr Borlik	94
PIECZARA	Antoni Nowakowski	104
PIERWORODNY	Anna Musiałowicz	120
PIŁKA	Jarosław Jakubowski	127
POWRÓT	Dominik Derkacz	138
RĘKOPIS CMENTARNY	Krzysztof Katkowski	147
Odbicie czarnego kota	Martyna Major	157

**Redaktorzy naczelni:** Błażej Jaworski, Maciej Zawadzki

**Projekt okładki i skład:** Roman Panasiuk

**Ilustracje:** Dawid Boldys, Czarny, Roman Panasiuk, Izabela Wojciechowska

**Korekta:** Dagmara Adwentowska, Magdalena Kucenty

email: [magazynhisteria@gmail.com](mailto:magazynhisteria@gmail.com)

Witajcie!

Przed Wami marcowo-rocznicowa Histeria! Marcowa – wiadomo dlaczego, a rocznicowa, ponieważ w tym miesiącu minęły dwa lata od wydania pierwszego numeru. Bardzo się cieszymy, że już od dwudziestu czterech miesięcy nieprzerwanie możemy dostarczać Wam solidną dawkę polskiej grozy, odkrywając i promując jednocześnie coraz to nowe talenty pisarskie.

Gościem Specjalnym trzynastej Histerii jest Piotr Rozmus. Autor „Bestii” i „Kompleksu Boga” na naszą prośbę zmierzył się z krótką formą. Efekt końcowy nosi tytuł „Krwawy Romeo”.

Wśród trzynastu opowiadań znajdziecie również trzy teksty finałowe z konkursu „A to pech” oraz uznane w drodze głosowania za najlepsze w historii naszego magazynu, czyli: „Horror domu Raczyńskich”, „Czarna Kawka” oraz „Nieluba”.

Na początek jednak wywiad z Histerykiem Miesiąca – Pawłem Cieliczko, który zdobył ten tytuł już po raz trzeci.

Na deser – artykuł Martyny Major pt.: „Odbicie czarnego kota”.

Tyle od nas. Wracamy do prac nad kolejnym numerem, żeby mieć co świętować za rok. Życzymy strasznej lektury!



B. Jaworski i M. Zawadzki

# WYZNANIA HISTERYKA



Paweł  
Cieliczko

*Absolwent historii UAM, doktor literaturoznawstwa w Instytucie Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk, pomysłodawca i redaktor almanachów: „Warszawski przewodnik literacki” oraz „Poznański przewodnik literacki”, prowadzi strony internetowe oraz profile na facebooku poświęcone tym projektom. Założyciel i prezes Fundacji na rzecz Badań Literackich, organizator wielu konferencji humanistycznych, redaktor tomów zbiorowych związanych z literaturoznawstwem.*

***Ostatnio rozmawialiśmy z Tobą jako dwukrotnym Histerykiem Miesiąca. Teraz masz na koncie już trzy takie tytuły, a dodatkowo Twój „Horror domu Raczyńskich” wygrał w głosowaniu na najlepsze opowiadanie w historii naszego magazynu. Jak się z tym czujesz?***

Jest mi z tym bardzo miło, a czuję się zaskoczony. Jest coś niezwykle, wręcz magicznego w wymyślaniu i pisaniu opowiadań i już samo konstruowanie opowieści sprawia mi ogromną frajdę, a tu jeszcze dochodzi przyjemność z tego, że już po kilku tygodniach opowiadanie przeczytać można w internetowym magazynie i – last but not least – inni ludzie to czytają i im się podoba. Dzięki wam doświadczam całej serii fantastycznych uczuć.

***Jaka jest Twoja definicja słowa „groza”?***

Groza jest w szczelinach. Groza narasta w głowie bohatera i czytelnika, tam to wszystko się dzieje. Nie są istotne atrybuty zewnętrzne, nieważne, czy „nośnikami grozy” będą tajemniczy Cthulhu, wampiry, rewolucjoniści, magowie, masoneria czy wyznawcy tajemniczych kultów. Ważne jest, by autor zawarł z czytelnikiem pakt, umowę – że wierzy w to, co znajduje się w opowieści. Swoje opowiadania staram się zawsze budować tak, by były rzetelnie osadzone w biografii bohaterów oraz związanych z nimi miejscach. Chciałbym, żeby czytelnik miał pewność, że fakty są prawdziwe, a moim wkładem jest połączenie ich w opowieść spójną narracją. Wtedy dopiero czytelnik może poczuć, czym tak naprawdę jest groza. Groza wpisana w biografie autentycznych postaci wydaje mi się najciekawsza.



***Myślałeś nad wydaniem zbioru opowiadań?***

Pierwsze opowiadanie „Horror domu Raczyńskich” opublikowane zostało na łamach Magazynu Histeria ponad rok temu, teraz zebrało ich się już dziesięć i mógłby z tego powstać zbiór opowiadań. Jednak nad ich wydaniem póki co nie myślę, wolę tworzyć kolejne historie i mieć radość z publikowania ich w Histerii. Jeśli faktycznie będą dobre, to wierzę, że pojawi się wydawca, który sam będzie chciał je wydać, a może Histeria rozwinie działalność o wydawanie książek.

***Ulubiony horror filmowy?***

„Ulubiony horror filmowy” to bardzo dziwna kategoria. Jeśli bowiem ma to być ten film, którego najbardziej się bałem, to tutaj bezkonkurencyjni wydają się Freddy Krueger oraz koszmarne laleczka Chucky, ale to wynika chyba z tego, że oglądałem je w zbyt wczesnym dzieciństwie. Jeśli zaś chodzi o film, który lubię oglądać, to jest nim „Dziecko Rosemary”. Choć w przypadku horrorów kategoria „lubię oglądać” wydaje się dość niestosowna i dobry horror to chyba taki film, którego nie chce się już drugi raz obejrzeć.

***Czego chciałbyś życzyć Histerii na jej 2. urodziny?***

Coraz lepszych opowiadań, ciekawych autorek i autorów, coraz liczniejszej grupy czytelniczek i czytelników. Widzę, że Magazyn Histeria się rozwija, wykupił domenę internetową na kolejny rok. Ja jestem jednak przedstawicielem nieco analogowego pokolenia, więc nie będę życzył Histerii, by wychodziła w wersji 5D i dostępna była na wszelkich nośnikach, ale żeby znalazła partnera, które sprawi, że Magazyn Histeria dostępne będą także w wersji papierowej. Wierzę, że najpełniejszy kontakt z literaturą, a literaturą grozy w szczególności, ma czytelnik papierowej książki. Tylko on, kiedy historia zbyt go przerazi, może rzucić książką, by oddalić od siebie potwory wylaniające się z mroku czarnych liter. Bo jak tu rzucać czytnikiem czy tabletem?





rys. Dawid Boldys

# CÓRKA WETERANA

Przemysław Karbowski

Kusunga płonął wraz z zarzuconą mu na szyję oponą. Nie wrzeszczał, nie usiłował zrzucić „naszyjnika”. Stał i płonął.

Sierżant Mgane obudził się i poczuł benzynę. Śnił ten sam sen po wielokroć, nigdy nie obudził się po nim z krzykiem, nigdy nie zerwał się z łóżka złany potem, nigdy też koszmar nie dostarczył mu wrażeń zapachowych. Dzisiaj pierwszy raz. Właściwie, czy to aby na pewno był koszmar? Chyba nie. Mgane o śmierci Kusungi dowiedział się od dawnych towarzyszy broni. Wątpliwe, aby mieli interes w tym, żeby ubarwić męczeństwo porucznika.

Przekazali, poinformowali. Wiedzieli, że Mgane nie jest już zdolny do zemsty na komunistach; że żadne opowieści nie wyzwolą w nim chęci powrotu do walki. Że nie dołączy do kolegów ani w Mozambiku, ani w Sierra Leone. Nigdzie.

Chociaż równie dobrze członkowie Włóczni Narodu mogli dopaść Kusungę i zastrzelić pod płotem. Zarąbać maczetą albo zatłuc kijem. A nie zadawać sobie trud znalezienia opony, marnowania paliwa i zapalek... Widocznie uznali, że porucznik Kusunga zasłużył na coś spektakularnego.

Przeklęta benzyna cały czas śmierdziała...

– Dziecko! – jęknął Mgane i odciągnął Emmę od otwartego kanistra. Zabrał dziewczynce korek i zakręcił plastikowy pojemnik. – Dlaczego wujek nie wyniósł tego główna do garażu?

– Wujek poszedł do kościoła. – Emma podała ojcu rękę i oboje wyszli z tonącej w półmroku izby na podwórze.

*Czyli nawalony leży pod barem, pomyślał gorzko Jonathan Mgane. Taki to kościół, do którego chodzi. Właściwie czemu ja jeszcze do tej pory nie wpadłem w pijaństwo? Kopnięty w dupę sługus reżimu, żona odeszła, córka choruje... Bieda i smród, a ja jestem trzeźwy? Jak to możliwe?*

– Posmarowałaś oczy?

– Tak, tatusiu.

– Serduszko cię nie boli?

– Nie, tatusiu.

*Dlaczego chore dziecko jest tak przerażająco dojrzałe psychicznie? Dlaczego jest takie poważne? Dlaczego dziewięciolatka na pytanie o samopoczucie odpowiada jak oskarżony przed ławą przysięgłych?*

– Tatusiu... – Emma potarła zaczerwienione powieki. – Ja się wczoraj pomodliłam za kota i on dzisiaj zdechł...

– Pewnie zeżarł szczura razem z ogonem. Znajdę ci nowego.

\*\*\*

Hofwegen nieśpiesznie manewrował toyotą po uliczkach Pomfret. Podróż z Pretorii tak go rozleniwiła, że gdyby mógł, najchętniej nie zmieniałby biegów. Niestety, w cholernej wersji 22R dla mieszkańców Afryki nie było innej możliwości; to nie Stany, gdzie jeżdżą



podobno same automaty. *Wszyscy sobie ułatwiają życie*, myślał Hofwegen. *Dołączyłby człowiek do wszystkich, ale nie wychodzi. Zawsze coś...*

Zapuszczone miasteczko miało jedną pozytywną cechę – regularną zabudowę na planie prostokąta. Główną ulicę przecinało około trzydzieści przecznic, a Hofwegen wjeżdżał już bodaj w piętnastą, bo indagowani o dom Jonathana Mgane mieszkańcy twierdzili, że stoi w następnej uliczce. Albo celowo wprowadzali w błąd białego człowieka.

– Jak łazisz, dupku! – ryknął Hofwegen na pijaka, który nie wiadomo skąd wytoczył się przed maskę samochodu. Siwy Murzyn wybełkotał kilka wulgarnych słów i dość szybko, jak na nietrzeźwego, pozbierał się z zapiaszczonej drogi. Przy tak nikłej prędkości auta, pod które wleciał, nawet nic sobie nie połamał albo nie poczuł w alkoholowym oszołomieniu.

– Następnym razem rozjadę jak psa!

\*\*\*

– Co napiszemy na nagrobku? – spytała Emma. – Zmarł dwunastego lutego 1993 roku. Nie wiem, kiedy się urodził...

– Może tylko, że tu spoczywa Tygrys? – Mgane skończył wynosić kanistry do garażu. Skąd je ukradł jego ukochany szwagierek? Jak spienięży, to będzie miał na półtora miesiąca chlania albo i więcej.

– Może... Rano modliłam się za wujka. A jak on też umrze?

– Nic mu nie będzie. Jest dobrze zakonserwowany.

Emma pytająco spojrzała na ojca, ale Mgane nie rozwinął myśli. Związał na krzyż dwa patyki i zatknął w małym kopczyku.

Na podwórze wjechał szary pickup. Jonathan odruchowo sięgnął do kabury, ale przecież nie miał ani kabury ani pistoletu.

– Córeczko, idź do domu, posmaruj oczy i się pobaw. I nie wychodź. I nie módl się za mnie.

Dziecko zniknęło w drzwiach rudery.

Z toyoty wysiadł mężczyzna, który mógłby służyć za żywy eksponat na wystawie modelowych Afrykanerów. Piegi, cofnięte w głąb czaszki oczy, wystające kości policzkowe i odstające uszy.

– Na ramię broń, sierżancie Mgane! – zażartował Hofwegen.

– Odpierdol się, bo wezwę policję – Johnatan też zażartował, ale zachichotał tylko biały gość. Uścisnęli sobie ręce. Krótko, zdawkowo.

– Wciąż wykuwasz się w boju? – Hofwegen uśmiechał się ironicznie, omiatając spojrzeniem koszulę sierżanta z naszytym emblematem trzydziestego drugiego Batalionu: głową bawołu i napisem „Proelio procusi”.

– Nie. – Mgane podsunął Afrykanerowi skrzynkę i gestem zaprosił go, by usiadł. – Po prostu nie stać mnie na cywilne łąchy.

– Nikt ci jeszcze nie napluł na ten mundur?

– Jeden napluł. – Sierżant rozsiadł się na drugiej skrzynce. – Pluć może do dzisiaj, nie może natomiast strzykać śliną przez zęby. Z chodzeniem też ma problemy. Podobno. Reszta nie pluje.

– Rozumiem...

\*\*\*

Mark Mazibuko mówił po angielsku całkiem płynnie, ale przekleństwa wtrącał w języku ndebele. Błyskał żółtymi od papierosów zębami, choć kontrast z czarną skórą sprawiał wrażenie, że uzębienie ma niemal śnieżnobiałe. Wiceminister Bruwer zwrócił na to uwagę. Bodaj pierwszy raz z tak bliska widział Murzyna.

– Nie zgadzamy się na czarnoskórego! – Mazibuko stukał zapalniczką w stół. – Uważamy, że to jest bez sensu!

– Wręcz przeciwnie – zaproponował Webster, wydelegowany na to niecodzienne spotkanie przez Biuro Bezpieczeństwa Narodowego. – Poza tym już wdrożyliśmy procedurę. Badamy temat. Jonathan Mgane nadaje się jak nikt inny. Weteran z Angoli, nasz wierny kundel z trzydziestego drugiego Batalionu, pacyfikował demonstracje z waszym udziałem, czego chcieć więcej? Poza tym medialnie będzie to wyglądało bardzo dobrze. Kontynuował krucjatę przeciw komunie, i tak dalej...

Czwarty uczestnik konwentyklu, chudy Zulus w przydużym garniturze, parsknął śmiechem znad teczek z aktami.

– Kontynuował... – powtórzył. – Krucjatę... Wyście się mamie udali, komisarzu Webster. Wziął odprawę, wegetuje z chorą córką i zapijaczonym szwagrem w Pomfret, wdycha azbest i nie dał się wyciągnąć na żadną akcję z udziałem byłych członków trzydziestego drugiego Batalionu. Stoi jak byk w tych waszych papierach: „niezdolny do ponownego wykorzystania operacyjnego”. Śmiechu warte...

– Panie Thulani. – Webster skrzywił się niesympatycznie. – Proszę nieco zmienić ton. Jeszcze nie rządzącie...



– A wy już nie rządzą. – Zulus zamknął teczkę. – To się nazywa bezkrólewie. A zebraliśmy się, żeby ustalić, kto królem być nie może. Zmiana tonu nie ma tu nic do rzeczy.

Wiceminister Bruwer odkaszlnął, chcąc zwrócić na siebie uwagę. Czuł się pominięty w tej wymianie zdań.

– Wciąż nie mamy potwierdzenia, że Mandela plan zaakceptował – zauważył.

– I nie będziecie go mieli. – Mazibuko zapalił papierosa. – Nie jest moją rolą potwierdzać cokolwiek.

Ciszę, która zapadła, zakłócał tylko szum wirującego na suficie wiatraka. Dwóch białych i dwóch czarnych nieufnie mierzyło się wzrokiem w sali konferencyjnej pretoryjskiego biurowca.

\*\*\*

Kurt Hofwegen wachlował się gazetą i popijał colę. Zaszło mu w gardle. Dawno tyle się nie nagadał. Mgane wgąbił się w skromny grób kota.

– Odpowiedź brzmi nie – powiedział stanowczo. – Nie chcę.

– A ze względu na pamięć Kusungi? – Biały użył ostatniego argumentu z dość skromnego arsenału.

– Cóż to znaczy? Porucznik Kusunga uratował mi życie, to prawda. Ale to wy powinniście byli uratować jego. Powinniście byli go chronić.

– Robiliśmy, co mogliśmy...

– Nie byłbym tego taki pewny... Kapitanie, posłuchaj sam siebie. Poupychaliście nas w jakichś zapomnianych przez Boga zakątkach, gdzie zdychamy sobie, jak tu, w Pomfret. Obiecywaliście fundusze emerytalne, a gównem z tego wyszło. Kto miał siły, uciekł by walczyć, ale jak ma walczyć ktoś, kto nie ma obu nóg? Kapral Nkuna, mówi ci to coś? Bohater spod Savate. Mieszka w następnej uliczce. Udaj się do niego i zaproponuj mu interes życia.

– Ty masz obie nogi...

– I bardzo chore dziecko. Myślisz, że jak rozdawano nam te domki, to my wiedzieliśmy, że kiedyś tu była kopalnia azbestu? Emmę ciągle bolą oczy i serce, cały czas męczą ją infekcje, a płuca ma już praktycznie do wyrzucenia. A ja nie mam siły i pieniędzy, żeby ją stąd zabrać. Bo niby gdzie? Do Mozambiku? Nosić ją na plecach w buszu, żeby podawała mi magazynki? Kapitanie!

– Wiesz co? – Hofwegen łyknął coli. – Mi się zdaje, że ty chcesz po prostu, żeby to dziecko umarło. Abyś mógł potem odnaleźć byłą żonę i powiedzieć jej: „zobacz, głupia kurwo, co narobiłaś!”

Mgane zacisnął pięści.

– Kiedyś za te słowa bym cię zabił – wyszeptał. – Gołymi rękami. A potem poćwiartował. Widzisz? Nie jestem już zdolny do niczego.

– Przepraszam...

– Niepotrzebnie... Nieszczercze... A to brat mojej żony, poznajcie się.

Na podwórko wtoczył się siwy mężczyzna, przytrzymując obolałe udo. Zionął alkoholem i klął szpetnie.

Hofwegen zmrużył oczy.

– My się już znamy...

\*\*\*

Chwilowa przerwa w dostawie prądu wyhamowała obroty wentylatora. Komisarz Webster wmawiał sobie, że to dlatego spociał się ponad swoje zwykłe możliwości. Chociaż pot lał mu się po plecach, zanim Thulani z Mazibuko opuścili salę. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek był tak bezsilny.

– Dwa lata temu nakarmiłbym nimi psy... – westchnął, sprawdzając włącznik wiatraka. – A za tydzień dostanę na piśmie służbowe polecenie uśmiechania się do nich...

– Co też pan opowiada? – obruszył się Bruwer. – Międzynarodowa presja jest już za silna. Ustąpimy, zachowamy wpływy...

– Wpływy na co? To będzie rzeźnia, proszę pana. Rzeźnia i zemsta.

– Dlatego negocjujemy odstrzał radykałów. Oni to wiedzą tak samo dobrze jak i my. Myśli pan, że ONZ ich pogłaska, jak zaprezentują stopy trupów białych ludzi?

– Myślę, że ONZ ma głęboko w dupie stopy trupów o dowolnym kolorze skóry...

\*\*\*

Emma wybiegła z mieszkalnej budy i przytuliła się do pijanego wuja, który w jednej chwili utracił swój pijacko-chamski anturaż.

– Modliłaś się za mnie? – Szwagier Jonathana starał się nie chuchać na dziewczynkę.  
– Bo wpadłem pod auto...



– Przepraszam... – Dziecko pocierało załzawione oczy. – Muszę przestać się modlić... Wszystko wychodzi na odwrót... Jak było w kościele?

– Tak samo jak zawsze. – Pijak wyprostował się z trudem i ruszył do drzwi domostwa. Hofwegena i Mgane nie zaszczylił nawet spojrzeniem.

– Potrąciłeś go? – zapytał białego sierżant.

– Bez wielkiej szkody, jak widać. O czym to mówiliśmy?

– Że wracasz do Pretorii z niczym.

– Na pewno?

– Na pewno.

– Przykro mi...

– Bo się zaraz rozplącę... Mi też jest przykro, że mój dawny dowódca nie jest ze mną szczery. Zmieniłeś się, kapitanie. W Angoli i Namibii mieliśmy do ciebie wielki szacunek, rasa nie grała roli. Wspólnie strzelaliśmy do czarnych, do Rosjan, do Kubańczyków... Na wojnie walczyliśmy ramię w ramię, ale ty już nie jesteś wojskowym. Zostałeś urzędnikiem, który od przełożonych dostał polecenie znalezienia głupiego czarnucha, który zastrzeli innego czarnucha. Wiesz dobrze, że zostałembym kozłem ofiarnym. Nie ochroniliście niemal równego ci stopniem Kusungi, a ochronicie sierżanta Mgane?

Hofwegen dopił colę.

– Rozsądny Murzyn... – pokiwał głową. – Wiesz, że większość moich znajomych uznałaby cię za bardzo dziwne zjawisko?

– Wiem... Powtarzaliby, że czarni są głupszy, bo przez tysiące lat przygrzewało im w mózgownice afrykańskie słońce. Coś w tym jest. Wy siedzicie tu raptem kilka wieków z okładem i wiele można o was powiedzieć, tylko nie to, że zmądrzeliście... Pisziesz jeszcze te okropne wierszydła?

Afrykaner roześmiał się mimo fiaska swojej misji.

– Czasem, jak już odnoszę wrażenie, że od słońca zgłupiałem do reszty. Ładna fraza. Zacytuję cię w ministerstwie. Nastaly czasy, że można już zacząć takie dowcipy opowiadać. Jadę na komisariat zadzwonić do zwierzchników.

– Podrzucić nas do lekarza, to zaraz obok posterunku. Muszę kupić Emmie leki.

Zakłopotany Hofwegen przez moment się zawahał, ale sięgnął do portfela.

– Nie krępuj się – zachęcił kapitana Mgane. – Niech wiem, że stać was chociaż na doraźną pomoc.

– Nas?

– No, dobra... ciebie. Ciebie, w dupę jebany biały towarzyszu broni, z wojny przegranej zanim się zaczęła...

\*\*\*

Telefony w Biurze Bezpieczeństwa Narodowego urywały się, a wszystkie paradoksalnie też dotyczyły telefonu. Tego jedyne, na który czekał komisarz Webster.

– Nie mam jeszcze żadnej wiadomości od kapitana Hofwegena. – Webster sam już dobrze nie wiedział, komu po raz kolejny się tłumaczy. Koszula lepiła mu się do pleców, a ból głowy wzrastał wprost proporcjonalnie do ciśnienia. Komisarz upewnił się, że jego rozmówca już się rozłączył i wściekły, rzucił słuchawkę na biurko. Zastępca Webstera spojrzał pytająco na pąsowego z furii przełożonego.

– Powiedział... – wycharczał komisarz. – Ten skurwysyn powiedział, że Mark Mazibuko na moim miejscu poradzi sobie lepiej...

\*\*\*

– Jest bardzo religijna – opowiadał Mgane Hofwegeniowi, zerkając na tylne siedzenie, gdzie drzemała Emma. – Tylko jakoś dziwnie wszystko się plecie wbrew jej intencjom. A to pomodli się, żebyśmy zawsze byli razem, a za dwa tygodnie moja żona odjeżdża w siną dal z jakimś palantem. Za kota się pomodliła, a ten zdechł... Ja wiem, że to przypadki, ale co ma myśleć dziecko?

– No tak... – Kapitan skrzył zgodnie z tabliczką z napisem „POLICJA”. – Jeszcze ten twój szwagier, który mi na maskę wskoczył...

– Właśnie... To tutaj. Poczekaj na mnie, kupię lekarstwa, a potem my poczekamy na ciebie. Nie będę jej budził, przecież nas później odwiedzisz?

– Jasne.

Jonathan Mgane zniknął za drzwiami lecznicy, a Kurt Hofwegen zawstydział się dzisiaj po raz kolejny. Przecież mógłbym mu to dziecko porwać... i zmusić do wszystkiego... Jest taki głupi czy ufny i naiwny?

Emma ocknęła się i zaczęła na przemian ziewać i pokaszliwać.

– Gdzie tatuś? – spytała zaniepokojona.

– Zaraz wróci. – Afrykaner wyciągnął ze schowka gazetę i podał ją dziewczynce. – Wiesz co, moja mała? Pomódl się za tego pana na pierwszej stronie.

– Chris Hani – przeliterowała Emma, wpatrując się w okrągłą twarz z umieszczonej na łamach fotografii. – Kto to?

– Nieważne. Ważne, że prosi o modlitwę.

Mgane z paczką medykamentów opuścił przychodnię i wszedł do toyoty.

– Dałem ci szansę, kapitanie – wycedził głucho.

– O czym ty mówisz? Jaką szansę?

– Szansę na lepsze życie dla tego dziecka...

– Uspokój się! – syknął Hofwegen. – Ona nie śpi.

Sierżant spojrział na córkę, która z zainteresowaniem przeglądała gazetę.

– Wsiadaj! – Szturchnął zdziwionego białego. – Mam propozycję.

\*\*\*

Webster z przyciśniętą do ucha słuchawką zapamiętanie notował wyimki z rozmowy, którą od kwadransa toczył. Wiceminister Bruwer pofatygował się do niego osobiście i teraz wlepił wzrok w komisarza, który automatycznie przytakiwał będącemu na drugim końcu łącza kapitanowi Hofwegenowi.

Spocony urzędnik zapisał numer telefonu komisariatu w Pomfret i rozłączył się.

– Mgane wstępnie się zgodził. Mamy dwie godziny na rozważenie jego żądań...

– Taki konkretny? – zdziwił się Bruwer. – Czego chce?

– Przeszczepu płuc dla swojej córki...

– Czego? – Wiceminister osłupiał. – Pan słyszał, żeby przeszczepiano płuca?

– Nie. Ale podobno w Wiedniu robią to od czterech lat...

Oficjel nie dowierzał i kręcił głową na wszystkie strony.

– Skąd czarny na zasranym zadupiu ma takie informacje?

– Sam chciałbym wiedzieć. – Wzruszył ramionami Webster. – Dwie godziny...

\*\*\*

Miejscowi policjanci nadszali Hofwegenowi, jakby był co najmniej wizytatorem komisariatów na całą prowincję. Bez szemrania wynieśli przed schody budynku parasol, pod którym od słońca schronili się i kapitan, i Mgane, i Emma. Na prośbę o oranzadę też zareagowali zupełnie prawidłowo. Przynieśli, i to schłodzoną.



– Nie mać dziecku w głowie. – Jonathan zabrał szepczącej modlitwy córce gazetę i oddał Hofwegenowi. – I bez tego ma o czym myśleć.

– Ta banda w Pretorii też...

\*\*\*

Wiceminister Bruwer wiedział wszystko już po godzinie.

– Nie ma na to najmniejszych szans. – Rozłożył ręce, patrząc w okno. – Za te pieniądze to mógłbym od ręki wynająć ludzi do zabicia Clintona i Jelcyna, a co dopiero jakiegoś lokalnego komucha. Jeszcze by forszy zostało na Mandelę i Slovo... Takiego budżetu nie mamy.

– Tak przeczuwałem. – Komisarz łyknął zimnej kawy. – Swoją drogą, cenią się te wiedeńskie konowały...

– Fakt. Zresztą, dostałem informację od Mazibuko i Thulaniego. Absolutnie nie może być to czarny. Wdrażamy plan „B”.

Webster wyciągnął z biurka zieloną teczkę i zaczął wyklądać na blat jej zawartość. Wiceminister przyjrzał się mężczyźnie pozującemu na niewielkim zdjęciu.

– Na miejscowego to on nie wygląda – zauważył.

– Bo to Polak...

\*\*\*

– Nie zgodzili się. – Kapitan Hofwegen patrzył w oczy dawnego podkomendnego.

– Trudno... Zawieź nas do domu. Będziemy czekać.

– Na co?

– Na podpaloną oponę na mojej szyi. Na śmierć Emmy. Na łaskę w Trójcy Świętej Jedyne...

\*\*\*

Przedmieścia Boksburga tonęły w promieniach słońca. Ciemnoskóry, pucułowaty mężczyzna wysiadł z auta na ulicę. Przez chwilę szukał kluczy do domu.

– Panie Hani!

Zawołany odwrócił się. Padł strzał, potem drugi. Do leżącego napastnik strzelił jeszcze dwa razy.

Słońce beztrząsco świeciło, a na chodniku od kul umierał Chris Hani – przywódca Południowoafrykańskiej Partii Komunistycznej, bojownik o wolność i równość, zacządzony Marksem i Leninem czarnuch, nadzieja na nowe jutro dla prześladowanych Murzynów, wyszkolony w Związku Sowieckim zbrodniarz, bohater narodowy, specjalista od zarzucania wrogom na szyję podpalonych opon, prawy człowiek i idealista, krwawy oprawca, marzyciel.

Nad trupem Haniego stał z pistoletem Janusz Waluś – wierny członek Partii Narodowej, dumny Polaczek, młot na komunistów, niezrównoważony rasista, mistrz Polski w rajdach samochodowych, bestialski zabójca, dumny syn białej rasy, morderca bezbronnego, człowiek honoru, tchórz, bohater walki z komuną.

I wszystkie telewizje nadawały tylko o tym, i groza tego wydarzenia rujnowała dobre samopoczucie widzów, i był płacz i zgrzytanie zębami.

A w zapadłym Pomfret cienkie włókna azbestowe pruły płuca małej Emmy Mgane, płuca te trzeszczały i zwłókniane, hodowały międzybłoniaka opłucnej, który miał to dziecko zabić w strasznych męczarniach.

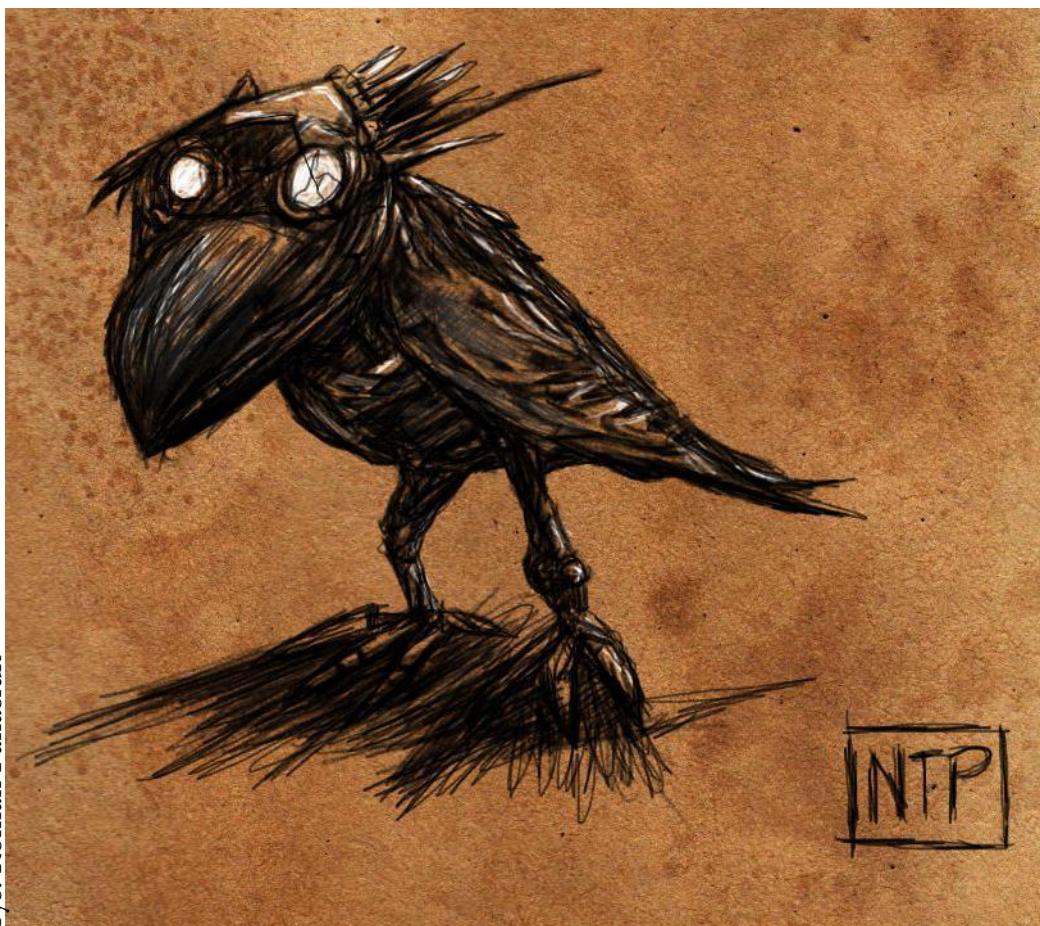
I nikt się tą grozą nie przejął, bo przeważnie nikt nie przejmuje się grozą, która stoi na każdym rogu i za każdym rogiem się czai.

Niespełniony literat – kapitan Kurt Hofwegen – usiłował ubrać w słowa myśl o grozie powszedniej i przelać ją na papier. Wyszło mu:

*Ta kurwa ma na imię Codziennosc. Usługi świadczy kiepskie, ale płacimy jej jak luksusowej prostytutce.*

Było to tak słabe, że omal się nie roześmiał.

rys. Roman Panasiuk



# CZARNA KAWKA

Marek Zychla

Nastolatek wyłączył gaz pod garnkiem z rosółem, po czym krzyknął w stronę przedpokoju:

– Obiad!

Po chwili w kuchni pojawił się wyraźnie pobudzony młody mężczyzna.

– Dawaj, bo pędzę na trening! – krzyknął od progu.

Wyciągnął z szuflady łyżkę, wrzucił do talerza garść makaronu i nalał do niego zupę. Jadł szybko, łapczywie, co jakiś czas wycierając brodę w kuchenną ścierkę.

– Jesz jak świnia – odezwał się młodszy.

– Nie każdy śmiga do liceum. Wybacz barbarzyńcy bez szkoły, który uprawia seks...

– Odpuść. Jedz.

Pusty talerz wylądował w zlewie, balansując na krawędzi stłuczenia. Mężczyzna oblizał dokładnie łyżkę, rzucił ją na blat, i klepnął chłopaka w plecy.

– Muskulatura, brachu! – ryknął.

– Idź już, dobra? Sam będziesz sobie obiadki odgrzewał, kiedy o tobie zapomnę.

– Powiedz lepiej, braciak, czy ładne pierwszoklasistki macie.

– Setki – zaśmiał się chłopak. – I wszystkie lecą na hydraulików.

– Zdziwiłbyś się.

Trzasnęły drzwi napędzone przeciągiem.

Nie ma za co, pomyślał licealista. Włączył stare, kuchenne radio Jowita, które tak bardzo lubiła mama, i wziął się za zmywanie. Talerz brata wyglądał na czysty, lecz i tak wypłukał go dla pewności. Złościło go, że nie może się powstrzymać przed robieniem czegoś tak głupiego.

– *Black, black, black, black, black, black, black, I go back to, I go back to...* – zaśpiewała Amy Winehouse, z którą zgadzał się w stu procentach.

– Przecież on nawet nie istnieje – westchnął, odrywając się od piosenki. – Nigdy nie miałem rodzeństwa.

Pomyślał o nadchodzącej maturze, o uroczej, milczącej Kasi, która siedzi przed nim na majcy oraz o drobnej Ani, uwielbiającej jazdę na rowerze. Z pierwszą chodził na cudowne randki, w drugiej wciąż bał się zakochać.

– Nie pasujecie do mojego świata – szepnął.

Sięgnął po najmniej ubrudzoną ze ścierek, powąchał kratkowany materiał, skrzywił się z obrzydzeniem i szybko wytarł w niego rozgrzane ręce. Zamierzał wyłączyć radio i pójść do pokoju, kiedy jego uwagę przykuło delikatne stukanie w okienną szybę.

Na parapecie podskakiwała kawka. Ni to wesoło, ni smutno. Ptak próbował wepchnąć ciekawski łepkę w szczelinę niedomkniętego okna. Wyglądał komicznie i przyjacielsko.

Chłopak podszedł bliżej, starając się nie spłoszyć niewielkiego gościa. Ojciec opowiadał mu o niesamowitej wręcz towarzyskości tych z wyglądu ponurych ptaków. Chłopak cmokał, sięgając do chlebaka po okruszki. Miał nadzieję, że to się dzieje naprawdę.

A może woli żreć robale albo owoce? – pomyślał.

Odsunął firankę, klnąc w duchu na przerdzewiałe żabki i stare, przypominające tory kolejowe, szyny karnisza. Kawka przyglądała mu się, łypiąc raz lewym, raz prawym okiem.

– Śmieszna jesteś – szepnął, uchylając szerzej okno.



Ptaszek odskoczył na koniec parapetu. Począł, aż okruszki wylądują na blasze. Chłopak kątem oka dostrzegł jakiegoś pijaczka, który przyglądał się im z uwagą. Nastolatek cofnął się o krok, nie chcąc stresować kawki. Sporo okruszków zostawił po swojej stronie okna, by zachęcić ptaka do odwiedzin. Co jakiś czas pogwizdywał cicho.

Kawka zajęła się chlebem, uderzając rytmicznie dziobem w blachę. Chłopak przyglądał się jej uważnie. Spodobała mu się czarna czapeczka na popielatej głowie i białe oczka, których kolor powoli ulegał zmianie. Niepokoił go zaś ten mężczyzna z podwórka. Wyglądał znajomo, a jednocześnie wzbudzał coś na kształt odrazy.

– Ja bym jej nie karmił! – usłyszał wykrzywane z dołu. *Kawka obesrana*. – Dosłownie poczuł, że czyta pijaczkowi w myślach. – *Niczym to obesrane życie!*

Postanowił zlekceważyć żula. Odprowadził mężczyznę wzrokiem, po czym wrócił spojrzeniem na parapet.

– Co jest? – jęknął, wyrwany z zamyślenia. Patrzył, jak róż z czerwienią wpływają w niewielkie tęczęwki ptaka.

– Cześć, Kosma – zaskrzeczała kawka.

Chłopak odskoczył, przewrócił się, po czym zaczął histerycznie krzyżeć.

– Wpuść mnie, bo sama wejde.

Nastolatek wrzasnął i zamilkł. Zemdlał.

– *I died a hundred times, You go back to her, and I go back to black*. – Amy Winehouse dośpiewała piosenkę do końca.

Ptak dziobem uderzył w radio – bezdźwięcznie, jakby któregoś z nich tam nie było.

\*\*\*

– Dawaj z nami! – Dwaj mężczyźni wynurzyli się zza śmietnikowej wiaty chwiejnym krokiem. – Chodź, Jurek! Pójdziemy po Staszka! – Te zachrypnięte głosy dotarły i do uszu chłopca. Tak wyraźnie, jakby sam stał na podwórku.

– Dogonię was – odpowiedział zagadnięty mężczyzna, na co jeden z żuli machnął brudną ręką.

Jerzy Turpiński stał przy piaskownicy, zadzierając niegoloną od tygodnia twarz. Wpatrywał się w jeden z czterech tworzących betonowy prostokąt bloków, w malutkie okno w samym środku szerokiej linii najwyższego piętra. Wpatrywał się w Kosmę.

– Ja bym jej nie karmił! – Zaśmiał się, wziął głęboki oddech i podążył za kompanami od taniego wina. W myślach narzekał na życie.

Kosmie zdawało się, że poczuł zapach alkoholu. Trochę wbrew sobie spojrzął w stronę mężczyzny. Jego wzrok zatrzymał się na nieskazitelnie czystych butach; po chwili powędrował w stronę spodni, z których, pomimo niemal pewnej dekady intensywnego używania, nie zniknął kant. Chłopak mógłby się założyć, że zaledwie przed chwilą widział na nich plamy wyschniętego błota.

Obesraniec, pomyślał, choć nigdy nie używał takich słów.

Zastanawiał się, czy przypadkiem nie powiedział tego na głos. Ostatnio robił to coraz częściej, co bardzo niepokoiło mamę.

I wtedy zajrzał kawce w przekrwione oczy.

\*\*\*

Do kuchni wrócił po kwadransie, po ochłonięciu na zimnej klatce schodowej.

– Wariuję – szepnął, otwierając oszklone drzwi. Jej nie ma. Nie może być. Tak mówią...

W rękę ścisnął ciężki roboczy but, znaleziony pod wieszakiem z kurtkami. W sercu czuł strach, w ciele determinację, by rozprawić się z – miał nadzieję – przywidzeniem.

W żółwym tempie pokonał niepełne trzy metry linoleum. Parapet świecił pustkami, częstując wiatr okruszkami chleba. Kosma otworzył szeroko okno, wypatrywał ptaka na sąsiednich parapetach.

Podwórko tętniło osiedlowym życiem, pełnym tragedii, plotek i alkoholu. Na niebie czerniały jaskółki, ziemię szpeciły psie kupy. Zamknął okno. Spojrzął na radio, które migąło niczym zepsuty hologram. Wzdrygnął się.

– Żegnaj, ptaszku – westchnął.

– *We only said goodbye with words* – w odpowiedzi usłyszał zawodzenie Amy.

Długo nie mógł się uspokoić.

\*\*\*

– Jak było w szkole? – zapytał tata przy piątkowym obiedzie. – Przygotowują was do matury? Cisną? Straszą?

Kosma wymruczał zdawkowe okej, przeżuując kapustę z gołąbka.

– Nie matura, a chęć szczerą! – Zaśmiał się starszy brat i beknął. – Wykształciuchy!

– Krzysiek! – skarcił go ojciec. – Jak nie chcesz, to nie musisz z nami mieszkać.

– Zaraz mi powiesz, że się do niczego nie dokładam, jestem prostakiem, któremu tylko

wóda i panienki w głowie.

Starszy z mężczyzn złożył gazetę, za którą chował się od lat.

– Jeszcze jedno zdanie i możesz sobie szukać kawalerki albo miejsca na dworcowych schodach!

Hydraulik zawahał się, lecz wygodnictwo zwyciężyło. Rozłożył ramiona teatralnym gestem, po czym zabrał się za kolejnego gołąbka. Polał go grubą warstwą keczupu. Twarz ojca ponownie zniknęła za gazetową maską.

Kosma westchnął. Czasami miał serdecznie dość brata i jego głupich odzywek.

– Nie usłyszałem przeprosin. – Ojciec nie dawał za wygraną. Widelec Krzyska wylądował na talerzu. W uszach Kosmy zabrzmiał jak uderzenie w dzwon.

– Nie kłóćmy się przy stole – szepnął licealista. – Nie przy stole. Proszę.

Mama spojrzała na niego ze smutkiem. Milczała.

Powiedziałem to na głos? – pomyślał, wściekły na siebie. Tymczasem Krzysiek włączył telewizor.

– Słyszałeś o „Matrixie”? – zagadał do brata. – Trzeba się będzie bujnąć do kina. Tato? – Trącił gazetę, zza której wyłoniła się naburmuszona twarz. – Macie jeszcze w firmie te darmowe bilety?

– A pensje wam w „El-Delcie” wstrzymali?

Krzysiek mruknął coś pod nosem i skupił się na emitowanej w Polsacie „Interwencji”.

– „El-Delta” – powtórzył zamyślony Kosma. Zebrał talerze i wyniósł je do kuchni. *Obesrana „El-Delta”.*

Zerknął na parapet. Czarna kawka pojawiała się i znikła, podobnie do „Jowity”. Ten sam soulowy głos zaciął się na fragmencie piosenki „Rehab”: *I just ooh I just need a friend... I just ooh I just need a friend... I just...* – W kółko, chociaż Kosma nie znosił tego chorego kawałka.

I tak od paru dni. Muzyka z „Jowity” płynęła nieustannie, czasem głośniejsz, najczęściej ciszej. Kawka za to zwykle migiała, niekiedy śnieżyła jak monitor bez sygnału, wgapiając się w niego przekrwionymi oczami. Często coś dziwnego mówiła. Pojedyncze słowa, wulgaryzmy, sprośności.

– Kasia, Ania, Kasia, suka – skrzeczała dzisiaj, stukając dziobem w szybkę. – Kasia odejdzie, wiesz?

Do kuchni weszła mama i zabrała się za mycie naczyń.

– Kasia, Ania, mama, suki trzy. – Kawka przez chwilę mówiła nawet donośniej, by wreszcie zamilknąć i zniknąć. Skrzekliwy śmiech Amy Winehouse popłynął z głośników.

Kosma zbladł. Wstydził się za to ptaszysko, nawet jeśli tylko on mógł je widzieć.

– Wszystko dobrze, synku? – Kobieta uśmiechnęła się do niego. – Dajesz sobie radę... w szkole? Dajesz sobie radę w szkole? Dajesz sobie... – do soulowego rytmu powtarzała ostatnie zdanie, a przynajmniej tak to teraz słyszał.

Chłopak przyzwyczył się już do powtórzeń. Odwzajemnił uśmiech i zamknął się w swoim pokoju. Zasłonił okno, starając się nie zwracać uwagi na irytujące stukanie w parapet. Głos matki powoli cichnął.

Kosma potrzebował pomocy. Innej niż ta, którą mu oferowali.

\*\*\*

Wgapienie się w klatkę schodową nie należy do najciekawszych zajęć, lecz wyglądało na to, że Turpiński i tak nie miał nic lepszego do roboty. Siedział na odrapanej ławce, tuż pod przechyloną jarzębiną i starą latarnią na betonowej nodze. Takiego zauważył go Kosma. Zwolnił. Zmęczony chłopak szedł z plecakiem przewieszonym przez ramię, za dużą kurtką na plecach i znieawidzonym mętlikiem w głowie. Nie omijał kałuż, nie przejmował się błotem, nie patrzył na mężczyznę, choć doskonale zdawał sobie sprawę z jego obecności. Zastanawiał się, czy tylko on.

Kroczył zamknięty w sobie i zamyślony. Starał się jak najszybciej minąć zajętą ławkę. Bał się. Brzydził się swojego tchórzostwa.

– Chodź tu na słówko – odezwał się Turpiński tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Tak, do ciebie mówię, ptaszyno.

Kosma przestał wpatrywać się w popękane płytki chodnikowe. Mężczyznę coś najwidoczniej ubawiło.

– Podejdź, nic ci nie zrobię.

Nastolatek zachował bezpieczny dystans.

– Jak się nazywasz?

– Kosma – szepnął.

– Z capiej dupy to twoje imię.

Chłopak nie odpowiedział. Spojrzał na ubłocone buty rozmówcy, na jego przetarte na udach dzinsy.

– Jak się żyje? – spytał mężczyzna. – Nie potrzebujesz pogadać? Śpieszysz się gdzieś?  
– Kolejne z pytań nie doczekało się odpowiedzi.

Turpiński wstał. Podeszedł bliżej. Ciężkie ramię opadło na młode barki, zmuszając do

wspólnej przechadzki.

– Mój tata powinien zaraz wrócić z pracy... – wydukał Kosma, machając ręką w stronę malejącego bloku. – Muszę mu... nam wszystkim odgrzać zupę.

– Gównu musisz – prychnął Turpiński. – Twój tata nie potrzebuje zreć. Tak samo jak wymyślony brat.

Przeszli na koniec niewielkiego osiedla, kierując się w stronę ogródków działkowych i znanej wszystkim „górką”, usypanej tuż przy wałach kolejowych, gdzie w pojedynkę lepiej się było nie zapędzać nawet za dnia, a tym bardziej nocą.

– Powinienem... Powinniśmy wracać.

– Urodziłem się w Bieniowie – zagaił mężczyzna. – Ojciec nie pił, przynajmniej nie więcej niż inni, i nie tłukł dzieci, chociaż wszyscy tak mówią. Matka nas kochała, żarcia nie brakowało nawet w najgorszych latach. Wysłali mnie na studia, gdzie się, niestety, rozpiłem.

– To super – bąknął chłopak, głośno przetykając ślinę. – Znaczy się... Proszę pana...

– Super, kurwa, hiper – zgodził się Turpiński.

Przeszli za wały. Usiedli na kryjącej się za nimi górcie. Trochę dalej alkoholowe trio osuszało tanie wina. Pomachali z szacunkiem do Jerzego, a on pozdrowił ich machnięciem ręki. Za sobą pozostawili ścieżkę, ogródki działkowe oraz długie rzędy garaży.

– Siadaj – polecił młodemu.

Kosma położył plecak i usiadł na nim, czując pod sobą zeszyty oraz książki.

– Strasznie żeś delikutaśny. – Mężczyzna wyciągnął zza pazuchy dwie puszki z mocnym marketowym piwem. – Pijesz, czy dopiero zaczniesz?

Nastolatek pokręcił głową, po czym odwrócił twarz.

– Zaczniesz, zaczniesz. A wtedy będzie jeszcze gorzej.

Kosma próbował zachować spokój, jednak wydarzenia ostatnich dni i coraz silniejszy odór bijący od Turpińskiego zrobiły swoje.

– O co panu chodzi? – spytał na granicy krzyku. – Tata pewnie już wrócił i...

– Będzie cię szukać. Święty ojczulek z za tej samej, starej popołudniówki...

– Proszę przestać! – krzyknął chłopak.

– Jak sobie życzysz.

Pierwsza pusta puszka stoczyła się po łagodnym zboczu. Mężczyzna beknął cicho. Zabrał się za opróżnianie kolejnej. Kosma milczał, gotowy do natychmiastowej ucieczki.

– Rodzice mnie nie lali, ksiądz mnie żaden nie zgwałcił, nawet koń mnie w łepetynę nie kopnął. Coś mi się jednak w głowie poprzestawiało i zacząłem opowiadać ludziom o rzeczach, o których lepiej nikomu nie mówić.



Licealista w tym momencie kichnął, przeprosił i wytarł oplute dłonie w rzadką trawę.

– Nie na wodę – skwitował Turpiński, wciąż zatopiony we wspomnieniach.

Trio pijaczków postanowiło do nich dołączyć, raczej z miłości do alkoholu niż ze względów towarzyskich. Puste butelki po „Turze” dzwoniły w pełnej zacieków bawełnianej siatce. Jednemu z nich przy szlufce paska bez przerwy pobrzękiwały zamknięte w pęk klucze.

– Czołem! – Najstarszy machnął czerwoną dłonią, przywdziewając imitację szczerego uśmiechu. Śmierdziało od niego moczem.

– Idźcie dalej – zagadnięty powiedział to takim tonem, że Kosmie ciarki przebiegły po plecach. – Czołem – dodał szeptem, lecz tamci zniknęli tak szybko, jak tylko mogli.

Mężczyzna pozbył się drugiej puszki, wstał i podał rękę chłopakowi, który podniósł się jednak bez jego pomocy.

– Młodość! – westchnął Turpiński. – Ponad poziomy ulatuj...

Kosma nie zamierzał go poprawiać, choć pamiętał ten wiersz z powtórek do matury. Otrzepał plecak i ruszył za pijaczkiem. Przez cały czas zastanawiał się nad słowami, które wcześniej od niego usłyszał. Postanowił zaryzykować.

– Czyli pewne rzeczy lepiej zachować dla siebie? – zapytał, gdy zrównali się na przygarażowej ścieżce.

– Wkrótce będzie gorzej, chłopcze – mężczyzna wolno przeżuwał słowa – i nikt tego nie zrozumie, nikt cię nie wysłucha. Zarzucą tabsami. Chemiczną bielą. Przyjdź wtedy do mnie. Spróbuję pomóc.

– Sam sobie nie poradzę?

Minęli tych samych żuli, starających się prawdopodobnie wyłudzić parę złotych od roztrzęsionej staruszki. Skinęli pokornie w stronę Jerzego, dając kobiecie spokój.

– Robactwo – mruknął mężczyzna i splunął. – Musisz mi, chłopcze, zaufać. Razem damy radę.

– A skąd mam wiedzieć... – Kosma zawiesił głos.

– Czy jestem prawdziwy? – zaśmiał się Turpiński. – A czy to w ogóle ważne?

Wyciągnął z kieszeni papierosa bez filtra i zapalił, nie częstując nastolatka.

– Ja sobie poradziłem – powiedział, wypuszczając mlecznoszary dym, który doleciał do Kosmy. Zamienili się miejscami, ku widocznemu rozbawieniu pijaczka.

– Delikukurwataśny.

Weszli pomiędzy szare bloki, usiedli na tej samej, paskudnej ławce, pod kaleczoną nożami i wiatrem jarzębiną.

– Męczyłem się przez dwadzieścia lat – Jerzy podjął wątek. – Może nigdy nie pokonasz

tej kawki, dzieciaku.

Spojrzeni sobie w oczy. Turpiński wyrzucał kolejne zdania z prędkością karabinu maszynowego:

– To twoja walka. Znajdź mnie, gdy już będzie naprawdę źle. Wiesz, kiedy możesz mi zaufać? Wiesz, kiedy? – uciszył Kosmę gestem. – Na pewno wiesz. A gdy będziesz się chciał zabić, to pamiętaj, że nawet wtedy możesz wygrać. Być kimś. Kimś lepszym niż ja.

Turpiński podniósł się z ławki wraz z serią stęknąć, bez słowa ruszając w stronę pobliskiego blaszaka, transporterów z winami i piwem. Zmieszany licealista patrzył, jak cień Jerzego znika za betonowym zakrętem. Niepewnym krokiem zaczął wspinaczkę po schodach. Nic z tego nie rozumiał. Co gorsze nie wiedział, komu zaufać.

Pewność miał co do tego pijaczka, nieważne, prawdziwego czy nie. Wystarczyło zwracać uwagę na spodnie i buty.

\*\*\*

– Pani Kasiu, faza owładnięcia ma to niestety do siebie, że najtrudniej jest najbliższym chorego. Nawet małżeństwa z długim stażem nie radzą sobie, ukochani nie poznają domowników, nadają im nowe imiona, zdarzają się przypadki fizycznej agresji. Te wszystkie wypowiedziane zdania i słowa pozornie bez sensu mogą ranić... Ranią. Zachowania, nowe irytujące nawyki, wrogość, wstyd...

– Niech mu pan pomoże – młoda kobieta przerwała kolejny z wykładów lekarza. – Dla mnie to... – Nie dokończyła, powstrzymana łzami.

– Proszę się o nic nie winić – dodał psychiatra. – Zrobimy, co w naszej mocy.

– Bardzo proszę – westchnęła. Po raz ostatni wyszła z gabinetu.

Za drzwiami spojrzała na otrzymaną od lekarza wizytówkę: PSYCHIATRA lek. med.  
Jerzy Turpiński, Specjalista...

Nie dała rady doczytać do końca.

\*\*\*

Kosma rozsunął zasłonki, zerkając na czekającego za szybą ptaka. Wciąż powtarzał w pamięci słowa Turpińskiego. Zamierzał pokonać największe lęki, pozbywając się kawki raz na zawsze. Walczyć o życie, o zaszczytą chorobą miłość.

– Cześć – skrzeknęła, gdy kłamka okienna powędrowała w górę. – Wpuść mnie. Kasia,

suka. Kasia odeszła. Kosma czy Krzyś?

– Cześć. – Chłopak otworzył okno. – Będę musiał cię zabić.

– Nie ma okruszków? – Kawka zabawnie poruszała łebkiem. – Weź od suki, która wszystkim daje.

– Nie ma.

– Suki?

– Okruszków.

I wtedy zaatakowała. Rozrosła się w oka mgnieniu, jakby poszerzana od środka uderzeniami coraz większych pięści. Twardy dziób kaleczył dłonie i twarz chłopaka, szpony wbijały się w jego ramię. Ostre lotki cięły mu skórę, spijając z ran świeżą krew.

Kosma krzyczał i walczył, aż do utraty przytomności. Nie wiedział, ile czasu leżał na podłodze. Ocknął się na pachnącym krochmalem tapczanie, a białe ściany pokoju rozjaśniały mrok. Mebli nie było, zaś za oknem straszły kraty.

Mruknął coś do siebie. Zaczepnął głęboki oddech i głośniejszym głosem powiedział:

– Kawka obesrana suka.

Znów zamknął oczy, by otworzyć je dopiero rano. Z trudem usiadł na tapczanie; na ściany wróciła tapeta przytrzymywana przez szafki z biurkiem. Wstał i poszedł do łazienki przemyć twarz. Na ramieniu siedziała mu kawka.

– Siemaneczko – zaskrzeczała.

Kosma uderzył w płacz wsparty krzykiem. Próbował walczyć, lecz w pewnym momencie – po wyjątkowo bolesnym dziobnięciu w szyję – nie był w stanie wykonać najmniejszego ruchu. Zesztywniały mu mięśnie; poruszenie nienaturalnie przekreśloną głową graniczyło z cudem. Wszystko go bolało. Z palców i po policzkach ściekała krew.

– Wygrałam – oznajmiła kawka, zaciskając szpony. – Kasia, Ania, mama, kurwy trzy.

Radio rozwyło się czarnym śpiewem.

\*\*\*

Mama opatrywała mu rany, nucąc przy tym kołysankę, której nie słyszał od lat. Tata stał w drzwiach łazienki, gniotąc w dłoniach ulubioną gazetę, szelestem zdradzając zdenerwowanie. Co minutę rzucał w ich stronę jakieś zdawkowe zdanie, w stylu: „Będzie dobrze, ale trzeba jak najszybciej powiadomić szpital” albo „Poradzimy sobie, chłopcze”, „Lekarstwa pomogą”.

Krzysiek wszedł w do domu i od progu krzyknął:

– Wszystkim w pracy mówiłem, że mam pieprzonego brata!

Ojciec nie wytrzymał. Pchnął go na ścianę, na starą boazerię zbitą z pociągniętych ciemnym lakierem desek.

– Jesteśmy rodziną, gówniarzu! – syknął.

Hydraulik bąknął zdawkowe przeprosiny, po czym zaszył się w kuchni. Na spranej koszulce miał wyrysowaną markerem kawkę dotykającą dziobem jednego z metalicznych pokręteł Jowity. Smoliste nuty rozrzucone były aż po rękawki.

– Dlaczego uderzałeś pięściami w ścianę i skąd ten pomysł z nożem? – szepnęła mama.  
– Jak mogę ci pomóc?

Kosma nie chciał opowiadać o ptaku, który z ciekawością przyglądał się tym wszystkim plasterom oraz bandażom na młodych dłoniach. Próbował nawet chwycić jasne loki kobiety, jednak te wyślizgiwały się z błyszczącego dziobu.

– Nie wiem, mamu – wydukał Kosma, który chciał zostać sam. – Chyba nie możesz.

– Czy wszystko w porządku? Czy wszystko w porządku? Czy wszystko... – To zdanie kręciło się po jego obolałym umyśle.

Przyjął podane przez mamę tabletki.

– Co to? – spytał.

– Paroksetyna i Lorazepam. Pomogą ci się uspokoić i zasnąć.

– Przecież dopiero wstałem? – zdziwił się. – Która godzina?

– Już znowu noc, synku. Już znowu noc. Już...

Kawka chwyciła go za ucho i wykręciła mu na bok głowę. Mamie po policzkach spływały łzy, jemu krew. Tata wraz z Krzyskiem zniknęli, jakby nigdy nie istnieli. Cisza przepędziła muzykę. Cisza bolała najmocniej.

\*\*\*

Niepokój drążył korytarze pod skórą Kosmy. Przed zaśnięciem chłopak słyszał krzyki Jurka pod oknem lub pragnął je słyszeć. Kawka czasem odlatywała, zwykle zabierając ze sobą radio, natomiast wciąż czuł jej szpony zaciśnięte nad łopatką i pod obojczykiem, w dalszym ciągu słyszał mniej lub bardziej jazzowe dźwięki.

– Wielkie szpony małego ptaka – nucił pod nosem.

– Co tam, kujonie? – Krzysiek wpadł do pokoju niczym letnia burza, jakby żadne drzwi nigdy nie były dla niego zamknięte. – Radzisz sobie czy przynieść ci nóż?

– Najlepiej biegiem i spróbuj się potknąć. – Kosma z trudem podniósł się z łóżka.

Opuchniętymi dłońmi macał świeżo zmienione opatrunki, naciskał na gojące się zadrapania.

– Jest dobrze. – Uśmiechnął się, rozdmuchując mgłę smutnych myśli. – Wciąż mnie bolą, a to ją najwyraźniej odpędza... To pomaga – poprawił się.

– Podobno uderzałeś pięściami w ściany, rzucałeś się na matkę i meble. Stajesz się prawdziwym mężczyzną!

Kosma dotknął stopami dywanu, który zdawał się być chłodny.

– Bratu możesz o wszystkim opowiedzieć. – Krzysiek szturchnął go w ramię. – Znasz mnie. Przecież nie rozgadam. Nawet, gdybym chciał.

Zaśmiali się. Kosma zaczął brzydtko kaszleć.

– Nie w formie? – rzucił starszy brat, siadając tuż obok. – Wiem, że mnie nie lubisz i czasem... dość często nawet, zachowuję się jak skończony głupek, ale to nie przez ciebie, chłopie. Tak wyszło.

Kosma słuchał w milczeniu. Kawka wróciła, zacisnęła szpony, wpatrując się w nielubianego gościa. Na parapecie „Jowita” brązowiała w ciszy.

– Nigdy nie ciągnęło mnie do książek, jednak możesz na mnie liczyć. Czuję, że to trochę i moja wina. Że my, to tak naprawdę nie my, to...

– Milcz! – rozkazał Kosma lub ptak.

Kawka dziwnie zacharczała, wypluwając grubego, włochatego pająka, który od razu rozpoczął wspinaczkę po szyi i policzku Kosmy, co jakiś czas składając kilka czerwonych jaj. Wreszcie, wychudzony, schował się gdzieś za uszami.

Chory nie zareagował. Ptaszysko ostatnio robiło takie rzeczy i jakiegokolwiek próby oporu wiązały się z bólem. Kosma zdążył się przyzwyczaić. Wieczorami mama, na prośbę ukochanego syna, wyczesywała mu włosy. Pająki zbiegały po grzebieniu, na jej dłoń, by zniknąć pod szerokim, białym rękawem.

Może to nie mama? – pomyślał i przestraszył się jeszcze bardziej.

– To nie twoja wina – zagał do brata. – Ja nawet chciałbym być taki jak ty. Tylko inteligentniejszy. Mógłbym? To chciałeś mi powiedzieć?

Krzysiek udał obrażonego.

– Kiedyś się dowiesz, co to praca i seks, choć z tym drugim, to nie jestem pewien.

Zaśmiali się po raz trzeci i zamilkli na dłuższą chwilę. Kawka włożyła dziób do ucha chłopca, szepcząc najpaskudniejsze przekleństwa.

– Jak ci pomóc? – Krzysiek przeszedł do sedna. – Odejść?

– Mógłbyś?



– To ty tak naprawdę mógł...

– Nie – wdarła się w ich rozmowę kawka. – Nie możesz.

Ptak rozkrakał się na dobre, rozegrały się głośniki radia. Kosma i Krzysiek poczuli, jak napinają się im wszystkie mięśnie, dostali drgawek, by na koniec zemdleć w upiornej harmonii. Na ziemi leżał tylko jeden z nich. Gdy odzyskał świadomość, drugiego już przy nim nie było. Mama siedziała w kącie – na fotelu, którego nigdy nie mieli – robiąc staromodny szal na drutach.

Kawka przycupnęła na parapecie. Wrywała sobie pióra, które od razu odrastały. Dekorowała nimi „Jowitę”, chlapiąc wokoło ciemną, okradzioną z krzepliwości krwią. Spojrzała na niego, skrzecząc:

– Mnie nie da się pokonać.

Zobaczymy, pomyślał chłopak. Kim jestem? Kosmą czy Krzyśkiem?

– Nikim – pisnęła w odpowiedzi, bryzgając krwią.

\*\*\*

Słyszał, jak o nim rozmawiają. Nie wiedział, kto, i czy na pewno dotyczy to jego, jednak słuchał. Wraz z nim nasłuchiwała boleśnie milcząca kawka.

– Klozapina w większości przypadków czyni cuda, szczególnie w pierwszych fazach choroby. Cóż, zdarzają się pacjenci, na których najzwyczajniej nie działa.

– I jak to będzie teraz wyglądać, doktorze?

– Jest jeszcze jedna metoda, którą napiętnowało kino... Wystarczy wspomnieć scenę z filmu „Lot nad kukułczym gniazdem”, lecz jeśli go pani nie widziała, to lepiej nie oglądać. Mija się z prawdą.

Kosma skupiał się na rozmówcach. Pierwsze, co ujrzał, to nieskazitelnie czyste buty lekarza.

– Na dniach przedstawię wszystkie szczegóły, bo myślę, że jest to nasza ostatnia deska ratunku. Pacjent ucieka w inne osobowości, wyimaginowany świat dawno przysłonił rzeczywistość, a do tego doszły samookaleczenia... Będziemy potrzebowali pani zgody, tylko nie chcę, by udzieliła jej nam pani zbyt pochopnie.

– Nie wygrasz – szepnęła kawka do chłopięcego ucha. – Nie jesteś Kosmą, nie jesteś Krzyśkiem. Jesteś nikim.

Na Amy można było liczyć. Zaśpiewała:

– *Stop makin' a fool out of me...*

Ostatnie słowo ciągnęło się niemal bez końca.

\*\*\*

– Chcę z nim porozmawiać! – Kosma zdierał sobie gardło. – Zaprowadźcie mnie do Turpińskiego! Za garaże! Na górkę!

Tata wszedł do pokoju szybkim krokiem. Gazetę odłożył na biurko, po czym podbiegł, by przytrzymać syna.

– Chcę rozmawiać z Jerzym! Ta kawka... – Kosma zamilkł, siadając z powrotem na łóżku. – Turpiński, kawka, górka – powtarzał w dziwnym transie.

Nagle tata zmienił się, młodziejąc w oczach. Stał prosto, choćby z samej postawy nabierając pewności siebie. Wyglądał jak oficer z amerykańskich filmów wojennych. Brakowało tylko skórzanej kurtki. Kolaż prywatnego detektywa i komiksowego herosa w jednym.

– Znajdziemy go, synku – zapewnił. – Potrzebuję twojej pomocy. To ty za nas stoczysz tę walkę. Walkę – dodał i powtórzył to słowo raz jeszcze, trochę ciszej.

Kosma też je wyszeptał, podając ojcu drżącą, zimną dłoń. Wyszli poza pierwsze i poza kolejne – te najcięższe – drzwi. Klatka schodowa uderzyła w nich chłodem żelbetonowych schodów oraz kocim smrodem.

– Znajdziemy go, synku – powtarzał ojciec, w którego rękę pojawił się bejsbolowy kij.

Chłopak przypomniał sobie o przygodzie z dzieciństwa, kiedy to jeden z pijaczków wymuszał drobne od małego Kosmy. Mężczyzna zawsze czekał na niego na dole klatki schodowej, jednak pewnego dnia zamiast chłopca zszedł jego tata. Z tym samym kijem i chęcią pomocy. Nigdy więcej nie mieli podobnych problemów.

– On mi pomoże, tato. On jest inny. Nie możesz go bić. Ufam mu, chociaż musimy uważać.

– Znajdziemy go, synku. Znajdziemy! – Zaśmiał się, zdecydowanie zbyt głośno.

Wkroczyli na podwórko. Kawka pojawiała się i znikwała w nierównym rytmie, trzymając w dziobie rozwijający się bez końca kabel od radia. Szpony zaciskały się na obu ramionach Kosmy w rytm zaciemnianego soulem R&B. Kolejny pajak dołączył do braci, biegających po od niedawna strzyżonych przy skórze włosach.

– Idziemy na górkę – zarządził chłopak, prowadząc ojca w stronę wałów kolejowych.

Szare chmury wisiały wyjątkowo nisko, rozpięte pomiędzy nachylonymi w ich stronę blokami. Ptak puścił kabel, wzbił się w niebo, skrzecząc przekleństwa i groźby. Co jakiś czas

zlatywał – często większy niż zwykle – atakując ich twarze i ręce.

– Wytrzymaj, synku! – W oczach ojca pojawiły się łzy. Machał kijem, by odstraszyć natrętne ptaszysko.

W kwadrans dotarli do wałów, które przypominały wyrwane kadry z filmu grozy. W tym miejscu zieleń traw pokrywało robactwo, ziemia strzelała ropą niemalże przy każdym kroku. Cuchnęło zapomnianą śmiercią. Ponownie skropliła się krew. Gęstniała na spoconej skórze Kosmy.

Turpiński stał na wzgórzu. W jednej ręce trzymał puszkę piwa, drugą pomachał w ich kierunku. Uśmiechnął się, nie zwracając uwagi na cały ten koszmar.

– Spalimy ją! – krzyczał, przesiąknięty alkoholowym śmiechem. – Zabijemy tę czarną, obesraną kurwę! Prądem! Sama przytargała kabel!

– Nie! – wrzeszczała kawka, podwajając wysiłki, aby zatrzymać Kosmę.

W pewnym momencie wzbila się wysoko w powietrze i zaczęła rosnać, karmiona porywistym wiatrem. Przesłoniła niebo od garaży po ogródki działkowe. Skrzeczała tak głośno, że musieli osłonić uszy dłońmi.

Podchmielony Jerzy machał w jej stronę zaciśniętymi pięściami, krzyząc ile sił w płucach, czego Kosma nie mógł usłyszeć. Ptak zaatakował mężczyznę, przybijając go dziobem do ziemi.

Chłopak upadł na kolana, wprost w jedną z największych kałuż ropy, czując chłód sięgający aż do serca, a z niego, wraz ze zmrozoną krwią, do całego ciała. Kawka krzyknęła: „Nie wygrasz!”, po czym odfrunęła przysłonić niebo komuś innemu.

– Tato, nie dam rady – szepnął, mimo że ojca już przy nim nie było. Zniknął też bejsbolowy kij, w którego miejscu leżał najzwyczajniejszy długopis. Kosma podniósł przedmiot i ścisnął go mocno w drżącej dłoni. Złość narastała w nim od wielu tygodni, miesięcy, być może i lat. Nie miał pewności – dawno się w tym pogubił. W jednej chwili pomyślał o tych strzępkach rozmów, które czasem do niego dolatywały, o początkach, gdy jeszcze sam siebie o wszystko pytał, kiedy doszukiwał się oznak choroby, potrafił oddzielić od siebie stare – realne – i nowe – niemniej rzeczywiste światy.

Patrzył na długopis, widząc w nim wyjście z sytuacji. Ratunek, drogę do unicestwienia czarnej kawki i wszystkiego, co ze sobą niesie.

Poczłapał w stronę górki, w stronę wyróżniających się czerwienią na zaropiałym tle zwłok Jurka. Jego ubłocone buty oraz dłonie pokrywały się krwią.

– Zwycięzę – mruknął bardziej do siebie, nie spoglądając więcej w stronę zmasakrowanego ciała. – Dla ciebie.

Wiedział, że nie będzie miał wiele czasu. Z daleka, pełna energii, nadlatywała kawka.

Położył lewą rękę na udzie i zaczął wbijać długopis w przedramię. Rytmicznie i głęboko, raz za razem. Cienkie strużki krwi spływały na obie strony, łącząc się plamą na spodniach. Z daleka słyszał podniesione głosy. Trio pijaczków – tych samych, co parę dni, a może i lat wcześniej – biegło do niego od strony wałów. Ból był wciąż zbyt mały, nieistotny, niepoważny. Wtedy wpadł na kolejny pomysł.

Przełożył długopis wkładem do góry, ponownie zaciskając na nim palce. Myślał tylko o jednym; nie zamierzał dłużej oglądać tego świata. Uderzył, celując w prawe oko, lecz w ostatniej chwili powstrzymał go największy z mężczyzn.

Kosma poczuł chłód na policzku; boleśnie wykręcono mu rękę. Zabolało ułucie – kolejne z wielu – i nadciągnął sen, jeszcze bardziej pokręcony niż życie. I zalał go smutek, który nazwałby najzwyczajniej pustką. Tracił przyjaciół, tracił urojenia, ojca, a wraz z nim miłość.

Cisza połączyła się z muzyką w przeciągły, irytujący jazgot.

\*\*\*

Nie przypominał sobie wzgórze, garaży ani ogródków działkowych, gdzie pito nie mniej niż na pobliskich wałach, a może najzwyczajniej nie wracał do tego myślami. Nie dostrzegwał kawki, „Jowity”, zwłok Jerzego i długopisu, który zostawił ojciec. Białe opatrunki szerokim pasem pokrył podziurawioną skórę. Nie bolało.

Kosma leżał na łóżku, kołdra unosiła się w powolnym rytmie głębokich, na wpół sennych oddechów. Biała i pachnąca szpitalem, ze wskazaniem na choroby graniczące z czarną magią. Poduszka przytrzymała mu jedno oko. Drugim chłopak wpatrywał się w kremową ścianę, w kominiek z rozgrzanym do czerwoności szamotem i węglem. Takim tylko dla niego. Takim, którego nie mogło tam przecież być.

Zza ściany, a być może tuż przy uchu usłyszał rozmowę:

– W filmach wszystko inaczej wygląda. Mówiłem, żeby pani tego nie oglądała. – W tym męskim głosie chłopak rozpoznał Jurka i wielu innych przed nim. – Dzisiaj elektrowstrząsy aplikuje się w znieczuleniu ogólnym, po zastosowaniu środka zwiotczającego mięśnie, dzięki czemu drgawki nie są niebezpieczne. W zasadzie ich brak.

– Słyszałam nawet o złamaniach kręgosłupa... – odezwała się zmartwiona kobieta.

– Nie będę pani okłamywał ani mówił, że się to nie zdarzało, natomiast nie widzę innego wyjścia. Nie wiemy tak naprawdę, co wywołuje chorobę, zaś o gdybaniach sama się

pani naczytała. Co gorsze, nie wiemy, w jaki sposób pomagają same elektrowstrząsy. Przypuszczamy, no, w zasadzie możemy wyjść poza te przypuszczenia, że dochodzi do gwałtownego uwolnienia neuroprzekazników w ośrodkowym układzie nerwowym. Do pewnych wzmocnień, do pobudzenia...

– Doktorze, proszę działać.

– Podjęła pani słuszną decyzję.

Kosma westchnął. Łza spłynęła mu po nasadzie nosa; kominiek zniknął. Zastąpił go rozgrzany kaloryfer. Na kołdrze wylądowała kawka. Z obu stron jej dzioba wysypywały się okruszki.

– Kasia, Ania, mama, suki trzy – zaśpiewała głosem Amy Winehouse.

\*\*\*

Nie poczuł bólu, niewiele też ze wszystkiego pamiętał. Po czterech przebytych sesjach wracał do zdrowia. Po trzech miesiącach odzyskał pamięć krótkotrwałą i pogodę ducha, choć o wielu z tych zdarzeń wolałby na zawsze zapomnieć.

– Jak się czujesz, synku? – Kobieta otworzyła drzwi od jego pokoju.

– Dobrze, mam – odpowiedział, wpatrując się w zdjęcie zamknięte w czarnej ramce, na którym siedzący na fotelu tata czytał ulubioną gazetę. – Brakuje mi go – westchnął. I Kosmy, dodał w myślach, wspominając wyidealizowaną wersję samego siebie – chłopaka z liceum, którym był przez ostatnie lata, którym od zawsze i na zawsze chciał być.

– Mi też. – Kobieta podeszła bliżej. Objęła syna. – To był wspaniały mężczyzna i cudowny ojciec, choć pewnie go nie pamiętasz, tyle czasu minęło... – zamyśliła się na chwilę, po czym dodała: – Każdego dnia za nim tęsknię, Krzysiu.

– Straciłem tyle lat – odrzekł. – Żonę, pracę, zdrowie, tatę i wymyślonego mnie. Dwie z moich lepszych połów.

Wpatrzyli się w starą fotografię.

– A jak to wszystko powróci? – zapytał. – Skąd wezmę siły?

– Nie myśl o tym – westchnęła kobieta. – Straciłeś wiele, to prawda, ale wreszcie odnalazłeś siebie. Wróciłeś, synku.

Podzielili się półuśmiechem. Na dworze spadł pierwszy śnieg: sprawiedliwie i szczerze – na wszystko. Ze spokojem w sercach czekali na nadchodzące święta. Może pojawi się u nich Kasia, a może spotkają się dopiero na Sylwestra. Krzysiek zastanawiał się, czy przywiezie ze sobą małą Anię. Zacisnął palce na czarnym piórku i przestraszył się znowu.



Rozchylił je wolno, przyglądając się pustej, gęsto pooranej bliznami dłoni.

Pewnie mi się wydawało...

Zadrżał, po raz tysięczny spoglądając na parapet, na zepsute od dekady radio.



# HORROR DOMU RACZYŃSKICH

Paweł Cieliczko

*Pamiętam doskonale ten zimowy styczniowy wieczór, gdy ogień w kominku płonął wesoło, a ja obraz przedstawiający Bibliotekę Raczyńskich uzupełniałem o dwóch pruskich żandarmów. Usłyszawszy łomotanie za oknem, pomyślałem, że to wicher stuka okiennicami, wiatr jednak po chwili ustał, a stukot zabrzmiał ponownie. Gdy uchylilem drzwi, w śnieżnej zadymce zobaczyłem szczupłego mężczyznę w czarnym płaszczu, który nie wypowiadając ani słowa wręczył mi zapieczętowany list, wsiadł do sań i rozplynął się w białej zamieci, zanim zdążyłem go o cokolwiek zapytać. Wyglądał jak czarny, zmoknięty ptak, jak wielki zakapturzony kruk. Jego postać stanęła mi przed oczami kilka lat później, gdy przeczytałem wiersz amerykańskiego poety, opisujący podobną, nocną wizytę...*

*W głuchą północ, w snów tumanie, gdy znużyło mnie dumanie  
Nad księgami zapomnianej magii, znanej w dawnych dniach,  
Chyląc głowę nad folialem, niespodzianie usłyszałem  
Chrobot, jakby ktoś nieśmiałym palcem skrobał znak na drzwiach.  
„Gość”, mruknąłem, „tym sygnałem daje znać, że stanie w drzwiach:  
Skąd ten zimny pot i strach?”*

*Myśli przychodzą i ulatują, o tym, że to skojarzenie nie było przypadkowe przekonany  
jestem, odkąd dowiedziałem się, że pierwodruk tego wiersza ukazał się w styczniu 1845 roku,  
dokładnie wtedy, gdy nocą do drzwi mojego poznańskiego domu zakolatał ten „człowiek-  
-kruk”.*

*Dzisiaj, kiedy dogorywam na perskiej ziemi, czekając, aż laskawy Bóg skróci moje  
cierpienia i pozwoli mi spokojnie odejść z tego świata, zamiast pisać testament, opowiedzieć  
pragnę historię, która sprawiła, że porzuciłem służbę publiczną na niemieckim wschodzie  
oraz w stolicy i podążyłem ku krainom, o jakich przed laty opowiadał mi ojciec, ku krainom,  
o których czytałem w dzieciństwie, ku krainom z baśni tysiąca i jednej nocy.*

*Wszystko zaczęło się w Poznaniu, 21. stycznia 1845 roku.*

\*\*\*

Juliusowi von Minutouli – dyrektorowi Prezydium Królewskiej Policji w Poznaniu –  
wszystko tego dnia kojarzyło się z jednym człowiekiem. Już rankiem, gdy przejeżdżał przez  
Ostrów Tumski, wydawało mu się, że widzi go, gdy wychodzi z Katedry, gdzie nadzorował  
ostatnie prace przy Złotej Kaplicy. Kiedy spoglądał na wznoszoną na Wzgórzu Winiarskim  
Cytadelę, pomyślał o wodociągu, który on poprowadził z tego wzgórza, zapewniając świeżą  
wodę mieszkańcom Poznania. Przejeżdżając przed budynkiem Ziemstwa Kredytowego  
patrzył, jak wozacy poją konie w ufundowanej przez niego studziencie z medalionem, na  
którym niemiecki rytownik błędnie wrył polskie słowo i oda Pindara w Poznaniu brzmi;  
„Nic lepszego nad wodę”. Kiedy wreszcie wjechał na Plac Wilhelmowski niemal jęknął,  
zobaczywszy budynek stworzonej przez niego biblioteki. Także teraz, gdy siedział już  
w swoim gabinecie, w nowym budynku poznańskiej policji, piętrzył się przed nim stos  
przepastnych teczek z raportami, listami, pismami urzędowymi, wycinkami z gazet oraz  
odręcznymi notatkami, które przez lata skrupulatnie gromadzili wywiadowcy i pracownicy  
poznańskiej policji... a wszystko to w związku z tym właśnie człowiekiem.

Od samego rana – gdy tylko powiadomiono go o tragicznej śmierci hrabiego – wszystkie myśli Minutoulego krążyły wokół osoby Edwarda Raczyńskiego. Nie mógł uwierzyć, że ten dumny wielkopolski magnat popełnił samobójstwo. Nie mógł uwierzyć, że zdecydował się ukłęknać przed wylotem armatniej lufy, że sam podpalił lont, a potem czekał, aż pocisk rozerwie jego głowę na krwawe szczątki. Potrafił sobie wyobrazić, że ten wytworny arystokrata znudził się światem i postanowił sam zakończyć swoje życie. Nie mógł uwierzyć, że mógł uczynić to w tak bardzo nieestetyczny sposób.

Ludzie mają prawo ginąć z najrozmaitszych powodów – myślał policjant – większość umiera we własnych łóżkach ze starości czy od chorób, liczni giną na wojnach, wielu ulega wypadkom na polowaniach czy w innych okolicznościach. Są śmierci oczekiwane, są śmierci nagłe, są śmierci tragiczne. Najbardziej nieoczekiwaną, tragiczną i tajemniczą jest zawsze śmierć samobójcza, która uśmierca człowieka podwójnie: pierwszy raz, przerywając jego ziemskie bytowanie, oraz drugi raz, zabierając mu możliwość zbawienia i życia wiecznego. Gdy śmierć samobójcza spotyka człowieka bogatego, szczęśliwego i powszechnie znanego, to zdarzenie to porusza ludzi i staje się przedmiotem plotek i niesamowitych opowieści. Policja jest zaś od tego, by dusić je w zarodku i przedstawiać racjonalne wyjaśnienia najbardziej nawet nieracjonalnych wydarzeń. Minutouli – jako szef poznańskiej policji – miał obowiązek uczynić wszystko, żeby zrationalizować kompletnie nieracjonalny postępek hrabiego.

\*\*\*

*List zapieczętowany był bardzo starannie, a w czerwonej lakowej pieczęci wyraźnie odcisnięta była chusta z przewiązanymi końcami, herb Raczyńskich – Nałęcz. Długo patrzyłem na rozlaną efektownie lakową pieczęć i na zarys splecionych łodyg, tworzących roślinną fakturę na czerpanym papierze. Długo ważyłem list w ręku, przyglądałem się jemu, gładziłem go. Miałem nieodparte przeczucie, że kiedy wreszcie postanowię złamać pieczęć i przeczytam treść listu, otaczający mnie świat zmieni się nie do poznania. Intuicja zawsze odgrywała w moim zawodzie nie mniejszą rolę niż wiedza, tym razem przeczucie także mnie nie zawiodło. Gdy przeczytałem wreszcie list, wiedziałem, że coś się nieodwracalnie skończyło, coś odeszło. Poczulem brak i niemożliwe do zaspokojenia niespełnienie.*

*Pamiętam doskonale tę chwilę, gdy zrozumiałem, że nie jestem nieśmiertelny, że pewnego dnia i ja zniknę, tak jak zniknęli wszyscy ludzie przede mną i tak jak będą znikali wszyscy ludzie po mnie. Człowiek, który wyleczył me ciało, otworzył zamknięte wrota mej duszy, uświadomił mi, że należy wybierać to, co się kocha, a nie to, czego*

*oczekują od nas inni. Zrozumiałem, że to inni są naprawdę zniewoleni, a ja sam sobie stworzyłem złotą klatkę nakazów, obowiązków, powinności. Nie żyłem swoim życiem, tylko wypełniałem zobowiązania wobec rodu. Miłosne okowy wkrótce także stały się li tylko okowami. Gdy nie potrafiłem się wywiązać ze swych obowiązków, starałem się chociaż jakoś rekompensować moje zaniedbania. Czujne oczy szpiega śledziły każdy mój ruch. Nie odstępował mnie na krok. Ciemny cień, który zawsze podążał tropem moich kroków i moich myśli. Gdy traciłem nadzieję, że mogę cokolwiek zmienić, uwolnić od duszących mnie cieni, spotkałem tego, który mnie uleczył. Pojąłem, że sam zniweczyłem terapię. By uleczyć duszę, musiałem najpierw mieć zdrowe ciało. Wiedziałem, że nikomu nie mogę ufać, że nikogo nie mogę wprowadzić w mój tajny plan, że nikt mnie nie zrozumie, a każdy mnie potępi i zdradzi. Ukazywałem im tylko swoje zbolale cierpieniem oblicze. Mimo melancholii, jaka mnie ogarniała, i chęci ucieczki od tego świata, starałem się uczynić jak najwięcej dobrego dla mych krajan. Zawsze znajdował się ten, co niszczył to, co chciałem zbudować. Jak szatan, który sam nic nie buduje, a dzieła boskie niszczy. Gdy zły wszedł nawet do przybytku bożego, który stać się miał za mą przyczyną świątynią narodową, zrozumiałem, że na tym świecie sił mi nie starczy na zła pokonanie. Poznań to zbyt małe miasto dla mnie, nie na skalę mych myśli i zamierzeń, nie ma w nim stosownego rozmachu w murach i w ludzkich umysłach. Mądrzej uczynił mój brat, wybierając stołeczny Berlin i niemiecką kulturę. Tam go potrafią docenić. Skłaniając się coraz bardziej ku odejściu z tego świata, pozostawić po sobie postanowiłem pogrzebowy podarunek, by ci, którzy nie chcą mi towarzyszyć, nie musieli iść drogą, z której nie ma odwrotu. Byłem jak błędny rycerz, który wierzył w moc słowa i chciał świat modelować tak, by pasował do pięknych słów. Póki sił i wiary mi starczało, walczyłem z wiatrakami, gdy zasłona z oczu mi spadła... odchodzę tak, jak ten błędny rycerz.*

\*\*\*

„Gazeta Wielkiego Księstwa Poznańskiego” pachniała świeżą, drukarską farbą, leżąc na orzechowym blacie biurka, za którym siedział dyrektor poznańskiej policji – Julius von Minutouli. Najważniejszy policjant w Poznaniu nie spojrzał jednak nawet na jej szpalty. Z kamienną twarzą słuchał raportu wygłaszanego przez przodownika policji Egona Krenza, który beznamiętnym, rzeczowym tonem relacjonował koleje życia hrabiego Edwarda Raczyńskiego. Nieskrywaną przyjemność sprawiało mu przewracanie kolejnych kartek w teczce z materiałami dotyczącymi niepokornego polskiego pana, które przez lata

skrupulatnie gromadziła pruska policja królewska. Wreszcie przeszedł do raportu sporządzonego na podstawie relacji kaprała z garnizonu w Śremie, który był na miejscu samobójczej śmierci hrabiego. Koszmarne okoliczności związane ze śmiercią hrabiego nie wpłynęły jednak na zmianę tonu referatu.

Po dwóch godzinach policjant zakończył referat, podniósł wzrok ku twarzy dyrektora policji, a nie doczekawszy się żadnej reakcji, zamknął teczkę, starannie ją zasznurował i równo położył na brzegu blatu. Stuknął służbiście obcasami, by podkreślić, że skończył referować i oczekuje na kolejne polecenia. Nie potrafił przewidzieć, co postanowi jego ekscentryczny przełożony. Równie dobrze mógł kazać zanieść teczkę do archiwum w piwnicy Prezydium Policji, jak i wysłać wszystkich poznańskich policjantów wzmocnionych przez oddział landwehry do przeszukiwania Kępy Zaniemyskiej. Policmajster wybrał rozwiązanie pośrednie.

– Niech pan weźmie kilku ludzi, rozejrzyjcie się po pałacu w Rogalinie, po wyspie w Zaniemyślu, popytajcie okolicznych chłopów – zakomenderował. – A i w Poznaniu przepytajcie konfidentów, czy czegoś o samobójczych planach pana hrabiego nie słyszeli, a może o kimś, kto by go chciał zdekapitować. – Widząc niepewną minę policjanta, wykonał charakterystyczny gest ręką po szyi.

– Zrozumiałem. – Policjant zaszurał regulaminowo.

– Zróbcie taką zwykłą, policyjną robotę, jaką normalnie powinniście wykonać wtedy, gdy w jakichś dziwnych okolicznościach ginie ktoś ważny i bogaty – zakończył.

– Tak jest. – Oficer zaszalutował i z nieukrywaniem zadowolaniem opuścił gabinet szefa.

\*\*\*

*Miałem nieodparte przeczucie, że złamanie lakowej pieczęci Raczyńskich i uważna lektura listu sprawią, że odkryję rozwiązanie tajemnicy hrabiego. Nie był to pierwszy sekret, który miałem odkryć, wiedziałem, że konsekwencje tego listu będą dla mnie znacznie poważniejsze. Obawiałem się, że może on zmienić także moje życie. Zacząłem powoli czytać kolejne zdania i rozszyfrowywać ich ukryte treści.*

*Pamiętam doskonale tę chwilę, gdy zrozumiałem, że nie jestem nieśmiertelny, że pewnego dnia i ja zniknę, tak jak zniknęli wszyscy ludzie przede mną i tak, jak będą znikali wszyscy ludzie po mnie... – zaczął hrabia.*

*Samobójstwo nie jest decyzją, którą podejmuje się pochopnie – pomyślałem. – Właściwie to nie mówmy o samobójstwie, mówmy raczej o radykalnej decyzji życiowej. Takiej decyzji inteligentny, dojrzały człowiek nie podejmuje pod wpływem impulsu. Do takiej decyzji się dorasta, dojrzewa. Zawsze jest jednak coś, co jak iskra zapala lont. Tą iskrawą jest zdarzenie, które uświadamia człowiekowi, że jest śmiertelny, że nie zdąży w życiu osiągnąć wszystkiego, co sobie zaplanował, że musi wybrać to, na czym mu naprawdę zależy. W pogoni za codziennymi sprawami nie mamy nawet czasu na taką refleksję. Hrabia ten czas znalazł dopiero w 1841 roku.*

*Po zakończeniu sejmiku prowincjonalnego, objeżdżał łęgi nadobrzezańskie. Lekki atak apopleksji unieruchomił mu język i połowę twarzy. Hrabia stał się niemy. Nie mógł działać, nie mógł wydawać poleceń, nie mógł mówić. Mógł jedynie myśleć i dzięki temu – może po raz pierwszy od lat – zyskał możliwość zastanowienia się nad tym, co jest naprawdę dla niego ważne. W jaki sposób chciałby naprawdę przeżyć resztę swojego życia, którego ograniczoność po raz pierwszy chyba wyraźnie mu się ukazała.*

*...Człowiek, który wyleczył me ciało, otworzył zamknięte wrota mej duszy, uświadomił mi, że należy wybierać to, co się kocha, a nie to, czego oczekują od nas inni...*

*Człowiek, który wyleczył me ciało – uśmiechnąłem się, bo znałem rozwiązanie zagadki – człowiekiem tym był doktor Karol Marcinkowski, który podjął się wówczas leczenia hrabiego. Zastosował nowoczesną i eksperymentalną metodę lekkich wstrząsów elektrycznych. Terapia się powiodła i hrabia powrócił do pełnej sprawności. Jednak tego, co zaszło w tych dniach między największym magnatem w Wielkopolsce a medykiem leczącym poznańską biedotę, możemy się tylko domyślać. Hrabia, przyzwyczajony od lat do wydawania rozkazów, był uzależniony od wiedzy, talentu i szczęścia ubogiego medyka. Terapia była ryzykowna. Lekarz musiał zdobyć pełne zaufanie pacjenta. Jak mógł to uczynić? Może dopuszczając go do swej największej i najbardziej intymnej tajemnicy? A co było jego największym sekretem? Czy przypadkiem nie – niemożliwa do spełnienia – miłość do arystokratki Emilii Sczanieckiej?*

*...Zrozumiałem, że to inni są naprawdę zniewoleni, a ja sam sobie stworzyłem złotą klatkę nakazów, obowiązków, powinności...*

*Doktor Marcin kochał pannę Emilię, panna Emilia kochała Marcinkowskiego, ale konwenanse epoki i niski status społeczny i majątkowy lekarza nie pozwoliły im się połączyć. Nie mogli być razem, nie chcieli być z nikim innym, więc pozostali samotni i poświęcili się dla innych.*

*...Nie żyłem swoim życiem, tylko wypełniałem zobowiązania wobec rodu...*

*On, najbogatszy magnat Wielkiego Księstwa, miał pełną swobodę decydowania, jednak miał swobodnie wybierać, starał się spełniać oczekiwania, jakie pokładał w nim dziadek – Kazimierz Raczyński. Gdy ten umarł, hrabia natychmiast pojął za żonę swoją kuzynkę Konstancję Potocką, na ślub z którą wcześniej nie zgadzał się antenat. Wydawać by się mogło, że spełniło się jego marzenie o poślubieniu ukochanej kobiety, jednak wkrótce okazało się, że teraz hrabia musi wypełniać oczekiwania, jakie ma wobec niego żona.*

*...Miłosne okowy wkrótce także stały się li tylko okowami...*

*Konstancja wkrótce przestała wzbudzać jego silniejsze emocje i zmysły, doceniał jej umiejętności, szanował jej inteligencję, stał się bardziej jej przyjacielem niżeli mężem. Nie odczuwał potrzeby zbyt częstego przebywania w towarzystwie hrabiny. Coraz częściej podróżował sam. Musiała czuć się coraz bardziej odsunięta i zaniepokojona.*

*...Gdy nie potrafiłem się wywiązać ze swych obowiązków, starałem się chociaż jakoś rekompensować moje zaniedbania...*

*Może formą tej rekompensaty było publiczne podkreślanie wkładu hrabiny w wydawnictwa hrabiego, poświęcanie jej dedykacje, fundowanie ulic czy chodników, którym miała patronować, wreszcie zamówienie jej pomnika. Żona zamarmurzona na pomniku nie wydaje się wszak wyrazem szczególnie gorących uczuć, raczej ich ostatecznego zastygnięcia w brązowym odlewie.*

*...Czuźne oczy szpiega śledziły każdy mój ruch. Nie odstępował mnie na krok...*

*Pomyślałem o sekretarzu hrabiego, nieodstępującym go w ostatnich miesiącach. Gottloba Conrada znalazła i podsunęła hrabiemu żona. Conrad miał być jego sekretarzem*



*i opiekunem, ale przede wszystkim jej szpiegiem. Raczyński był jednak zbyt inteligentny, by tego nie zauważyć – pomyślałem. A jednak nie zrobił nic, by pozbyć się tego anioła stróża.*

*...Ciemny cień, który zawsze podążał tropem moich kroków i moich myśli...*

*Nie zdradził nawet, że domyśla się prawdziwej roli swego asystenta. Dlaczego? Może postanowił uczynić szpiega nieświadomym współnikiem, a dzięki jego nieświadomości, współnikiem niezwykle wiarygodnym. Conrad śledził każdy jego krok, pisał sprawozdania Konstancji. Hrabia dbał, by szpieg przekazywał relacje wiarygodne, a nawet prywatne i intymne. Z Conrada uczynił sobie latarnię, która oświetlała jego czyny i zamiary. A może rzec inaczej. Sekretarz był cieniem swego pana, pan jednak wiedział o cieniu i dbał o to, by cień tak się układał, jak on sobie tego życzy.*

*...Gdy traciłem nadzieję, że mogę cokolwiek zmienić, uwolnić od duszących mnie cieni, znowu spotkałem tego, który mnie uleczył. Pojąłem, że sam zniweczyłem terapię. By uleczyć duszę, musiałem mieć zdrowe ciało...*

*To chyba o tym, jak za namową Marcinkowskiego pojechał do wód do Gastein. Z docierających do Poznania wieści wynikało, że hrabia bardzo przyspieszył zaleconą mu wtedy kurację. Zdrowiał niemal z dnia na dzień. Czy spieszył się tak bardzo, bo chciał w pełni sił i zdrowia wystrzelić się na drugi świat?*

*...Wiedziałem, że nikomu nie mogę ufać, że nikogo nie mogę wprowadzić w mój tajny plan, że nikt mnie nie zrozumie, a każdy mnie potępi i zdradzi. Ukazywałem im tylko swoje zboliałe cierpieniem oblicze....*

*Pan się leczył, a sekretarz donosił o nasilających się bólach kręgosłupa, o nawrotach depresji, o czarnej melancholii, w jaką popada hrabia. Bóle miały być tak wielkie, że kazał sobie przygotować marmurowe łożo, w którym się kładł. Wyglądał wtedy jak na katafalku.*

*...Mimo melancholii, jaka mnie ogarniała, i chęci ucieczki od tego świata, starałem się uczynić jak najwięcej dobrego dla mych krajan...*

*Pamiętałem wnioski hrabiego z ostatnich sejmów prowincjonalnych. Postulował o szkołę realną w Poznaniu, o niezamykanie więźniów w kazamatach, a wysyłanie na jakąś*

wyspę, o powołanie szkoły dla panien szlacheckich. Dla żadnego wniosku nie uzyskał poparcia krajan w sejmie, wszystkie przepadły, a przecież wiedział, jak pozyskiwać głosy. Chyba mu na nich szczególnie nie zależało, wiedział, że i tak nie zobaczy efektów.

...Zawsze znajdował się ten, co niszczył to, co chciałem zbudować. Jak szatan, który sam nic nie buduje, a dzieła boskie niszczy...

Pan Edward spodziewał się pewnie, że na sejmie w 1843 roku odbierze hołdy i podziękowania za urządzenie kaplicy królów polskich. Powstała wszak dzięki jego inwencji, zaangażowaniu i pieniądзом. A tu poseł Pantaleon Szuman zarzuca mu pychę i magnacką dumę, a inni go popierają. Hrabia się nie bronił, nie przedstawiał swych racji. Wielu by się zresztą znalazło gotowych bronić takiego pana. Wystarczyło, by skinął. Nie skinął. W pokorze przyjmował zarzuty. Jakby wiedział, że bez żadnych słów wygra ten pojedynek. Ze smutkiem patrzył na posła ze Swarzędza, świadom jego małości i swego ostatecznego zwycięstwa. Nawet jeśli osiągnięte zostanie zza grobu. On zapamiętany zostanie jako niezrozumiany i niedoceniony filantrop, a poseł Szuman wyłącznie jako ten, co popchnął go ku samobójczej śmierci.

...Gdy zły wszedł nawet do przybytku bożego, który stać się miał za mą przyczyną świątynią narodową, zrozumiałem, że na tym świecie sił mi nie starczy na zła pokonanie...

Inscenizacja była przygotowana doskonale. Hrabia zaplanował wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Dopilnował, by robotnicy starannie zatarli jego nazwisko na marmurowej płycie w kaplicy królewskiej. – Skoro nie chcecie uznać we mnie fundatora i mecenasa, skoro jesteście tak niewdzięczni, to nie będę zabiegał o waszą łaskę, sam się usunę – zdawał się mówić tym symbolicznym gestem. A we wszystkim towarzyszył mu osobisty sekretarz Conrad, który potem wszystko dokładnie wszystkim sprawozda.

...Poznań to zbyt małe miasto dla mnie, nie na skalę mych myśli i zamierzeń, nie ma w nim stosownego rozmachu w murach i w ludzkich umysłach...

Z listów Conrada do hrabiny Konstancji wynika, że podczas listopadowego pobytu hrabiego w Berlinie, szpieg-sekretarz nie miał możliwości kontrolowania swego pana. Hrabia

wychodził z pałacu brata przy Unter den Linden 21 w południe i wracał późnym wieczorem. Nikt nie wiedział, co wtedy robił, z kim się wówczas spotykał.

*...Mądrzej uczynił mój brat, wybierając stołeczny Berlin i niemiecką kulturę.  
Tam go potrafią docenić...*

*Hrabia Atanazy szybko zraził się do Poznania i Wielkopolski. W czasie, gdy brat korzystał z jego berlińskiej rezydencji, on – jako poseł pruski – bawił w Hiszpanii i Portugalii. Namawiał brata, by porzucił Poznańskie i przyjechał do Lizbony, gdzie oddzielony od spraw polskich będzie w przyjemnym klimacie przyjemnie spędzał czas. Hrabia Edward odrzucił zaproszenie, ale uczynił to dla zadowolenia żony, syna i własnego poczucia odpowiedzialności. Zaczął przemyślać nad zrealizowaniem konkretnego planu. W Berlinie spotykał się z ludźmi, którzy mieli mu pomóc w ucieczce i zatarciu śladów.*

*...Sklaniając się coraz bardziej ku odejściu z tego świata, pozostawić po sobie postanowiłem pogrzebowy podarunek, by ci, którzy nie chcą mi towarzyszyć, nie musieli iść drogą, z której nie ma odwrotu...*

*Dom pozornie umarłych – pomyślałem – pośród wszystkich niepowodzeń ostatnich lat, ten projekt hrabia doprowadził do udanego finału. Założył małe funeralium, w którym składano na kilka dni zmarłego, by sprawdzić, czy nie popadł jedynie w letarg. A gdy dzwonek, zawieszony na sznurku, którego koniec przywiązany był do palca u nogi „pozornie zmarłego” przez trzy dni nie zadźwięczał, „pozornie zmarły” stawał się „faktycznie zmarłym” i mógł zostać złożony w grobie bez obawy, że się obudzi zakopany. Dom pozornie umarłych – powtórzyłem bezgłośnie, a potem przyszła mi myśl tak zdumiewająca, że natychmiast włożyłem płaszcz i ruszyłem ku domowi przedpogrzebowemu.*

\*\*\*

Policjant Egon Krenz stał przed dyrektorem policji poznańskiej i szczegółowo raportował ustalenia, jakie poczynili w trakcie kilkudniowego dochodzenia. Julius von Minutouli siedział wpatrzony w budynek teatru stojącego przed oknem jego gabinetu, wydawało się, że nie słucha monotonnego wywodu podwładnego. Nagle – jakby otrząsnął się z odrętwienia – przerwał policjantowi:

– A jak ci, co przeżyli? Jak to zniosła pani hrabina Raczyńska?

– Pani hrabina bardzo dzielnie zniosła ten straszny cios. – Krenz po chwili zrozumiał pytanie. – Robi wszystko, by zmniejszyć hańbę rodziny. Z proboszczem się ugodziła, że da pieniądze na dokończenie kościoła w Zaniemyślu, a jej mąż za to spoczął w grobie przy kościelnym murze. Żeby nie leżał pod cmentarnym płotem jak jakiś pospolity samobójca, ale przy kościele, jak wielki pan.

– I płytę nagrobną mu ufunduje, jak wielkiemu panu? – zapytał jeszcze.

– Nie, panie dyrektorze – odparł szybko policjant. – Pani hrabina ma całkiem inny zamysł. Na grobie umieścić postanowiła swój pomnik, ten, co go niedawno dla pana hrabiego z Berlina przywieźli i co miał stanąć na studziencie Priesnitza. Będzie stał pod kościołem, na grobie pana hrabiego i napis tam jeszcze będzie.

– Jaki napis? – zainteresował się Minutouli.

– Taki jakiś... – Policjant zaczął nerwowo wertować swój notes, bo pamiętał, że treść inskrypcji zanotował, ale nie uznał jej za na tyle ważną, by umieścić w raporcie. – „Tu spoczywa Edward hr. Nałęcz Raczyński, który dla siebie był skąpy, pomocny biednym, hojny dla Ojczyzny” – odczytał pośpiesznie.

– I ani słowa o miłości, o tęsknocie, o żalu, o tym, jakim był wspaniałym mężem i ojcem, i jak bardzo będzie go rodzinie brakowało? – raczej powiedział niż zapytał.

– No ma być jeszcze coś o żonie – niepewnie wyjąkał policjant.

– Co o żonie? – podchwycił Minutouli.

– Coś, że wierna żona zawsze przy mężu, czy jakoś podobnie – odpowiedział niezbyt pewnie komisarz.

– Wierna żona zawsze przy mężu – zadumał się dyrektor.

\*\*\*

*Gdy wychodziłem z przysadzistego budynku naprzeciw miejskiego teatru, domyślałem się prawdziwego rozwiązania zagadki. Czulem, że kawałki tej hrabiowskiej układanki krążą wokół mej głowy, czulem, że jestem bliski tego wspaniałego momentu, gdy pierwszy klocek znajdzie się na swoim miejscu, a w ślad za nim kolejne będą zajmowały właściwe pozycje, a w mojej głowie ułoży się cała ta układanka.*

*Wizyta w domu pozornie umarłych potwierdziła moje podejrzenia. W ostatnich dniach złożono tam trzech pozornie umarłych. Jeden był mieszczaninem, którego rodzina zabrała i pochowała na cmentarzu świętomarcińskim, drugim był pomocnik rzeźnicki z Chwaliszewa, który zginął w czasie bójki, trzecim był kupiec ze Gostynia. „Kupiec z Gostynia” został zabrany saniami pana hrabiego, który postanowił odwiedzić zmarłego rodzinie. Strażnik*

*funeralium płakał, opowiadając o wielkim sercu hrabiego, który sam dzień później wieziony był tym samym karawanem.*

*W innej sytuacji sprawdziłbym w księgach parafialnych Gostynia i pobliskich miejscowościach, czy rzeczywiście zmarł tam ktoś w ostatnich dniach i czy go grzebano na miejscowym cmentarzu, po przywiezieniu z Poznania. Tym razem nie było takiej potrzeby, bo bez tego wiedziałem, że nic takiego nie miało miejsca. Stare policyjne przysłowie mówi, że jak nie ma trupa, to nie ma zbrodni. Uśmiechnąłem się do tego, który potrafił tak twórczo rozwinąć tę prostą myśl.*

\*\*\*

Julius von Minutouli, widząc że policjant nic więcej już nie doda do tego, co wyrecytował, postanowił podsumować ustalenia policyjnego dochodzenia.

– Hrabia poszedł ku Kępie Zaniemyskiej po skutym lodem jeziorze i tak wszyscy go zapamiętali: gdy zniknął wśród zimowych mgieł.

– Tak jest – przytaknął policjant.

– Wcześniej wysłał do hrabiny Conrada, potem odesłał strażnika, który pilnował szwajcarskiego domku, a jego córce nakazał, by zaniósła list – w którym żegnał się z żoną – do proboszcza zaniemyskiej parafii.

– List pożegnalny – powtórzył policjant. – Tak, jak to samobójcy mają w zwyczaju.

– Raportujecie dalej, że wyprowadził armatkę wiwatową na ganek szwajcarskiego domku, podpalił lont, klęknął przed lufą, a gdy ta wystrzeliła, to siła wybuchu była tak wielka, że oderwała hrabiemu głowę, której szczątki rozsypały się po okolicy.

– To prawda – skwapliwie przyznał śledczy.

– Po dekapitacji, nikt z tych, którzy przybyli na miejsce zdarzenia, nie był w stanie rozpoznać hrabiego, wszyscy odwracali wzrok od korpusu pozbawionego głowy, taki to był koszmarny widok.

– Dokładnie tak właśnie, panie komendancie – przytaknął policjant.

– Potem, ci, co by potrafili hrabiego rozpoznać – kontynuował Minutouli – także go nie identyfikowali, bo nie chcieli nawet podnosić wieka trumny z jego zmasakrowanymi doczesnymi szczątkami.

– Nie chcieli – potwierdził policjant.

– A teraz, ten bezgłowy trup, który leży w grobie przy kościelnym murze, przyciśnięty zostanie jeszcze kilkunowym monumentem jego żony. Tak więc nikt się tego grobu otworzyć już nigdy nie poważy?

- Tak jest, panie komendancie – przytaknął machinalnie policjant.
- A ślady sań po drugiej stronie wyspy toście chociaż widzieli? – Dyrektor nieoczekiwanie zmienił wątek.
- Były ślady sań, zakołowały – odpowiedział machinalnie policjant. – Ale całkiem już zawiane, zupełnie nie dało się stwierdzić, dokąd prowadziły.
- No to, skoro nie ma żadnych śladów... Nie ma poszlak, by ktoś hrabiemu pomagał w rozstaniu się z życiem. Policja nie ma tu nic więcej do zrobienia. Zamykamy sprawę.
- Do archiwum? – zapytał policjant, patrząc na tekturowe teczki z dokumentami dotyczącymi Raczyńskiego.
- Jutro – rzucił krótko Minutouli. – Dziś jeszcze nie skończyłem.

\*\*\*

*Sięgnąłem do torby, by wyjąć list, który przyniósł do mnie tajemniczy człowiek w noc śmierci hrabiego. Może ktoś, kto przyjdzie po mnie, będzie miał więcej talentu i odnajdzie rozwiązanie sekretu jego śmierci. Byłem przekonany, że taki sekret istnieje i, mimo że się do niego zbliżyłem, to jednak go nie odkryłem. Pajęczna sieć tajemnicy osnuwała postać hrabiego, trudno było się do niego zbliżyć, trudno było rozszyfrować jego zamiary za życia, co dopiero jego zagadkową i tak nieprawdopodobną śmierć. Zawodowa uczciwość nakazywała mi, bym pozwolił temu, który po latach wróci do tej sprawy, by miał komplet informacji, którymi ja dysponowałem. Jeśli będzie potrafił je lepiej spożytkować, to jego zasługa i chwała. Czulem się zobowiązany do przekazania mu także tajemniczego listu. Przeczytałem go raz jeszcze i spojrzałem na ostatnie zdanie.*

*...Byłem jak błędny rycerz, który wierzył w moc słowa i chciał świat modelować, tak by pasował do pięknych słów. Póki sił i wiary mi starczało, walczyłem z wiatrakami, gdy zasłona z oczu mi spadła... odchodzę tak, jak ten błędny rycerz...*

*Przeczytałem to zdanie jeszcze kilka razy. Z przyjemnością patrzyłem na śnieżne płatki kołujące za oknami mojego gabinetu. Podobno śniegowy płatek ma najdoskonalszą strukturę. Uśmiechałem się do płatków, czując, jak wszystko zaczyna się składać, jak poszczególne elementy odnajdują swoje miejsca, jak cała opowieść się domyka.*

\*\*\*

Julius von Minutouli  
Dyrektor Królewskiej Policji w Poznaniu

Raport w sprawie śmierci Edwarda hr. Raczyńskiego

Jako Dyrektor Królewskiej Policji w Poznaniu zleciłem dochodzenie w sprawie okoliczności samobójczej śmierci Edwarda hr. Raczyńskiego w miejscowości Zaniemyśl. W trakcie przeprowadzonych czynności policyjnych nie stwierdzono udziału osób trzecich, które by się mogły przyczynić do śmierci denata, co nakazuje przyjąć tezę, że zginął śmiercią samobójczą.

Prezydent Policji w Poznaniu  
Julius von Minutouli

Tajny aneks do raportu

W toku prowadzonego śledztwa ukazały się jednak okoliczności, które nakazują powziąć poważne wątpliwości co do tego, czy hrabia Edward Raczyński faktycznie zginął śmiercią samobójczą. Okoliczności te to:

- 1) fakt otrzymania tajemniczego listu, skierowanego do komendanta policji w Poznaniu Juliusa von Minutoulego;
- 2) fakt zniknięcia zwłok mężczyzny, wieku i postury hrabiego, które złożone były w domu pozornie umarłych zorganizowanym przez hrabiego;
- 3) fakt, że nikt nie dokonał identyfikacji pozbawionych głowy zwłok mężczyzny znalezionych obok armaty wiwatowej w Zaniemyślu;
- 4) fakt, że rodzina dokonała szybkiego pochówku zmarłego, a jego grób został zabezpieczony poprzez ustawienie na nim ciężkiego pomnika z brązu;

W przypadku wybitnego intelektualisty, jakim był hrabia Edward Raczyński, dochodzenie nie może zostać ograniczone do zwykłej policyjnej roboty, ale wymaga pogłębionej analizy. Wszystkie wskazane w raporcie, dokumentach ze śledztwa oraz w powyższych punktach wątpliwości stają się bardzo istotne w kontekście:

- 5) faktu, że ulubioną lekturą hrabiego Edwarda Raczyńskiego były przygody przemysłnego szlachcica Don Kichota z La Manchy.

Przemysłny szlachcic Don Kichot z La Manchy to bohater, który w młodości czytał romanse rycerskie i na ich podstawie zbudował sobie obraz świata i wyobrażenie samego siebie. Uznał, że musi być błędnym rycerzem, który będzie bronił honoru damy – Dulcyniei. Wszystkie zdarzenia, które go spotykały, interpretował w ramach swojej – literackiej – wizji świata. Podobnie rzecz się miała z hrabią Edwardem Raczyńskim, który wychowany został na książkach, które jako cechy właściwe arystokracji wskazywały uczciwość, lojalność, wierność, oddanie, rzetelność. Naiwny hrabia starał się te cechy realizować w swoim życiu. W finale powieści hiszpański szlachcic pojmuje, że literatura zatrzymała mu wyobraźnię, żałuje tego, że zmarnował życie, pozostawia majątek krewnym oraz przyjaciółom i umiera.

Autor nie dał jednak jednoznacznej odpowiedzi, czy Don Kichot umarł w sensie fizycznym, czy umarł jako kreacja paraliteracka. Istnieje przekonanie, że po „śmierci” błędnego rycerza, odrodził się jako normalny człowiek, który pragnie czerpać z życia.

Podobnie rzecz się ma z hrabią Raczyńskim. Zdaniem miejscowego Dyrektora Królewskiej Policji możliwym jest, że hrabia Raczyński umarł jako postać skonstruowana przez nakazy, normy i powinności, a równocześnie urodził się jako wolny człowiek, który postanowił żyć nieobciążony żadnym konwenansami i obligami. Za powyższym rozumowaniem przemawia fakt spektakularnej śmierci hrabiego Raczyńskiego. Jako człowiek pełen powinności nie miał tyle wewnętrznej siły, by zmienić swe życie. Ponadto sam fakt zakończenia/rozpoczęcia życia wystrzałem z armatki wiwatowej wydaje się wskazywać na radosny charakter tego zdarzenia, a trudno by na wiwat strzelać na okoliczność śmierci.

W związku z powyższym zbrodni samobójstwa nie popełniono.

Julius von Minutouli

*Patrzyłem na list otrzymany od tajemniczego przybysza, spoglądałem na raport leżący przede mną. Wahalem się czy włożyć je do teczki sprawy hrabiego Raczyńskiego. Wyjąłem kopertę, włożyłem do niej oba dokumenty i zalakowałem. Na kopercie umieściłem napis „Nie otwierać przez 100 lat – do stycznia 1945 roku”. Uznałem, że to wystarczający czas dla rodziny Raczyńskich.*



rys. Roman Panasiuk



# KARASU

Agnieszka Barańska

– Leje. I znowu zgubiłam wieszak. Byłam pewna, że zostawiłam go na balkonie...

Tokio w deszczu bywa przygnębiające, szczególnie pod koniec jesieni. Kiedy gęste chmury bezustannie zasłaniają słońce, porę dnia można określić głównie dzięki dźwiękom. Młodzież wracająca ze szkół, hałas z salonów gier, wieczorne występy ulicznych muzyków – wszystko to pozwala na ustalenie godziny z dokładnością do kwadransa.

Jest jeszcze poranne krakanie. Niezawodne jak szwajcarski zegarek.

Zaspany Jim dołączył do Miyako na balkonie i rozejrzył się z roztargnieniem. Widok nie należał do oszałamiających, gdyż budynek naprzeciwko był równie wysoki i nieciekawym jak ten, w którym mieszkali. Rolety, okna, pranie, parę doniczek. Balkoniki o symbolicznej wręcz powierzchni jednego tatami nie nadawały się do niczego więcej.

– Lada chwila przestanie padać. – Jim ziewnął. – Mówisz o tym wieszaku? – Wskazał kruka, balansującego na poprzeczce jednego z balkonów. Ptaszysko usiłowało wygiąć

przytrzymywany nogą łup w taki sposób, by nie przeszkadzał mu podczas lotu. – Zmyślne stworzenie.

– To tylko durny ptak. Niby na co mu moje wieszaki?

– Zbuduje z nich gniazdo. Pokażę ci. – Jim zniknął w pokoju, by wrócić po chwili ze smartfonem. Pokazał jej zdjęcia. – O tu, widzisz? Dziwaczne konstrukcje, nie? Podobno zakładają takie, gdy w okolicy brakuje gałęzi.

Przyjrzała się fotografiom. Kruki ciskały na nich nienawistne spojrzenia z plastikowo-drucianych gniazd, niezadowolone z faktu, że zakłóca się ich prywatność. Poczula ukłucie niepokoju.

– Mam nadzieję, że nie patrzyłeś im w oczy?

– Czemu nie? – Z uśmiechem przeglądał galerię. – O, to moje ulubione.

Na ekranie zobaczyła nasadę potężnego dzioba i błyszczące oko. Nie było to oko psa czy innego łagodnego stworzenia, które żyło spokojnie we własnej przytulnej niszy, nie wchodząc nikomu w drogę. W jego wzroku kryła się nieprzeciętna inteligencja i złośliwość.

– Mówi się, że jeśli pochwycisz spojrzenie kruka lub wrony, spotka cię coś złego.

– Serio? Ciekawe macie przesady.

Uderzyła go skarpetą.

– Nie żartuj, kiedy się o ciebie martwię, okej?

– Okej, tylko bez dąsów. – Przytulił ją mocno, pocałował. – Nie przejmuj się. Twój *gaijin* nie wierzy w zabobony. Nie, brudasie? – krzyknął w stronę balkonu.

Kruk zakrakał ochryple, jakby w odpowiedzi.

– Brzmi jak mewa na sterydach – zaśmiał się Jim.

– Chyba cię zrozumiał.

Ptak rozłożył skrzydła, wciąż krzycząc. W końcu zerwał się do lotu ze złowieszczym „Grra!”. Porzucony, zmalretowany wieszak z denerwującym dźwiękiem runął z balkonu w kałużę.

\*\*\*

Na przerwie wyskoczyła po zieloną herbatę. Edycja jesienna z liściem klonu była wyborna, skutecznie odpędzała ataki przygnębienia. Miyako potrafiła wypić dwie, trzy butelki pod rząd, uwielbiała ten smak.

Pędziła z powrotem do pracy skrótem przez park. Obcasy żwawo stukały o chodnik, palec mknął po ekranie telefonu, przerzucając wiadomości i statusy. Żadnych wieści od Jima. Dziwne. Chyba był wyjątkowo zajęty.

– Nic się pani nie stało?

Kawałek dalej na ścieżce utworzyło się niewielkie zbiegowisko. Dwóch typowych salarymanów wracających z lunchu oraz studentka rzucili się na pomoc leżącej staruszce. Piękne, soczyste morele toczyły się wokół jak kule bilardowe. Między nimi leżał spory kamień.

– To kruk. Rzucił we mnie! – tłumaczyła starsza pani. Miyako spojrzała w górę. Wspomniane ptaszysko siedziało niewzruszone na gałęzi, dokładnie nad ich głowami, i nie miało zamiaru przesunąć się choćby o centymetr. Wyglądało na zadowolone z sensacji, jaką wywołało. Jego pióra mieniły się jaskrawym fioletem. – Jestem pewna, że zrobił to specjalnie.

– To tylko ptak, pewnie pomylił kamień z orzechem. Zrzucają czasem orzechy pod koła samochodów, żeby rozbić skorupy.

– No nie wiem, takie głupie to one nie są – nie dawała za wygraną staruszka.

– Nie są – przytaknął jeden z mężczyzn, wyższy, w szarej marynarce. – W firmie mamy na dachu ogródek, kiedyś przepędziłem stamtąd kruka, by nie zniszczył kwiatów. Następnego dnia sprowadził całe stado. – Wzdrygnął się. – To nie było przyjemne... Myślałem, że zaatakują.

Miyako minęła ich obojętnie w akompaniamencie charknięć i dziwacznych ptasich okrzyków. Za plecami dyskutujących trzy mniejsze kruki ukradkiem zjadały porzucane owoce.

Jim nie wrócił z pracy. Przez dzień, tydzień, dwa tygodnie. Miyako zgłosiła zaginięcie, lecz odesłano ją z kwitkiem. Sądząc po minach policjantów, uznali, że *gaijinowi* znudziła się azjatycka zabawka i zwał do siebie. Byli mili na tyle, by powstrzymać się od głośnego śmiechu za jej plecami.

Szukała go. Wydzwaniała, dopytywała, chodziła po mieście. Wszystko na nic, jakby nigdy nie istniał.

Dnie przepracowywała jak automat, nocami zaś długo nie mogła zasnąć. Budziła się z krzykiem. We śnie zobaczyła zwłoki Jima na parkingu pod balkonem. Kruki wydziobywały mu oczy.

Lekarz przepisał jej silne środki na uspokojenie. Nie mogła znieść politowania w jego głosie i spojrzeniu. Pewnie wyglądała na żalną desperatkę, która nie może się pogodzić z faktem, że została porzucona.

Z czasem włóczenie się po mieście w wolne dni w poszukiwaniu Jima stało się dla niej swoistym rytuałem. Zawędrowała w zakątki miasta, o których wcześniej nie miała pojęcia. Spenetrowane dzielnice zakreślała na mapie. Na sprawdzenie czekały dwadzieścia trzy okręgi, ponad dwa tysiące kilometrów kwadratowych, wypełnione po brzegi obojętnymi na wszystko ludźmi. Nic dziwnego, że Tokio to miasto samotnych.

Pochłonięta poszukiwaniami, nawet nie zauważyła, że zrobiło się późno. By zdążyć na ostatni pociąg, skręciła w wąską uliczkę. Niestety, nie była tu sama. Wyprostowała się i z wawym krokiem ruszyła do przodu, zanim opuściły ją resztki odwagi.

Otoczony kłębem papierosowego dymu starszy pan siedział na wysokim krawężniku. Patrzył na coś. Wzdrygnęła się, dojrawszy martwego ptaka z rozpostartymi skrzydłami i nienaturalnie wygiętą szyją. Mężczyzna niemal dotykał go czubkiem buta.

– Niech się panienka nie boi. To tylko zdechły kruk. – Zaciągnął się solidnie, z lubością. – Jeszcze piskłę. Zbyt wcześnie wyleciało z gniazda.

– Zna się pan na krukach? – Miyako przystanęła kawałek dalej, by nie patrzeć w szkliste oczy trupa.

Skinął głową.

– Szkolili nas. – Jego słowa ociekały goryczą. – Kilka lat temu wymyślili, że masowe morderstwo będzie lepszym rozwiązaniem niż pilnowanie śmietników.

– Brał pan udział w tej akcji?

– Tak, opróżniałem pułapki, wspinałem się do gniazd i zabijałem piskłęta. Eterem, gazem, różnie bywało. Ich rodzice siedzieli na pobliskich gałęziach i patrzyli, patrzyli w taki sposób... – Zakaszłał głośno, boleśnie. – Do dziś żałuję, że nie nosiliśmy masek. Kruki poznały nasze twarze. Zapamiętały je. Tylko ja jeszcze żyję. Nie dam im satysfakcji, o nie!

– Co się stało z pozostałymi?

– Zniszczyły ich. Wszystkich. Mnie też próbowały wykończyć. Przepraszam. Pogrzebałem zwłoki wszystkich młodych. Pojechałem do Kamakury, do świątyni Kruczych Tengu, błagając o wybaczenie. – Wyrzucił niedopałek i natychmiast zapalił kolejnego papierosa, jakby miał zamiar zniknąć w szczelnym kokonie trujących oparów, w którym nikt nie zdoła go osiągnąć. – Nic to nie dało. Zabrały mi rodzinę, dom i zdrowie. Jeśli spojrzalas im w oczy, panienko, też jesteś zgubiona. To jest wojna.

Nie wiedziała, jak zareagować. Czuła się nieswojo, nie chciała prowokować szaleńca, więc skłoniła się tylko i odeszła.

– Zasłużyliśmy sobie na to! – Mężczyzna śmiał się opętańczo za jej plecami. – Nie mieliśmy prawa tego robić. Nadszedł czas zapłaty, sprzyjają im mściwe *tengu*!

Echa jego upiornego rechotu odprowadziły Miyako do końca ulicy, nim zamieniły się w ciężki kaszel, a potem ucichły na dobre.

Dziewczyna nagle zatęskniła za domem i wygodnym łóżkiem. Gdzie się teraz znajdowała? Czy to Kanda? Żle znosiła tabletki. Jeszcze gorzej brak Jima. Od metalicznego zapachu mokrej jezdni i bezustannego drżenia skręcał się jej żołądek. Przechyliła się przez barierkę i zwymiotowała do kanału. Wysoko nad jej głową z rykiem przejechała ciężarówka.

\*\*\*

Jakoś dotarła na stację i bezwiednie wybrała właściwy pociąg. Jedno przejście dla pieszych, potem drugie. Ucichło monotonne pikanie bramek, a ponure wieżowce zasłoniły niebo. Z osiedlowego sklepu sączyła się w mrok wciąż ta sama, jękliwa melodia z lat sześćdziesiątych.

Czyli była w domu.

Jej umęczone oczy zachodziły mgłą, w głowie wciąż dudnił śmiech szaleńca. Gdy w końcu rzuciła się na łóżko, budynek zadygotał. Była gotowa uwierzyć, że to złudzenie, lecz we wszystkich okolicznych oknach równocześnie rozbłysły światła. Jednak trzęsienie? Nie miała teraz siły na ewakuację.

Na dziesięć minut okolica zastygła w milczącym oczekiwaniu. Dalsze wstrząsy nie nastąpiły, lampy zgasły. W końcu miała chwilę spokoju. *Nocą przecież nie kraczą*, pomyślała.

Przynajmniej dopóki nie zaśnie.

*Japończycy słyną z milczących protestów*, stwierdziła w duchu Miyako. Demonstranci koczują zazwyczaj przy wejściach do tuneli, przy stacjach metra i centrach handlowych. Skwapliwie korzystają z prawa do swobodnego wyrażania opinii, najczęściej spisanych na kolorowych tabliczkach. Dziewczyna minęła już cztery plakaty nawołujące do uznania suwerenności Okinawy i kilkanaście haseł z cyklu „Wolny Tybet”.

Nie wszyscy jednak potrafili zachować uprzejme milczenie. Czasami organizowali uliczne przedstawienia, jak tamta barwna grupa przy skrzyżowaniu. Wymachiwali

czerwonymi kartkami z namalowanymi tuszem krukami i misternie wykaligrafowanym tytułem „Karasu Purojekuto”.

– Jesteśmy tylko jednym z wielu gatunków. – Głos głównego podżegacza, zniekształcony przez megafon, brzmiał jak u nadętego kaznodziei, gotowego zginąć za swoje przekonania. – Lubimy myśleć o sobie jako o tym najważniejszym, najmądrzejszym. Kruki najwyraźniej pomyślały tak samo. Są agresywne. Zorganizowane. I przebiegłe. Ludzie, brońcie się, zanim będzie za późno!

Powstrzymanie się przed próbą zaatakowania go torebką wymagało od Miyako wielkiego wysiłku. Miała dość kruków. Podczas wędrówek po mieście widziała czarne ptaszyska rozszarpujące kocięta w zaułkach, wyrywające dzieciom ciastka i przewracające wózki z zakupami. Wystarczy! Czy ci ludzie nie mieli zajęć lepszych niż zatruwanie życia przechodniom? Nikt na nich nie czekał, nie zaproponował hobby mniej uciążliwego dla otoczenia?

Zniknęła pospiesznie za dworcowymi bramkami, chociaż wcale nie musiała nigdzie jechać.

\*\*\*

Nie przypuszczała, że można przeżyć tyle czasu na kawie i ryżowych krakersach. Musi to zmienić, dbać o siebie. Musi być gotowa na powrót Jima. Silna.

Jak dotąd nawet zabezpieczenie worka ze śmieciami stanowiło dla niej problem. Dopilnowanie, by kruki nie rozwlekły odpadków po okolicy, należało do obowiązków mieszkańców.

Cholerne szkodniki. Ciągle miała przez nie pod górkę.

Wróciła do siebie w akompaniamencie porannego krakania. Włączyła telewizor, przerzuciła od niechcienia kilka kanałów. Nie miała ochoty na banalne, cukierkowe śniadaniówki. Ożywiła się, gdy na ekranie mignęły ciemne pióra, a w tle zamajaczył tokijski stadion. Komentator bredził coś o „nowej bohaterce, walczącej z miejską plagą”. Zbliżenie. Uśmiechnięta dziewczyna w mundurku wypuściła w powietrze jastrzębia. Drapieżnik wzniósł się z krzykiem, zakołował nad barierkami, płosząc stado czarnych ptaków.

Były wszędzie. Niespiesznie odrywały się od ziemi, bardziej zirytowane niż przestraszone. Oczywiście żaden nie chciał oberwać zniecka szponami, jednak samotny jastrząb nie wzbudził w nich nawet krztyny respektu.

Następne ujęcie. Na tle, zarysowanym najbardziej tandetną mangową kreską z możliwych, pojawił się ulizany okularnik. Zgodnie z podpisem był to Doktor Ochida.

– Inteligencja kruków jest niezaprzeczalna – mówił. – Udowodniliśmy, że posługują się złożonym systemem dźwięków, nadają sobie wzajemnie „imiona”, potrafią też przekazywać informacje o potencjalnych zagrożeniach. Dlatego są kłopotliwe. Wydaliśmy na walkę z nimi mnóstwo pieniędzy. Dlaczego? Bo się ich boimy. Bo nie wiemy, kto jest mądrzejszy – my czy one.

Wyłączyła telewizor i cisnęła pilotem za siebie. Wylądował bezdźwięcznie na zwiniętym futonie.

– Kurwa – mruknęła pod nosem. Na więcej nie miała siły.

Na pewno wszystko się jej przyśniło. Nocne rozmowy, samozwańczy prorocy, podejrzane informacje w telewizji... Może Jim też był jedynie przywidzeniem, a zdjęcie w ramce na nocnym stoliku przedstawiało losowego przystojniaka wyciętego z gazety?

Westchnęła boleśnie. Przynajmniej tabletki były prawdziwe. Butelka sake nawet bardziej.

\*\*\*

Tym razem Miyako spędzała niedzielny wieczór w wyjątkowo podłej okolicy. Skręciła w krótką uliczkę, której nie zaznaczono na najnowszej mapie. Było jej absolutnie wszystko jedno.

Powitała ją cisza, przytłaczająca i lepka. Z jakichś przyczyn mieszkańcy opuścili to niewielkie osiedle, a władze miały chwilowo poważniejsze zmartwienia. Szkielety zdewastowanych budynków nie wyglądały przyjaźnie, zbytnio przypominały krajobraz po trzęsieniu ziemi.

Mimo obaw i szalonych obrazów, jakie podsuwała dziewczynie pobudzona strachem wyobraźnia, Miyako nie zawróciła. W jej obecnym stanie brak ludzi, ich podejrzliwych spojrzeń i osądających komentarzy, wydawał się wybawieniem.

Szybko spostrzegła, że ruiny zyskały nowych lokatorów. Ostatnie zdziczałe koty przestały przemykać w cieniu jakiejś dwie ulice wcześniej. Tutaj zaczynało się królestwo kruków. Obsiadały gzymsy, schody, drabinki, parapety i pozostałości rusztowań. Stąd rozpraszały się o świcie po całym Tokio. Miyako nie przypuszczała, że jest ich aż tyle. Czuli się jak w gigantycznej sypialni. Lub w obozie wroga.

Patrzyła z dołu na potargane kule ciemnego pierza, w niektórych miejscach ściśnięte tak ciasno, że wyglądały jak wielka ruchoma masa. Im wyżej, tym robiło się gęściej, głośniejsze, ptaki walczyły o najlepsze miejscówki na noc. Podczas tych drobnych potyczek, dziobnięć i przepychanek, czarna powierzchnia drżała, kruki wiły się i przelewały przez siebie jak zimujące węże.

Miyako poczuła narastające mdłości.

– Oddajcie go! – krzyżała. – Oddajcie mojego Jima!

Żaden z ptaków się nie odezwał. Patrzyły tylko z góry na dziwną, słabą istotę, wygrządzającą im z daleka pięściami. Ich spojrzenia nie wyrażały absolutnie niczego.

Dziewczyna nawet nie zauważyła, kiedy jej wrzaski nabrały piskliwego, desperackiego tonu, a z oczu pociekły gorące łzy. W przypiływie rozpacz podniosła z ziemi kamień.

– *Shine!* Zdychajcie, zdychajcie! – Cisnęła nim w skupisko smolistych piór.

Siedzące najbliżej ptaki niechętnie opuściły wygodne siedziska. Odleciały niespiesznie z gardłowym charkotem, zostawiając Miyako zwiniętą na chodniku. Wyglądała jak porzucona szmaciana lalka.

– Gdybym chociaż wiedziała, czy żyje... Tylko tyle.

\*\*\*

Zaspała na pociąg. Żeby zasnąć, musiała wlać w siebie jeszcze więcej alkoholu niż poprzedniej nocy. Wsiadając rano do samochodu, pomyślała, że nie był to najlepszy pomysł. Ledwo trafiła kluczykami do stacyjki.

Zatrzymała się na czerwonym świetle. Wielki, garbaty samiec kruka wylądował na znaku drogowym tuż nad przejściem dla pieszych. Metal wygiął się groteskowo pod ciężarem ptaszyska. Miyako obserwowała je kątem oka, niecierpliwie stukając paznokciami w kierownicę.

*Wziąć tabletkę*, powtarzała w myślach. *Jestem tylko zmęczona, to stres.*

Ruszyła równo ze zmianą, może trochę zbyt gwałtownie, zbyt nerwowo. Kruk jakby na to czekał. Czerń i łopoczące skrzydła wypełniły nagle pole widzenia dziewczyny. Wrzasnęła. Ptak tłukł dziobem w szybę, drapał ją pazurami i darł się, darł się, darł!

Świat Miyako w ciągu kilku sekund skurczył się do przeciągłego „Kaa–haa–kaa!”.



\*\*\*

– Halo? Słyszysz mnie pani?

Po policzkach Miyako płynęły łzy. Nawet nie mrugnęła, patrzyła tylko w sufit, ledwie słyszalnie mamrocząc pod nosem.

– Przestańcie krakać. Błagam, już nie. Tylko nie krakanie.

Pielęgniarki wymieniły się plotkami. Jedna podała leki i wyszła, druga włączyła telewizor, by umilić sobie dopiero rozpoczęty dyżur.

*Dzisiaj rano w okolicy Stacji Roppongi samochód osobowy zjechał na chodnik i uderzył w sklepową witrynę. Kierująca autem kobieta została przewieziona do szpitala, jej stan jest stabilny. Na szczęście nikt inny nie ucierpiał. Ruch został wstrzy...*

– To o pani – rzekła pielęgniarka ze współczującym uśmiechem. Wydawał się przyklejony na stałe do jej okrągłej twarzy. – Narobiła pani bałaganu.

Miyako nie słuchała, nie mogła. Przycisnęła głowę do poduszki, zacisnęła piekące powieki. Nie odczuła poprawy. Nadal docierał do niej wyłącznie szum skrzydeł i przeraźliwe, niekończące się „Kaa–haa–kaa!”.



# **SZORTAL**

UWOLNIJ MOC UKRYTĄ W SZORTACH

szorty o drabble o recenzje  
newsy o konkursy o forum

Krótko. Na temat. **CZYTAJ**

STEPHEN  
KING

BAZAR  
ZŁYCH SNÓW

Prószyński i S-ka



DWORZEC TO JEDYNE BEZPIECZNE MIEJSCE.  
CIEMNOŚĆ TU NIE ZAGŁADA.  
NA RAZIE...

CIEMNOŚĆ  
PŁONIE

JAKUBĆWIEK

SCN

„Przyprawiający o dreszcze, ale jednocześnie wciągający Demonolog zamienia Dziecko Rosemary Polańskiego w spacerek po parku”.  
S.J. Watson, autor Zanim zasną

DEMONOLOG

ANDREW  
PYPER

ZYSKI-SKA  
WYDAWNICTWO

THE  
WALKING DEAD  
ZYWE TRUPY

Z KODEM

„MAGAZYNHISTERIA”

KAŻDY HORROR TAŃSZY O 30%!

TYLKO NA [woblink.com](http://woblink.com)

Kod jednorazowy. Aktywny do 21.04.2016. Nie działa na e-booki objęte innymi promocjami.

STEPHEN  
KING

DOKTOR SEN

Prószyński i S-ka



GRABARZ

KRZYSZTOF HACZYŃSKI

novae res

Graham  
Masterton  
Infekcja

PREBIS



rys. Roman Panasiuk



# KRWAWY ROMEO

Piotr Rozmus

Kreśliła kontury niebieskiego, niesymetrycznego serca na zadrukowanej tabelami kartce z taką zaciętością, że końcówka długopisu wreszcie przedziurawiła ją na wylot. Westchnęła i rzuciła znudzone spojrzenie na ekran monitora, na którym widniały wypełnione cyframi rzędy komórek programu kalkulacyjnego. Kolejne zestawienie przychodów i rozchodów, raporty finansowe i wprowadzanie faktur... Jak ona nienawidziła swojej pracy. Czasami zastanawiała się, dlaczego wykonuje taką gównianą robotę i zaraz znajomy głos w jej głowie spieszył z odpowiedzią: „Bo ktoś tam na górze poskąpił ci talentu, abyś mogła robić coś lepszego”. I trudno się było z tym nie zgodzić. Zresztą nie tylko talentu jej poskąpił, urodą też nie grzeszyła, szczęścia nie miała ani w miłości, ani w grach liczbowych...

– Justyna! – Aż podskoczyła, słysząc swoje imię. – Skończyłaś już te raporty? Obiecałam prezesowi, że będą gotowe trzydzieści minut temu! – Kamila stała w drzwiach biura z rękami skrzyżowanymi na piersiach. W firmie krążyły plotki, że cycki są sztuczne.

Justyna nie wiedziała, ile było w tym prawdy, bo pracowała tu zaledwie od roku, a biust jej szefowej ponoć przeszedł tak imponującą metamorfozę przed dwoma laty.

– Yyy, jeszcze nie... – wyjąkała. Niebieskie jak morze oczy Kamili patrzyły z niedowierzaniem zza szkieł okularów w czarnych oprawkach.

– Jak to: jeszcze nie? Mówiłaś, że będą gotowe na czas! Wiesz przecież, że szef nie cierpi, gdy... – Reszty Justyna już nie słyszała, bo myślami była gdzie indziej. Zdania wypływane przez jej przełożoną zlepiły się w jeden wartki i szumiący potok słów, których nie rozróżniała. Młoda finansistka widziała, jak kształtne usta szefowej otwierają się i zamykają, jak cienkie brwi unoszą się i opadają, jak wysokie czoło marszczy się w geście poirytowania. Ty nadęta lafiryndo, pomyślała. Jesteś wyżej w tej pieprzonej hierarchii tylko dlatego, że masz talię osy, krótką spódniczkę ledwo zakrywającą twój chudy tyłek i sztuczne cycki, które zapewne zafundował ci prezesik. Na tę myśl kącik ust Justyny odrobinę uniósł się ku górze i dziewczyna miała nadzieję, że Kamila tego nie wychwyciła.

– ...skończysz?

– Słucham?

– Pytałam, kiedy skończysz?

– Myślę, że najpóźniej w przeciągu trzydziestu minut.

– Już to słyszałam. Pół godziny temu! Jeżeli po tym czasie raportów dalej nie będzie na biurku prezesa, sama się będziesz tłumaczyć. – Odwróciła się na pięcie i wyszła. Justyna zdążyła jeszcze przypatrzeć się wzorom motyli na rajstopach szefowej. Niewprawione oko mogło mylnie zinterpretować je jako tatuaże, ale finezyjne motywy na szczupłych łydkach zmieniały się każdego dnia.

Justyna wsłuchiwała się w stukot szpilek Kamili i kiedy ustał zupełnie, podparła brodę na dłoni i znudzona na powrót zaczęła wpatrywać się w rzędy cyfr. „Nigdy nie osiągniesz sukcesu” – usłyszała w swojej głowie. – „Ani w tym miejscu, ani w żadnym innym. A wiesz dlaczego? Jasne, że wiesz. Wiesz od dawna i utwierdzasz się w przekonaniu każdego dnia, zerkając w lustro. Bo brzydki ludzie mają w życiu gorzej. A jeżeli jeszcze są brzydki i do tego grubi jak ty, to już całkiem przesrane, kochanieńka”.

Taka była prawda, z którą zaczęła godzić się już dawno temu. Kamila pewnie nie posiadała połowy jej kwalifikacji, pomijając już ten drobny szczegół, że w ogóle nie nadawała się do kierowania ludźmi. W relacjach interpersonalnych była oschła, i jeżeli na jej różowych ustach już pojawiał się uśmiech, to był tak samo naturalny jak jej cycki, które z trudem mieściły się w obcisłych kostiumach.

Na dodatek jakieś pół roku temu los postanowił zakpić z Justyny po raz kolejny i znieawidzona przez nią szefowa kupiła kawalerkę tuż nad jej mieszkaniem. Nie dość, że musiała oglądać ją każdego dnia w pracy, to teraz była jeszcze jej sąsiadką.

Westchnęła głośno i siorbnęła kawy z czerwonego kubka. Kupiła go wczoraj w supermarkecie. Sklepowe półki aż ugięły się pod ciężarem walentynkowych gadżetów. Poduszki w kształcie serca, ramki na zdjęcia w kształcie serca, praliny w kształcie serca i... nawet pieprzone kubki w kształcie serca. Prowadząc przed sobą wózek wypchany po brzegi artykułami spożywczymi, na które w większości składały się czekoladowe batoniki i innego rodzaju słodycze, usłyszała dobrze znany głos, którego nie znosiła. „Jutro walentynki, nie? A ty jak zwykle spędzisz je sama z pilotem w ręku, zajadając się marsami, oglądając głupawe komedie romantyczne...”

– Zamknij się... – powiedziała pod nosem, lecz i tak za głośno, bo przechodzący obok mężczyzna zerknął na nią podejrzliwie. Uśmiechnęła się nieśmiało i uciekła spojrzeniem w drugą stronę. Poczuła, że się rumieni. Stała sama w „miłosnej alejce”, przez kilka minut wpatrując się w te wszystkie przedmioty i... odruchowo sięgnęła po kubek. Musiała przyznać, że był ładny, taki fikuśny i zaprojektowany z pomysłem. Odczytała cenę na spodzie – 14.99. Wahala się przez chwilę. A, niech będzie. Wstawiła go do wózka i już miała ruszyć dalej, jednak dorzuciła jeszcze dwa opakowania walentynkowych czekoladek.

„Jasne, nie żałuj sobie” – znowu jej wewnętrzny doradca. – „Jak sama sobie nie kupisz, to raczej nie masz co liczyć na prezent...”

Stojąc przy kasie, z rezygnacją przyglądając się długaśnej kolejce, która w jej ocenie nie postąpiła ani o milimetr od dobrych pięciu minut, dla zabicia czasu zaczęła przeglądać walentynkowe kartki powciskane w obrotowy stojak.

– No nie załamuj mnie. Nie mów, że jeszcze sobie kartkę kupisz. Może pójdziesz na pocztę i wyślesz sama do siebie? Najlepiej od razu wrzucić do skrzynki, to zaoszczędzisz na znaczku i starczy ci na kolejnego milky waya...

Chwyliła pierwszą lepszą kartkę, na której miś chłopczyk tańczył z misiem dziewczynką. Otworzyła i przeczytała krótki tekst.

*„Taki fajny z nas duecik, że mam ochotę wykręcić piruecik...”*

– To jest żalosne... – głos podsumował sentencję. Choć niechętnie, tym razem musiała przyznać mu rację. Kartka dobra raczej dla dzieciaka z podstawówki, a nie dla dorosłej kobiety. Wybrała kolejną.

*„Miłość jest piękna, dobrze o tym wiesz, jeżeli ktoś Cię kocha, Ty go kochasz też”*

– Nie no, kto im pisze te teksty? Przewodniczący kółka literackiego dla niedorozwojów?

Następna.

*„Miłość wpływa na człowieka terapeutycznie”*

– O, to jest dobre! Weź tę! Co jak co, ale terapia to by ci się przydała, chyba się zgodzisz? Ale przyznaj, nie zdecydowałaś się jeszcze na nią, bo za bardzo jesteś do mnie przywiązana, prawda?

Kolejna.

*„Czym jest słońce dla ziemi, tym miłość dla duszy”*

Przyglądała się tekstowi. Powtarzała w myślach. Przetrawiała. Mojej duszy przydałoby się słońce...

– Przepraszam – usłyszała za plecami. – Teraz pani.

Odwróciła się, zmuszając do uśmiechu. – A tak, przepraszam. – Rzuciła na taśmę walentynkę, do której po chwili dołączyły pozostałe artykuły.

Kiedy siedziała już w samochodzie, szykując się do odpalenia silnika, głos znów przemówił.

– Zdradzisz, dla kogo kupiłaś tę walentynkę?

Zerknęła na siedzenie pasażera. Siedział tam szesnastoletni chłopak w wytartych, szerokich džinsach i fioletowej bluzie, którą pamiętała doskonale. Na piersiach miał wielki napis NBA, a zaraz pod nim pomarańczową piłkę do koszykówki. Mimo chłodu nie nosił ani kurtki, ani czapki. Nie musiał, bo po prostu nie był rzeczywisty, ale to właśnie on najczęściej materializował się jako właściciel głosu. Chodził z nią do liceum, każdy dzień z jej życia zamieniając w piekło, wymyślając najróżniejsze przezwiska i podjudzając innych w klasie, aby się z niej nabijali. Ponoć wymieszał prochy z wódką i nie dożył dwudziestych drugich urodzin. Justyna nie była pewna, czy to prawda, lecz jeśli tak, to najwyraźniej nawet po

śmierci nie zamierzał jej odpuszczać. Nic się nie zmienił. Był tym samym rudzielcem o bladej twarzy pokrytej trądzikiem.

– No to jak, Wańka, dla kogo ta walentynka?

– Wańka – powtórzyła w myślach. Tak do niej wołali, kiedy wracała do domu po lekcjach. Wańka-wstańka, jak ta gruba lalka, której po prostu nie sposób było położyć, bo za każdym razem podrywała się ku górze, rytmicznie się przy tym bujając. Zamknęła oczy, znów wracała pustą, zaśnieżoną drogą do domu i wtedy usłyszała ich śmiechy, przewiska: „Wiecie, jak kiedyś mąż Wańki będzie ją dupczył? Na stojąco, bo ni chuj nie da się położyć na glebie...”.

Otarła łzy spływające po policzkach.

– Daj mi spokój! I tak ci nie powiem.

Chłopak westchnął.

– Ej no, nie bądź taka! Było, minęło. – Puścił do niej perskie oko. – Zamierzchłe czasy. Nie ma co do nich wracać. Zresztą już mi się za to oberwało, możesz mi wierzyć.

Zapуściła silnik.

– Nie chcesz, nie mów. Ja i tak wiem, o kogo chodzi.

Opadła na siedzenie.

– O tego przyglupa spod trójki, prawda?

Żuchwa zaczęła jej pracować. Zawsze tak miała, kiedy się denerwowała.

– Nie mów tak o Pawle!

– Ale kiedy to prawda! – Przyklasnął w dłonie, na chwilę wlepiając wzrok w podsufitkę.  
– Wszyscy wiedzą, że to niedorozwój. Sama to wiesz. Trzydziestolatek, który nadal mieszka z mamusią i wychodzi na spacer z jej pedalskim pieskiem. Facet raz pomógł ci zmienić koło w samochodzie, co i tak było nie lada wyczynem, biorąc pod uwagę poziom jego inteligencji, a ty już robisz z niego swojego Walentego. Do tego ma czarne od smaru, obgryzione paznokcie, od wiecznego grzebania przy tym swoim gracie. Ja pier...

– Zamknij się! Zamknij się! Zamknij się! – Uderzyła w koło kierownicy z taką siłą, aż rozbolała ją dłoń.

Przemek wytrzeszczył oczy ze zdumienia, podnosząc ręce do góry w geście kapitulacji.

– Okej, mała, jak chcesz. Twoje zafajdane życie, twoja sprawa.

Zerknęła w stronę drzwi, aby upewnić się, że Kamila jej nie podgląda. Wcale by się nie zdziwiła. To byłoby w jej stylu. Otworzyła szufladę i wyciągnęła czerwoną, lśniącą



walentynkę. Przyglądała się dwóm posrebrzonym sercom przecinającym się na szkarłatnym tle. Piękna. Otworzyła.

*„Czym jest słońce dla ziemi, tym miłość dla duszy”*

Uśmiechnęła się, zastanawiając jedynie przez chwilę. Chwyła długopis i podpisała:

*Twoja Walentynka jest bliżej niż myślisz.*

\*\*\*

Paweł otworzył skrzynkę na listy z numerem trzy i kilka listów upadło na podłogę. Pimpek wystraszył się i odskoczył na bok, napinając smycz.

– Spokojnie, piesku – szepnął czule Paweł, pochylając się po koperty. – To tylko korespondencja.

Mały Jack Russell pomachał ogonem, jakby zrozumiał.

– Co my tu mamy? – Mężczyzna przekładał koperty w zabrudzonych dłoniach, w jednej wciąż trzymając smycz, zupełnie nie zdając sobie sprawy, że naciąga ją już do granic możliwości. Pies krztusił się, unosząc przednie łapy, na ziemi pozostawiając tylko tylne. – Rachunki za wodę, prąd... to przekazemy mamie. A gdzie...? Czeka... czekaj... jest! – Wyłuskał jeden z listów, zaadresowany na swoje imię i nazwisko. Włożył go do ust, a resztę korespondencji odrzucił na skrzynkę pocztową. Rozerwał kopertę gorączkowo, chcąc jak najszybciej dostać się do zawartości.

*Uprzejmie informujemy, iż zgłoszona przez Pana do XIV. Ogólnopolskiego Konkursu Modelarskiego replika samolotu Grumman F-14A Tomcat Black zajęła czwarte miejsce. Na Pański adres zostanie przesłana nagroda, na którą składać się będą dwa wybrane przez Pana modele okrętów z okresu II wojny światowej.*

*Gratulujemy serdecznie,  
Polski Związek Modelarski*

Paweł westchnął. Marszcząc brwi, przeczytał list jeszcze kilkakrotnie.

– Znowu poza pudłem, Pimpuś. Zawsze to samo. Sklejałem tę replikę prawie sześć miesięcy. Dasz wiarę? – Zerknął w bursztynowe oczy psa. Pimpek zaskomlał. Oblizął pysk i zamerdał ogonkiem. – Trudno się mówi. Jakie modele wybierzemy? – Chwytał resztę kopert. – Co byś powiedział na Battleship U.S.S. Missouri? Albo Battleship Bismarck? Zawsze mi się podobał, a kosztuje co najmniej trzysta złotych. A może...? – zaniemówił, wpatrując się w kolejną kopertę zaadresowaną do niego. Nigdy nie dostawał żadnych listów poza tymi, które przychodziły z Polskiego Związku Modelarskiego. Czasami były to jakieś katalogi. W zeszłym roku prenumerował dwutygodnik modelarski, ale mama powiedziała, że i tak za dużo pieniędzy wydaje na modele, więc gazety powinien sobie darować. Swego czasu chciał również zamówić magazyn poświęcony mechanice samochodowej. Kochał auta. Sam posiadał fiata 126p w kolorze spłowiałej czerwieni, jeszcze po ojcu. „Maluch” wciąż był na chodzie, a to tylko dlatego, że dbał o niego równie mocno jak o wypełniające jego półki najróżniejsze modele samolotów i wojennych okrętów. Matka groziła, że odda tego „grata” na złom, ale on wiedział, że tak naprawdę nigdy by tego nie zrobiła. Tęskniła za ojcem równie mocno jak on.

Koperta była czerwona. Obrócił ją kilka razy w dłoni. Wydał usta. W końcu otworzył. Przyglądał się srebrnym sercom wybałuszonymi oczami. Minęła dłuższa chwila, zanim otworzył.

*„Czym jest słońce dla ziemi tym miłość dla duszy”*

*Twoja Walentynka jest bliżej niż myślisz.*

Przełknął głośno ślinę.

– Pimpuś, ja piernicę! To walentynka! – Ponownie spojrzął w oczy psa, a w chwilę później rozejrzał się dookoła po klatce schodowej. – Najprawdziwsza walentynka! Dostałem walentynkę!

Pies zaszczekał radośnie.

Uśmiech zniknął z twarzy Pawła równie szybko, jak się pojawił. Mężczyzna zamrugał kilkakrotnie. Przygryzł wargę.

– Ale od kogo? Jak myślisz? – Spojrzął raz jeszcze na podpis. – „Twoja Walentynka jest bliżej niż myślisz”. Myślisz, że to... – Przycisnął kartkę do piersi. – Myślisz, że to Kamila...? – W tym momencie drzwi klatki schodowej otworzyły się i jedna z sąsiadek, posyłając mu mało przyjemne spojrzenie, przemknęła tuż obok niego. Speszył się. Rzucił szybkie „dzień

dobry” i nie doczekawszy się odpowiedzi, skierował wzrok na ścianę. Ponownie przycisnął kartkę do serca jak największy skarb. Upewniwszy się, że został sam, szepnął do Pimpka.

– To ta gruba pani spod czwórki. Jej na pewno nikt nie podaruje walentynki.

Raz jeszcze przeczytał tekst. Przyłożył list do nosa. Liczył, że być może poczuje ten dobrze znajomy, słodki zapach... Kamili. Oczami wyobraźni widział, jak przechodzi obok niego po schodach, uśmiecha się szeroko, odsłaniając białe zęby. Zawsze tak robiła i zawsze odpowiadała mu „dzień dobry”. Czasami nawet szepnęła jakieś słowo do Pimpka.

Przetrzęsnał kieszenie. W jednej znalazł dwie gumy do żucia i dwa pięćdziesiąt, w drugiej zużytą chusteczkę higieniczną i kolejne parę złotych. Schował walentynkę do tylnej kieszeni spodni, resztę korespondencji wciskając pod pachę. Bał się, że może pognieść miłosny list, ale z tym sobie poradzi, najwyżej go przeprasuje. Kiedy mamy nie będzie. Gdyby jednak jakimś trafem kartka trafiłaby w jej ręce, prawdopodobnie przepadłaby na zawsze.

– I co myślisz, Pimpek? – Pies przekreślił głowę lekko w lewo. – Powinniśmy chyba się odwdzięczyć, co? Nie wypada inaczej. – Potrzęsnawszy trzymanymi w dłoni monetami, z uśmiechem ruszył do domu.

\*\*\*

Przemek znów siedział po stronie pasażera. Palił papierosa. W zasadzie to oboje palili. Justyna była zdenerwowana, wściekła. Musiała odreagować. Kiedy zrozumiała, że Paweł błędnie określił nadawcę walentynki, wskoczyła do auta i...

– Ten kretyń rozmawia ze swoim psem – powiedział z lekkim uśmiechem. Zaciągnął się głęboko, po chwili wypuszczając cienką smuzkę dymu przez uchylone okno. – Ja pieprzę, facet gada ze swoim kundlem, a tobie jeszcze żal dupę ściska, że wzdycha do tej blondyny? – Wydął usta, zapatrzył się przez przednią szybę i dodał po chwili. – Z drugiej strony nie ma mu się co dziwić. Jak patrzę na te balony, to sam bym...

– Nie są prawdziwe – przerwała, biorąc kolejnego macha. – Zresztą tak samo jak i ty.

– Być może, ale wolę nie istnieć i gadać z tobą, niż żyć naprawdę i napierdalać do psa. No ale w sumie musisz przyznać, że dobrze się stało.

Spojrzała na niego beznamiętnym wzrokiem.

– Co masz na myśli?

– No dobrze, że opowiedział o swoich odczuciach Pimpkowi. Teraz wiesz, że on myśli, że to Kamila podesłała mu...

– Byłam naiwna.

– Trudno się nie zgodzić.

– Łudziłam się, że chociaż jemu wpadłam w oko.

Pstryknął palcami i niedopałek pofrunął na zewnątrz.

– Sorry, mała. Niedorozwój czy nie, nic dziwnego, że zainteresował się tą laseczką. Babka wygląda jak z rozkładówki Playboya.

– I dlatego to ona jest kierownikiem, a nie ja! – Zgasiła resztę papierosa w przepelnionej popielniczce. Chciała ją zasunąć, ale szuflada się zacięła. Pchnęła z całych sił i jedna z szyn pękła. Odłamany kawałek plastyku poleciał na wycieraczkę.

– Kurwa!

– Nie martw się. Założę się, że twój przygłupi mechanik zdoła to naprawić, a nawet jeśli nie...

Otworzyła drzwi z impetem. Trochę potrwało, zanim zdołała się wykaraskać.

– A ty dokąd?

– Nie twój interes!

Podniosła klapę bagażnika i zaczęła przetrząsać jego zawartość. Panował tu straszny bałagan, choć ona nie lubiła tego słowa. Nieład brzmiał lepiej, nawet trochę artystycznie. I taki sam stan rzeczy utrzymywał się na jej biurku, na co Kamila nieraz zwracała jej uwagę. „Może byś tu trochę ogarnęła? Jakim cudem możesz cokolwiek tu znaleźć?” A prawda była taka, że doskonale odnajdywała się w takim rozgardiaszu. Wszystko było pod ręką i sięgała po to, gdy tego potrzebowała. Jednak teraz, przeszukując kufer auta, musiała przyznać, że rzecz, której szukała, po prostu wsiąkła w tym bałaganie. Przerzucała przedmioty z kąta w kąt, niektóre z nich wylądowały nawet na zewnątrz, między innymi stara skrobaczka do szyb i nadłamana parasolka. Kiedy wreszcie wyczuła pod palcami długi kształt, wyprostowała się z satysfakcją. Przemek stał już oparty o bok auta, uśmiechając się zawadiacko.

– Co zamierzasz z tym zrobić?

– To, co powinnam była zrobić już dawno temu.

– Grzeczna dziewczynka.

\*\*\*

Paweł nie wiedział, czy zabranie psa było dobrym pomysłem, ale tak naprawdę nie wyobrażał sobie, że mogło być inaczej. Pimpek nie tylko miał dotrzymać mu towarzystwa, lecz przede wszystkim dodać odwagi. Czuł, że ta opuszcza go z każdym krokiem, każdym kolejnym stopniem przybliżającym go do drzwi Kamili.

Przedtem długo leżał na kanapie w swoim pokoju, na zmianę wpatrując się to w zawieszoną na żyłce wędkarskiej modele wojskowych myśliwców, to w trzymaną w dłoni walentynkę. Przez jego głowę przewijały się dziesiątki myśli. Czasami którąś z nich wypowiadał na głos i wówczas Pimppek podnosił z zainteresowaniem łeb z dywanu.

– Myślisz, że naprawdę mogę jej się podobać? Pimpus, ale tak szczerze?

Oczami wyobraźni widział roześmiane usta Kamili i długie blond włosy opadające na ramiona.

– Dziewczyna, która nie jest zainteresowana chłopakiem, nie uśmiecha się w ten sposób, prawda?

Zdecydował, że zaryzykuje. Otworzył szafę i wybrał jedyną białą koszulę, jaką posiadał. Tak naprawdę teraz była bardziej żółta niż biała i chyba... ostatni raz miał ją na sobie podczas bierzmowania. Kiedy ją założył, z przekąsem stwierdził, że jest za mała. Ledwo zapiął się pod szyją. Najgorsze jednak były rękawy. Stanowczo za krótkie. Westchnął ciężko i zabrał się za dalszą eksplorację szafy. Przesuwał z piskiem kolejne wieszaki, aż znalazł to, czego szukał. Zielona marynarka była jego ostatnią nadzieją. Przymierzył ją natychmiast, zerknął w lustro i z zadowoleniem stwierdził, że efekt został osiągnięty. Rękawy sięgały do nadgarstków.

– Jak wyglądam? – Odwrócił się w stronę psa, który już zdążył zasnąć i teraz cicho pochrapywał. – I tyle mogę na ciebie liczyć.

Ponownie spojrzął w lustro i ściągnąwszy poły, uśmiechnął się szeroko.

Stał teraz pod drzwiami Kamili, trzęsąc się jak osika. W jednej dłoni ścisnął końcówkę smyczy, w drugiej zwróconą łodygą do góry długą, aczkolwiek lekko podwiędlą różę.

– To co, piesku? Raz kozłowi śmierć, czy jakoś tak?

Zapukał w drzwi i ze zdziwieniem skonstatował, że są uchylone. Przełknął ciężko ślinę. Zerknął na Pimpka wystraszony.

– Co robimy?

I wtedy usłyszał muzykę. Znajome dźwięki wypłynęły z mieszkania Kamili. Wiedział, kto to śpiewa. Patrick Swayze. Uwielbiał tę piosenkę, i choć bardzo możliwe, że miał ją w domu, na którejś z płyt z muzyką filmową, to teraz za nic nie mógł sobie przypomnieć jej tytułu.

*She's like the wind through my tree*

*She rides the night next to me...*

Nie ma chyba bardziej romantycznej piosenki. No, ale co się dziwić, skoro dzisiaj walentynki.

*She leads me through moonlight*

*Only to burn me with the sun*

Pchnął drzwi, dyskretnie zaglądając do środka. Czuł, że serce wali mu w piersi jak szalone.

*She's taken my heart*

*But she doesn't know what she's done*

– Dzień dobry! – Przekroczył próg, próbując przekrzyczeć muzykę.

Natychmiast poczuł zdecydowany opór Pimpka, który zaparł się i ani myślał iść dalej. Zupełnie jak przed drzwiami lecznicy dla zwierząt.

– No co jest z tobą? No chodźże! – Pociągnął za smycz i bardziej wciągnął psa do środka niż go tam wprowadził.

*Feel her breath on my face*

*Her body close to me*

*Can't look in her eyes*

*She's out of my league*

Na pierwszy rzut oka imponujących rozmiarów kawalerka wydawała się być pusta. Pokój od aneksu kuchennego odgradzała wysoka lada, pod którą stały srebrne barowe hokery. Po lewej duży telewizor był włączony, ale ktoś wcisnął „mute”, bo w rogu ekranu widniał zielony, przekreślony megafon. Znana dziennikarka z programu rozrywkowego z uśmiechem poruszała ustami, lecz nie słychać było ani słowa. Kolorowa amplituda podskakiwała na wyświetlaczu stojącej obok wieży stereo w rytm kolejnych dźwięków miłosnej muzyki i słów Patricka Swayze.

*Just a fool to believe*

*I have anything she needs*

*She's like the wind*

– Chyba nikogo nie ma w domu, Pimpus. Ale to bardzo nierozsądne zostawiać mieszkanie puste, nawet jeśli wychodzi się na chwilę. Chyba powinniśmy wracać. Może przyjdziemy później?

Raz jeszcze rozejrzał się dookoła i już miał wyjść, lecz wpadł na pomysł, że zostawi różę. Gdy Kamila wróci, będzie czekała na nią nie lada niespodzianka. Uśmiechnął się pod nosem, chwając w myślach za świetny pomysł. Podeszedł do lady i... nagle zamarł ze wzrokiem wlepionym w podłogę. Coś czerwonego i lepkiego torowało sobie drogę wzdłuż fugi terakoty, formując kwadratowe kształty.

– Pimpus, powiedz, że to tylko sok. Kamila musiała rozlać sok i... – nie dokończył, bo poczuł się tak, jakby ktoś ścisnął go za gardło i zamiast słów usłyszał własne charczenie. Zakrył usta dłonią. Na chwilę zacisnął powieki z całych sił jak przestraszone dziecko, któremu wydawało się, że dostrzegło jakiś kształt w swojej szafie. Zaraz potem otworzył je ponownie, aby przekonać się, że to, co zobaczył, wciąż tam jest.

Na kuchennej podłodze leżały rozciągnięte zwłoki Kamili. Ręce miała rozrzucone na boki, a jedna noga wykręcona była pod dziwnym kątem. Zanim Paweł przyjrzał się szczegółom, zauważył, że krótka spódniczka podwinęła się do góry na tyle, aby odsłonić mały rąbek białych majtek dziewczyny. Oderwał wzrok speszony, ale znowu jedynie na chwilę, bo zanim krzyk wreszcie wydobył się z jego trzewi, wychwytał, że twarz sąsiadki praktycznie przestała istnieć. Łupało na niego spod długiej rzęsy tylko jedno piękne, niebieskie oko. Reszta ślicznej buzi, którą pamiętał, była teraz krwawą maską. Długie, rozrzucone, niegdyś żółte jak słońce włosy, zniknęły w kałuży krwi, w której leżał jeszcze jakiś przedmiot. Długi, zakrzywiony klucz do kół.

Jego wrzask sprawił, że Pimppek pociągnął za smycz z siłą godną dobermana i Paweł nie miał szans, aby zatrzymać psa. Sam chciał pójść w jego ślady i jak najszybciej uciec z mieszkania, ale poślizgnął się na powiększającej się z każdą chwilą szkarłatnej plamie. Runął na podłogę jak długi. Czuł intensywny, metaliczny zapach krwi i jej ciepło przenikające przez jego koszulę i spodnie. Próbował wstać niezdarnie, w konsekwencji znowu lądując na podłodze, tym razem przy samej twarzy sąsiadki.

– Pomocy! – krzyknął. Zaczął płakać i gorączkowo wycierać o pierś poplamione posoką dłonie. – Niech ktoś mi pomoże!

W szybie piekarnika wychwytał swoje odbicie pochylające się nad ciałem. Dopiero teraz dotarło do niego, że muzyka wciąż gra.

*I look in the mirror and all I see*

*Is a young old man with only a dream*

*Am I just fooling myself*

*That she'll stop the pain*

*Living without her*

*I'd go insane*

Teraz rozbeczał się na dobre i ostatkiem sił zdołał poderwać się na nogi. Zanim ruszył, stał dłuższą chwilę, przytrzymując się blatu. Trząsał się na całym ciele i w końcu podreptał w kierunku wyjścia, zostawiając na drewnianej podłodze koloru olchy czerwone ślady. Dopadł do drzwi i złapał za klamkę. Były zamknięte. Walił w nie z całych sił jak oszalały, ale pozostały niewzruszone. Trwało to co najmniej piętnaście minut i w końcu osunął się na kolana, zrezygnowany i wyczerpany. Schował w nich twarz i płakał długo, rytmicznie bujając się w tył i przód.

\*\*\*

– Dla mnie zawsze był jakiś dziwny. – Justyna odpowiedziała pewnie w stronę dziennikarzy, którzy podsuwali jej pod nos mikrofony i dyktafony. – Wiem, że o ludziach chorych czy zaburzonych nie powinno mówić się źle, ale taka jest prawda. Czasami bałam się, gdy mijałam go na klatce. Tak dziwnie wtedy na mnie patrzył. Uważam, że już dawno powinien być w jakimś specjalnym ośrodku. Tragedia, która się rozegrała, była tylko kwestią czasu.

Kiedy przedstawiciele mediów wreszcie się rozeszli, usłyszała, jak ktoś za jej plecami bije brawo. Odwróciła się. To był Przemek.

– Brawo! – krzyknął, z aprobatą kiwając głową. – Pięknie to rozegrałaś.

Uśmiechnęła się, odpalając papierosa.

– Powiedz mi coś, czego nie wiem.

– Aż strach pomyśleć, co wymyślisz na następne walentynki.

– Możesz być pewien, że coś wyjątkowego.





# MARTWE, MŁODE KOBIEITY

Piotr Borowiec

Pierogi smakują, jakby je ulepiono z modeliny, nie z ciasta. Kawę zaparzano nieudolnie, na krawędzi szklanki osadziła się warstwa fusów. Przynajmniej jest tu czysto, co Nowak docenia. Lata spędzone w trasie to lata jądania w przydrożnych barach, gdzie często higiena była dużo niższa niż ceny. Skończyć ten nieszczęsny posiłek, odnieść naczynia, zatankować i ruszyć w drogę. Za pół godziny powinien dotrzeć do Przeworska, za półtorej dojechać do Rzeszowa. Tam zamelduje się w hotelu, pokój opłaciła firma. Nazajutrz czekał go powrót do domu, kolejnych siedem i pół godziny za kierownicą. Teoretycznie. Google Map obliczając długość trasy, nigdy nie mylił się w kilometrach, jednak zawsze zaniżał czas dojazdu.

Nie, nie zmęczy paskudnego pseudo-jedzenia, podobnie zresztą jak inni klienci baru. Obok Nowaka przechodzi gruby facet, czerwona od wysiłku twarz świadczy o tym, że nawet krótki spacer od stolika do okienka „zwrot naczyń” jest dla niego wyzwaniem. Na blacie ląduje talerz z niedojedzonym kotлетem i ledwo ruszonymi ziemniakami. Widocznie nie tylko pierogi tutaj to jakaś katastrofa. Obiad nadaje się do wyrzucenia, pozostała jeszcze kawa. Do tego lektura gazety. „Wyborcza” sprzed dwóch dni okazuje się tak samo nieciekawa jak dwa dni wcześniej.

TAMTA nadchodzi zaraz po tym, jak otyły mężczyzna opuścił bar. Nowak dostrzega ją w połowie drogi między wejściem, a jego stolikiem. Dziewczyna idzie powoli, powłóczy prawą nogą. Jedną stroną płaszcza pokrywa warstwa zakrzepłej krwi, która przy kołnierzu tworzy grube skrzepy. Rdzawa skorupa zlepia także włosy. Pewnie nastąpiło krwawienie z uszu, a może rana umiejscowiona jest z tyłu głowy. Nowak odkłada gazetę, dopija ostatni łyk kawy. Czuje na sobie wzrok barmana. Widzi jego pełną napięcia twarz, zdziwienie lub strach w oczach. Ludzie zawsze tak reagują na jego rozmowy z TAMTYMI.

Dziewczyna w końcu dochodzi do stolika. Jej noga została naprawdę poważnie zraniona, płaszcz odkrywa poskręcaną kończynę. Skórę łydki przebiła kość, rana po złamaniu otwartym wygląda jak dziwaczna ozdoba. Młoda kobieta staje naprzeciwko Nowaka, wspiera się rękami o stojące obok krzesło. Sine palce obejmują krawędź oparcia.

Zacznie mówić o strachu lub bólu, albo o tym, że ktoś zrobił jej krzywdę. Nowak znał ten schemat.

– Proszę pana, zaraz stanie się coś strasznego... czuję to, tyle bólu. Tam jest trzech mężczyzn, oni chcą zrobić krzywdę... Tak bardzo się boję. Boże, może mi pan powiedzieć, co się dzieje?

Na razie tylko patrzy się na TAMTĄ. Musi dać jej czas na wyrzucenie emocji, na strząśnięcie z siebie strachu i przerażenia. Ona niczego nie pojmuje, niczego innego nie widzi, tylko jego. Czyste stoliki oraz gapiący się na Nowaka barman dla niej nie istnieją.

– Proszę pana, oni jadą, samochód, ciemność. Boże, nie wiem, co się dzieje, to jest takie szybkie. Tyle bólu, wie pan może, skąd tyle krwi tutaj?

– Mam na imię Krzysiek – mówi w końcu Nowak. – Proszę się nie bać. Już po wszystkim...

– Nie! Nie! Myli się pan...

– Jak ma pani na imię?

– Oni zrobią straszną rzecz, sprawią tyle bólu! Pan nie rozumie! To jest takie okropne, co oni...

– Proszę pani, jak ma pani na imię?

TAMTA milknie na chwilę. Przerywa swój chaotyczny słowotok, patrzy się niebieskimi oczami na Nowaka. Chryste, za życia musiała być śliczna. Rozchyła wargi, na zębach szkarłatny osad, pewnie krwawiła też z ust. Chce coś powiedzieć, ale rezygnuje. Jest dalej bardzo zagubiona, lecz przyjazny ton i przedstawienie się pomagają. One czują ból i potworny strach. To ważne: uspokoić je, uświadomić, że znalazły kogoś przyjaznego. Nowak kątem oka spogląda na barmana, jedyne go świadka tej sceny. Ten dalej patrzy się na niego ze strachem. Normalne, zwykłych ludzi przerażają wariaci pytający powietrze o imię.

– To jak, zdradzisz mi swoje imię? – Bierze TAMTĄ za rękę. Dłoń jest zimna i twarda, stężenie pośmiertne upodobnia ciało w dotyku do kamienia.

– Elżbieta... Ela...

– Boisz się, wiem to. Ale jesteś bezpieczna, wszystko minęło. Pewnie nawet tak bardzo nie boli, prawda?

– Nie! Dopiero będzie! Taki straszliwy ból, najbardziej to twarz i szyja. Tamci już tu jadą, to...

– Elu, proszę cię, spokojnie. Nie bój się. Gdy wyjdiesz stąd, zabierze cię ciepło.

– Nic nie rozumiesz!...

– Rozumiem. Nie bój się. Po prostu musisz iść.

– Ich jest trzech. Są winni! To ich wina! Wyjechali z imprezy, szukają dziewczyn. Boże, ile to będzie bólu...

– Elu, to już się stało. Po wszystkim, nie ma się czego bać. Idź. Po prostu idź. Zaufaj mi.

Odchodzi, powłócząc zmasakrowanymi nogami. Gdy się odwraca, Nowak widzi, że z potylicy zwisają strzępy skóry. Coś ostrego prawie zerwało jej skalp.

To wszystko. Szybko poszło, inne długo potrafiły płakać, błagać o pomoc albo wyc z bólu, zanim dawały się przekonać, aby odejść. Można wstać, odnieść talerze, spojrzeć barmanowi prosto w oczy. Będzie agresywny? Spyta się, czy wszystko w porządku? Może dostanie ataku wesołości? Ludzie różnie reagują na świra, który mówi powietrzu o tym, że zabierze je ciepło. Ten akurat świadek rozmowy z TAMTĄ spuszcza wzrok. Robi wszystko, by nie widzieć Nowaka.

Na zewnątrz zima atakuje mrozem, tym bardziej dotkliwym, że styczeń pozbawiony jest śniegu, serwuje natomiast silny wiatr. W drodze do samochodu Nowak przystaje. Dociera do niego, że coś było nie tak. Coś, nie wie, co konkretnie, mocno wyłamało się ze schematu spotkań z TAMTYMI.

Niby wszystko jak zawsze. Martwa kobieta, wyraźnie zdezorientowana. Chaotyczna, pełna bólu przemowa. Ta akurat mówiła o sprawcach, czasem tak się zdarza. Ślady śmiertelnych ran na ciele. Niby wszystko jak zawsze, lecz coś, do cholery, było inaczej.

Nowak otwiera drzwi, wsiada do samochodu.

\*\*\*

W wozie jest bardzo zimno, wystarczyło dwadzieścia minut, które spędził w barze, aby noc wyszała z auta wszelkie ciepło. Trzeba ruszyć, aby jak najszybciej znaleźć się w ogrzewanym hotelowym pokoju. Przedtem kierowca musi odprawić pewne drobne rytuały. Zapięcie pasów, te jak zwykle zacinają się, za mocno szarpnięte. Włączenie odtwarzacza muzyki, z głośników dobiegają odgłosy burzy i dźwięk dzwonu. Zanim Tony Iommi zagra pierwszy riff z debiutu Black Sabbath, muzyka milknie. Nie, tym razem podróż odbędzie się w ciszy. Sprawdzenie lusterka wstecznego.

Nowak bardzo nie lubi tego konkretnego elementu przygotowania do jazdy. Nie znosi wręcz, od kiedy spotkał pierwszą TAMTĄ.

Dwa tygodnie przed spotkaniem otrzymał wypis ze szpitala. Lekarz zalecił mu dużo odpoczywać, wyznaczył termin konsultacji neurologicznej i kazał się nie martwić. Nowak postanowił jakoś się pozbierać, odbudować związek z Alicją, zaopiekować córeczkami. Co się stało, to się nie odstanie, trzeba żyć dalej. I tak dalej, i tym podobnie. Wyszedł z biura swojego nowego pracodawcy, dobre referencje i spore doświadczenie w branży zrobiły swoje. Od drzwi biurowca poszedł prosto na parking. Wsiadł do samochodu i rozpoczął przygotowania do jazdy.

TAMTA czekała na tylnym siedzeniu samochodu. Jak Nowak dowiedział się później, zmarła dosłownie ulicę dalej, gdy pewnej wiosennej nocy motocykl prowadzony przez jej chłopaka wpadł w poślizg. Z tym, że wiedza ta została nabyta później.

W chwili, gdy zobaczył w lusterku zmasakrowaną twarz, Nowak nie wiedział nic. Krzyczał, to chyba naturalna reakcja na widok ciała, które zderzyło się z uliczną latarnią. Gdy wybiegł z wozu, wrzeszczał dalej. Zbiegli się ludzie, wraz ze swoimi pytaniami. Proszę pana, wszystko w porządku? Może trzeba wezwać pomoc? Proszę pana, co się stało?

Uciekł od nich i od martwej kobiety w samochodzie. Chodził potem bez celu kilka godzin po mieście, powtarzając słowa usłyszane od neurologa:

– Trwałe uszkodzenie mózgu, trwałe uszkodzenie mózgu, trwałe uszkodzenie mózgu, trwałe...

Gdy wrócił do wozu, TAMTEJ już nie było. Pierwsza, którą spotkał, przedostatnia, której nie przeprowadził.

Następna przyszła, gdy był zupełnie sam. Trzecia nad ranem, krótka sierpniowa noc. Zatrzymał się przed znakiem STOP i wtedy światła samochodu wyłowiły z ciemności kobiecą postać. Szła jakoś pokracznie, ciągle się potykając. Na sukience w kwiatki ślady krwi, głowa dziwnie przekrzywiona.

Oczywiście, Nowak zastanawiał się, czy jej pomóc. Wahał się, przecież przyjedzie policja, będą pytania. Czy sprawdzają świadków, którzy udzielili pomocy ofierze? Zadziałał impuls, króciutki przebłysk świadomości tego, jakie są konsekwencje pozostawienia człowieka na pewną śmierć. Wysiadł z pojazdu, podbiegł do kobiety i wtedy spojrzał w jej martwe, puste oczy. Odbijały się w nich światła samochodu, noc, jakaś odległa latarnia, ale nie było w nich życia.

– Proszę pana, proszę mi pomóc... chyba coś się stało, tak mnie boli... tu... o tu. – Ręka wskazała na klatkę piersiową. – A ja muszę iść do Roberta... będzie zły, jak się spóźnię, mamy iść na pizzę, ale mnie boli, pomoże mi pan? Boję się...

Uciekł, otwierając drzwi do samochodu niemal nie upadł. Silnik odpalił natychmiast, histerycznie zapiszczały opony.

Cztery dni później Nowak siedział w gabinecie psychiatry. Lekarz ludzkiej duszy rzeczowo wyjaśnił swój sceptycyzm:

– W przypadku uszkodzenia mózgu, owszem, normalne są różnorodne objawy natury psychicznej. Wie pan, problemy poznawcze, czyli myślenie, pamięć, mowa, obliczenia, koncentracja. Są zaburzenia osobowości, zmiany zachowania, halucynacje też mogą wystąpić, jasne, ale skorelowane z innymi symptomami. Rozumie pan, o czym mówię?

– Tak.

– No. Wie pan, czyli... Tak. Nie ma pan innych objawów niż makabryczne omamy?

– Nie.

– Depresja?

– Nie, panie doktorze.

– Myśli samobójcze?

Tygodnie spędzone przed oknem. Wałkowanie, w kółko i w kółko wspomnień tamtego jesiennego poranka. Ale to przeszłość, przecież wziął się w garść.

– Panie Krzysztofie, rozumie pan treść pytań? Miewa pan myśli samobójcze?

– Nie, nie mam.

– Tak. Na razie będziemy obserwować, jak sytuacja się rozwinie. Podejrzewam, że

objawy powinny szybko ustąpić. Neurologzy... jak widzę... No. Neurologzy dali dobre rokowania. Proszę się nie martwić. Czy jest jasne, co do pana mówię?

Nic nie ustąpiło. Kim była następna TAMTA, Krzysztof doskonale wiedział.

Minęło kilka miesięcy, życie raz sklejało się w całość, raz rozsypywało. Przypominało to wszystko taniec towarzyski: dwa kroki do przodu, trzy w tył. Nowak wdrożył się w nową pracę, oznaczało to setki godzin za kółkiem, tysiące kilometrów miesięcznie.

Wracał do siebie, do Poznania, gdy spotkał trzecią z nich.

Obok przystanku na Bałtyckiej musiał się zatrzymać. Nie chodziło tu o jakiś masochizm, po prostu potrzebował przynajmniej zobaczyć to miejsce, poczuć jego atmosferę. I nie doświadczył niczego szczególnego. Zwykły przystanek autobusowy, za nim rzędy sklepów. Popękały niektóre płytki chodnikowe. Wymienili już pleksiglas, na nim wisiał rozkład jazdy.

Dwa miesiące wcześniej kierowca rozpędzonego vana przysnął za kierownicą i stracił panowanie nad pojazdem. Wjechał w grupkę osób czekających na autobus. Na miejscu zginęło starsze małżeństwo i dwudziestoletnia matka. Jej roczny synek nigdy nie odzyska ani mamy, ani władzy w nogach.

Nowak bardzo interesował się tą sprawą. Śledził każde doniesienie, z obsesyjną dokładnością notował w pamięci wszystkie szczegóły. Wiedział więc, jak miała na imię kobieta, która szła w kierunku jego wozu zaparkowanego na poboczu. Jej ciało van przygniół do ściany budynku. Miazga zamiast klatki piersiowej. Bezkształtna masa skrzepów, organów, żeber, kręgow. Potrzaskana miednica nadała biodrom kształt przypominający rozgnieciony owoc.

Nikt inny jej nie widział. Zmasakrowane ciało kroczyło wśród przechodniów rozmawiających przez telefony, palących papierosy, idących przed siebie. TAMTA dotarła w końcu do wozu Nowaka. Ten jednak się nie bał, nie wyskoczył z rozdzierającym krzykiem. Wiedział, jak kobieta miała na imię.

Agnieszka.

I tak się do niej zwrócił, gdy stanęła przy otwartym oknie wozu. Nowak mówił do niej, uspokajał, pocieszał, starał się przemawiać ciepłym tonem. I najważniejsze, zwracał się do niej po imieniu. Idź, Agnieszko. Nie bój się, Agnieszko. Będzie dobrze, po prostu idź. Odeszła, w końcu, gdy wyrzuciła cały swój ból, i gdy otrzymała wsparcie. To musi być bardzo ważne, gdy człowiek przechodzi na Tamtą Stronę.

Po tym zdarzeniu Nowak sprawdził poprzednie wypadki. Dowiedział się, jak miała na imię dziewczyna, która zginęła niedaleko siedziby firmy. Poznał przyczynę śmierci tej pięknej

istoty, która nigdy nie dotarła do Roberta. Wszystko się zgadzało, i w tych przypadkach, i w każdym następnym. A było ich sporo, średnio raz na dwa tygodnie spotykał jakąś TAMTĄ.

Przychodziły do niego ofiary wypadków sprzed paru dni, i takie, które zmarły kilka lat wcześniej. Przychodziły, gdy był sam, i gdy tkwił w tłumie ludzi. Zawsze młode, martwe kobiety, które zginęły w wypadkach na drogach. Dlaczego akurat one, to było dla Nowaka oczywiste. Jednak tajemnicę stanowiło, jaki mechanizm kierował nawiedzeniami, oraz gdzie w ogóle TAMTE odchodziły.

Odkrywanie tej wiedzy przypominało wędrówkę po lesie z zawiązanymi oczami. Co chwilę Nowak zderzał się z absurdami, niedomówieniami, sprzecznościami. Spirytystyczne klasyki okazywały się natchnionym bełkotem, okultystyczne księgi podręcznikami szarlatanów. Fora poświęcone zjawiskom nadprzyrodzonym wypełniały opowieści z dreszczykiem, które słyszał już w podstawówce. Na zjazdach parapsychologów spotykał tylko głupców lub oszustów. Odwiedził proboszcza parafii pod wezwaniem Michała Archaniola, wróżkę Salomeę, która dopiero co przybyła z Atlantydy, oraz pisarza grozy z Jarosławia.

Odpowiedź na pytanie, kim się stał, i jaka jest jego rola, zawarta została bardzo płytko, aby ją poznać, wystarczyło wklepać w Wikipedię hasło PSYCHOPOMP. Otóż jest to istota, której zadaniem jest odprowadzenie lub przeniesienie duszy zmarłego człowieka do świata pozagrobowego.

Właśnie twarz psychopompa patrzy się na Nowaka z wstecznego lusterka wozu. Nieco zniszczona, z wyraźnymi workami pod oczami, z porytą zmarszczkami skórą. Twarz czterdziestoletniego, zbyt wcześnie podstarzałego przedstawiciela handlowego.

Silnik zawarczał, w ciemność wbijają się światła samochodowych reflektorów.

\*\*\*

Wyjeżdżając z parkingu przy barze i stacji benzynowej Nowak stara się zachować ostrożność. Jest to trasa z Lublina do Rzeszowa, stara, wąska, kompletnie nieprzystosowana do sporego natężenia ruchu. Normalka w tym chorym kraju, gdzie rocznie ginie trzy do siedmiu tysięcy osób na drogach.

Monitor GPS-a posłusznie informuje go o dalszej drodze. Jest jeszcze w Adamówce, chociaż parking położony jest tuż przed tablicą z nazwą miejscowości. Za dziesięć kilometrów minie Sieniawę, gdzie, jak pokazuje mu mapa, znajduje się zabytkowy pałac.

Potem dotrze do Przeworska. Jeśli uda mu się przebić przez korki, które w tej miejscowości zawsze są, może wjechać na drogę krajową numer 94. Dwa pasy, jednak tłok, że czterech by nie starczyło. Dalej Łañcut, jeszcze jeden zabytkowy pałac, kolejne korki. I w końcu Rzeszów, zasłużony odpoczynek.

Udaje mu się włączyć w ruch, jednak płynna jazda kończy się prawie natychmiast. Zaraz za parkingiem wyrasta sznur samochodów, wszyscy mają włączone światła stopu. Przed wozem Nowaka zatrzymało się przynajmniej kilkanaście innych. Na poboczu stoi dwóch policjantów, obok cywil z długimi włosami i w skórzanej kurtce. Trzeci funkcjonariusz kieruje ruchem, tkwiąc na środku jezdni. Właśnie puścił tych z drugiego pasa, na karoseriach samochodów grają niebieskie refleksy świetlnego sygnału karetki. Do ambulansu ratownicy wciskają nosze. Leżący na nich człowiek jest przytomny, porusza ręką, wygląda na to, że usiłuje coś powiedzieć ratownikom. Chyba nikomu nic się nie stało poważnego, tym razem wypadek nie spowodował ofiar śmiertelnych.

Na poboczu, nieco za gliniarzami rozmawiającymi z cywilem, stoi niebieski sedan. Wyraźnie widać solidne wgniecenie w masce, to pewnie miejsce, w którym metal zetknął się z ludzkim ciałem. Scena, którą obserwuje Nowak, jest zrozumiała i klarowna jak szklanka czystego spirytusu. Pewnie mężczyzna w skórze składa właśnie wyjaśnienia jako kierowca, a człowiek na noszach to potrącony przechodzień. Albo pijany, albo niedoszły samobójca. Albo i to, i to.

Jak Nowak.

Podjął wtedy decyzję świadomą, wiedział, co robi, chociaż wcześniejsze tygodnie spędził otulony alkoholowym upojeniem. Miał dość.

Snów o jesiennym poranku, gdzieś w trasie. Słońce wschodziło nad polami zakrytymi mgłą. Obok drogi rozwarła się czeluść przydrożnego rowu, niesamowicie głębokiego. Z niej wypelzała ciemność i starała się pochwycić nogi Nowaka, który w koszmarze stał zawsze obok. Mrok wył, w monotonnym wrzasku nie sposób było uchwycić sensu słów, które ciemność starała się wyartykułować.

Miał również powyżej uszu rodziny, która była żywym wyrzutem sumienia i źródłem obowiązków nie do wypełnienia. Alicja odeszła, jednak męczyła telefonami. Chciała albo alimentów, albo pomoc. Kiedy będzie wpłata, czy poszedł do specjalisty. Kobieta dała sobie spokój z dociekaniem, co się z nim dzieje. Raz podejrzewała depresję, innym razem alkoholizm. Dała za wygraną, ale opiekuńcze instynkty brały górę. Stąd te cholerne telefony.

Nie mógł też znieść strachu. Każdy dzwonek do drzwi prowokował wyobrażenia o policjantach stojących przed mieszkaniem, z prokuratorskim nakazem zatrzymania w ręku.



Ktoś wypytywał o niego w firmie? Może to klient, może oni. Nowak nie mógł być pewien następnej minuty.

Czasem przychodziły myśli, aby się przyznać. Wykrzyczeć światu swoje winy, wyznać, co zrobił. Nowak nie był zdolny tego zrobić. Po prostu nie mógł, i tyle.

W dzień, w który poszedł na tory, nie stało się nic szczególnego. Wstał, zapalił papierosa, podszedł do okna, wiedząc, że spędzi następne godziny, gapiąc się przez nie. I wtedy przyszła do niego decyzja. Tym razem coś zrobi, coś zmieni, coś skończy.

Wyszedł z bloku, kupił w monopolowym naprzeciwko butelkę wódki. Alkohol jednak mu nie pomógł. Godzinę szedł wzdłuż szyn, kilka razy wlaźł na nasyp, i natychmiast z niego zbiegał. Potem kolejny raz, wejście na tory i szybka ucieczka. Zrezygnował, gdy minął go towarowy. Nowak wyobraził sobie, jak jego ciało porywa ogromny metalowy potwór. Ból, strach umierania. Nie, nie da rady.

Chciał wrócić do domu, aby pójść spać. Może jak uśnie tak solidnie pijany, to nie nawiedzi go koszmar o przydrożnym rowie. Zataczając się, ruszył w kierunku osiedla.

Cała ironia sytuacji dotarła do niego w szpitalu. Razem ze słowami neurologa o trwałym uszkodzeniu mózgu. Pijani piesi często padają ofiarą potraczeń przez samochody. Są wyraźną kategorią w statystykach poważnych wypadków. Wierną, stałą, niezmienną. Z samobójcami bywa różnie. W jednym roku jest ich procentowo więcej, w innym mniej.

A ten facet na noszach to pijak czy śmierci szukał?

Nowak nie ma czasu się zastanawiać nad tym, ani też pomyśleć, co było nie tak z ostatnim spotkaniem. Bo coś było inaczej ewidentnie. Policjant daje znak jego pasowi ruchu. Mogą ruszać.

\*\*\*

Od miejsca wypadku do ronda włókł się za zdezelowanym polonezem caro. Pechowa marka, w drugim dziesięcioleciu dwudziestego pierwszego wieku te wozy to już graty, lecz jeszcze nie zabytki. Bogu dzięki na rondzie rupieć wybrał trasę na Leżajsk, jak wiele innych pojazdów. Droga na Sieniawę, co zaskakujące, jest zupełnie pusta.

Las po obu stronach jezdnii. Reflektory mogą oświetlić jedynie pierwszy rząd drzew, za nimi panowała ciemność absolutna, przypominająca ścianę pomalowaną na czarno. Podwójna ciągła wije się na asfalcie, podskakując i gubiąc rytm w miejscach, gdzie nawierzchnię połatano. Niechlujnie i nierówno. Nowak redukuje prędkość do czterdziestki, przecież nie ma za nim nikogo, kto złościłby się na wolno jadący pojazd z przodu.

Las jest hipnotyczny i zdradliwy, co przedstawiciel handlowy z dwudziestoletnim stażem za kółkiem wie doskonale. W lesie może czasem zdarzyć się linia wysokiego napięcia, może wyskoczyć gdzieś z przodu sarna, w mroku może też zamajaczyć zrujnowany przystanek autobusowy. Ale nawet te zaburzenia rutyny są rutynowe, zdarzają się w jakimś regularnym, statystycznie ujmowanym schemacie. One też usypiają.

Krzyż na poboczu także jest odstępstwem od rutyny.

Nowak hamuje powoli, z szacunkiem dla tego miejsca. Snop światła gubi kawałek metalu wbity w ziemię. Gdy pojazd ostatecznie staje, kierowca włącza awaryjne. Mróz atakuje jeszcze zjadliwiej niż na parkingu. Styczniowy wieczór przechodzi w noc, obniżając temperaturę powietrza mocno poniżej zera. Ciemność rozświetlają jedynie gwizdy, latarka w ręku nie stanowi dla nich poważnej konkurencji.

Wypadek miał miejsce tutaj. Do krzyża przytwierdzono ocynkowaną tabliczkę z wyrytymi trzema imionami. Elżbieta, lat 27. Józef, lat 35. Michałek, lat 7. Ela, to ją spotkał jako TAMTĄ. Co z tym spotkaniem, do cholery, mogło być nie tak? Nowak szeptem wypowiada jeszcze drugie imię, tego dorosłego mężczyzny. Które z nich było winne? Pewnie żadne. Tak naprawdę to zazwyczaj nikt nigdy nie jest winny.

Nikt. Nigdy.

Nowak też nie był winny, że zabił tamtą dziewczynę.

Nie jego wina, to firma zleciła przedstawicielom drakońskie normy. Szefowie również nie ponosili odpowiedzialności, wręcz odwrotnie. Mogli albo podkręcić pracownikom śrubę, zyskując na konkurencyjności przedsiębiorstwa, albo zwolnić połowę personelu. Kryzys, takie czasy. Nowe zadaniówki oznaczały konieczność pokonywania dziennie od dwustu do pięciuset kilometrów. Jednak Polska to kraj, gdzie z sześciu godzin za kółkiem robi się siedem, osiem, dziewięć, dwanaście. Korki, fatalny stan dróg, debilne oznakowania i policja, której zadaniem jest ratowanie budżetu, a nie dbanie o bezpieczeństwo.

Na nocleg do Stargardu dotarł o pierwszej w nocy. Aby dojechać następnego dnia do klienta, który życzył sobie, aby on przyjął jego reklamację, musiał wstać o piątej i modlić się o przejezdną drogę. Sprawy nie mógł załatwić nikt z oddziału na Polskę południową, facet życzył sobie wyraźnie rozmowy z tym chujem, który mu szajs wcisnął. Z Pomorza na Małopolskę w dziewięć godzin, inaczej kontrahent zerwie umowę.

Pobudka w pokojowym hotelu, zasnął w ciemności, wstał w ciemności. Dwie kawy z automatu w holu i jeszcze red bull do samochodu. Od początku podróży problemy. Przed Wąlczem zaczęli remont dziesiątki. Zaczęli, co oznacza: rozkopali, rozjebali, zostawili. Brak płynnej jazdy nawet wcześniej rano. Rzut okiem na mapę, przecież może ominąć gigantyczny

korek, przepychając się bocznymi drogami przez wiochy. Chciał wbić się na trasę główną jeszcze przed Piłą.

Pusta, nawet zadbana szosa wrzynała się w zachodniopomorskie lasy. Drzewa, czasem jakiś słup wysokiego napięcia, niekiedy szkielet przystanku autobusowego. I podwójna ciągła, podwójna ciągła, podwójna ciągła.

Zbudził go metaliczny łomot, szarpnięcie wozu i promienie wschodzącego słońca kaleczące oczy. Ciało zareagowało odruchem, wciskając prawą nogę w pedał hamulca. Kilkanaście sekund, tyle zajęło świadomości pozbieranie się, uruchomienie poznawczych trybików i przerzutni.

Zatrzymał się w środku szerego pola, szczelnie opatulonego w mgłę. Las stał ciemnym szeregiem jakiś kilometr z tyłu. Po prawej stronie rów, po lewej asfalt. Na nim szczątki archaicznego roweru, popularnego w PRL składaka. Nowak znał ten model, przecież na romecie spędził całe dzieciństwo.

Wyszedł ostrożnie z wozu, rozejrzał się. Nigdy potem, nawet gdy spotkał pierwsze z TAMTYCH nie czuł takiego strachu. Bał się konsekwencji zabicia człowieka. I nie zabił, a przynajmniej nie w tym momencie. Gdy spojrzał do rowu, dziewczyna była jeszcze przytomna. Okrutne zrządzenie losu pozostawiło ją świadomą pomimo wielokrotnych złamań otwartych. Wyła, chyba chciała wypowiedzieć jakieś słowa, jednak zmiażdżona szczęka uniemożliwiła prawidłową artykulację.

Nowak uciekł, z piskiem opon, ze stopą na pedale gazu. Zwolnił dopiero kilkanaście minut później, gdy rozpadał się rzęsy deszcz zmywający mgłę z pól i ślady z miejsca zdarzenia. Później, dużo później, przeszukując policyjne bazy danych, dowiedział się, że policja nie miała nic, oprócz ciała ofiary. Ktoś zawiadomił o zwłokach w rowie dopiero w południe dnia wypadku. Sekcja wykazała, że dziewczyna męczyła się kilka godzin po tym, jak nieznany sprawca potracił ją i zbiegł.

Dwa lata później, ze sporym doświadczeniem jako psychopomp, Nowak wrócił w miejsce, gdzie zabił Andżelikę Mazurek. Pole, las, rów oraz szosa, wszystko okazało się puste i zwyczajne. Ofiara nie przyszła do niego jako TAMTA, na co sprawca miał nadzieję. Przeprowadziłby ją ze specjalną czułością, z wyjątkowym zrozumieniem. Jedynie jakiś kilometr za lasem Nowak odnalazł otwór w ziemi na poboczu. Tam pewnie tkwił krzyż, jednak wojewódzki dyrektor dróg krajowych i autostrad ze Szczecina zarządził ich usunięcie z terenów mu podległych.

Krzyż dla Eli, Józka i Michałka pewnie też niedługo usuną. Z dużo ich przy drogach, przeszkadzają utrzymywać pobocza w należytym stanie. Na razie można jeszcze zapalić

znicz, Nowak ma ich spory zapas w samochodzie.

\*\*\*

Przed nim Sieniawa, co oznacza że od spotkania z TAMTĄ przejechał około ośmiu kilometrów. Osiem zasranych kilometrów, a zegarek wskazuje 20:17. Chryste Panie i wszyscy święci, chory kraj. Co było inaczej w rozmowie z Elą?

Duch młodej kobiety, jak dziesiątki innych, jakie spotkał. Czy gdyby zabił pijaczka, spotykałby mężczyzn w średnim wieku? Statystyki mówią, że najkorzystniej by wyszedł, potracając śmiertelnie dziecko. Jedynie dziewięćdziesiąt zgonów w roku 2013, więc spotkania następowałyby rzadko.

Nie ma białych dam w zamkach, upiórów spalonych czarownic w lochach, widm samobójczyń snujących się po starych kamienicach. Są zagubione dusze, złapane w pułapkę między zbyt szybko przerwany życiem a odrażającą śmiercią. Można je spotkać tylko tam, gdzie żywi spotkają się z martwymi. W trasie, takie czasy.

Migająca lampka rezerwy wyrывa Nowaka z zamyślenia. Szlag by to trafił, rozmowa z TAMTĄ wytrąciła go z równowagi, zapomniał zatankować. Szczęśliwie przed wjazdem do miasta znajduje się stacja benzynowa. Na to nie można w Polsce narzekać, Shelle, Orlen i Statoile oblepiły kraj gęstą siecią dystrybutorów.

Przy pierwszym stanowisku stoi piękne audi i należąca do niego blondyna, przy drugim jakiś harleyowiec. Blondyna obsługuje samochód z należąca mu czcią, robi wszystko, aby nie uронić kropli paliwa na maszynę, która ma ją w posiadaniu. Motocyklista natomiast patrzy się filozoficznie na dystrybutor, jakby zastanawiał się, czy jego bestia nie przerzuciła się aby z benzyny na gaz. To już lepiej stanąć za audi, szybciej pójdzie.

Na stację zajeżdża SUV, który wypluwa trójkę młodych mężczyzn. Na włosach brylantyna, na karkach złote łańcuchy. Gotowi do podrywania, wyrывania, imponowania, balowania. Ich gotowość i ekscytacja związana jest z mechanizmem blokowania wychwytu zwrotnego dopaminy. Nowak też takich rzeczy próbował.

- Jeeezu, ale pizda!
- Przymknij mordę, przypał będzie.
- A co, paranoję masz? Trza było nie jarać.
- Lepiej jarać niż wpierdalać tyle mefedronu co ty. Żreć mi się chce.
- Gdzie my w ogóle wbijamy? Do Tango, do Rzeszowa?
- Za daleko.

- Ale fajne dupy tam są, poruchałbym.
- Mnie się gastro włączyło, chodźcie se coś weźmiemy.
- No widzisz, trza było zajebać mefa, to byś nie miał gastro.
- Dajemy do Adamówki, tam jest taka wiejska potupanka. Też poruchasz.

Nowak zakręca wylot wlewu paliwa, rzuca okiem na wyświetlacz dystrybutora. Z ulgą wchodzi do budynku stacji, tutaj nie słyszy bełkotu naćpanych gówniarzy. Podaje kartę płatniczą sprzedawcy i wtedy, dokładnie wtedy, w tym momencie dociera do niego, czym spotkanie z Elą różniło się od innych rozmów z TAMTYMI.

Martwa, młoda kobieta weszła do baru i zaczęła iść w kierunku stolika. Barman już wtedy zareagował strachem. Ludzie boją się wariata rozmawiającego z pustką, ten człowiek przestraszył się dziewczyny pokrytej zakrzepniętą krwią.

Musiał ją widzieć.

\*\*\*

Rzędy drzew migają w bocznych szybach. Tutaj droga jest prosta i chociaż nawierzchnia fatalna i jezdnia wąska, to jednak prowokuje do dodania gazu. Nowak nie zwiększa prędkości, wie, że zaraz minie rondo. Za nim miejsce wypadku; policja i ambulans już odjechały, jedynie sedan tkwi na poboczu.

Przed stacją benzynową w Adamówce stoją zaparkowane dwa samochody. Ich kierowcy są w barze, męczą się z niesmacznym jedzeniem. Nowak wchodzi do środka. Barman go poznaje, na jego twarzy znów odmalowuje się przerażenie.

– Proszę pana, musimy porozmawiać. Pan ją również widział, prawda? – Nowak od razu przechodzi do rzeczy.

Tamten kiwa tylko głową, że tak, że widział.

– Więc ona nie odeszła na dobre? Widzi ją tylko pan i ja, czy ktoś jeszcze?

Spojrzenie po sali, wzrok zatrzymuje się dłużej na dwóch klientach siedzących przy stolikach.

– Chodźmy może do kuchni, co? Nie chcę o takich rzeczach... wie pan... goście tu są.

– Jasne, chodźmy.

Kuchnia okazuje się małą klitką, której wyposażenie składa się z dwóch kuchenek mikrofalowych i lodówki. Barman zostawia niedomknięte drzwi, aby móc obserwować główne pomieszczenie, pochyla się w kierunku Nowaka. Mówi ściszym głosem:

– Wie pan, że ta dziewczyna... ona, cóż... no, wariackie, ale ona nie żyje. Wie pan?

– Wiem, Ela, zginęła kilka kilometrów stąd w wypadku. I ona wraca?

– Spowodowała wypadek. To młoda pijaczka była. Wie pan, przed trzydziestką, a już po rozwodzie. Kupiła u mnie butelkę wódki, wypłała po kryjomu na parkingu. Potem pojechała na Przeworsk, w lesie poszła na czołowe z fordem ka. Celowo, ona chciała się zabić. Policja mówiła, że to nie pierwszy raz. Na miejscu zginęła ona i dwójka ludzi z tego forda.

– Pewnie dlatego wraca...

– Nie.

Wyraźnie widać, że barman ma jeszcze coś do powiedzenia. Nowak ma wrażenie, że facet boi się jego reakcji.

– Dobra, mów pan wszystko. Nie zwyzywam pana od świrów.

– Jezu, wariackie, nie wiem, jak mam to panu powiedzieć...

– Normalnie, proszę się nie obawiać...

– Jezu, wariackie i straszne. Dziewczyna wróciła już cztery razy. Pięć, pan jesteś piąty. Podchodzi do ludzi i mówi im straszne rzeczy.

– Tak, o jej wypadku i sprawcach, trzech młodych...

Nowak przerywa, zdaje sobie bowiem sprawę, tak nagle i strasznie, że TAMTA nie mogła mówić o swoim wypadku. Przecież to ona spowodowała tragedię. Barman kontynuuje opowieść:

– Nie... to znaczy tak, tak panu mówiła. Ale innym, mówiła inne rzeczy i one się zawsze sprawdzały. Wszyscy... Boże, wariackie, ale ja pana tylko ostrzegam. Tamtych czterech w ten sam dzień zginęło na drodze.

Ktoś jeszcze wchodzi do baru, trzaskają drzwi wejściowe. W oddali słychać warkot samochodów na ruchliwej trasie. W zmywalni brzęczą talerze, chwilę wcześniej połknięte przez okienko „zwrot naczyń”. Nowak słucha odgłosów świata, z którym wkrótce będzie musiał się pożegnać. Rozpoznaje w sobie miły i ciepły spokój. Chryste Panie, w końcu czuje spokój.

– Psychopomp – mówi, bardziej do siebie niż do barmana.

– Co? Proszę?

– Nic. Wikipedia ma rację, to nie musi być żywa osoba. Przeprowadzać do świata pozagrobowego mogą również duchy. Dobra, dzięki za rozmowę.

Nowak wychodzi z baru, wsiada do samochodu.

Po drugiej stronie trasy trójka żywych, młodych mężczyzn siedzi w SUVie. Tylko jeden z nich, ten, który nie zażywał mefedronu, jest w stanie skończyć kebaba. Pozostali, naćpani stymulantem, nie mają apetytu. Niedojedzone porcje lądują koło śmietnika. Samochód rusza

w drogę, aby spotkać na niej Nowaka i zwolnić ze go służby.

*W Dzień Zaduszny, listopad 2015*

rys. Roman Panasiuk



# NIELUBA

Martyna Konwińska

Cicho leżę w ziemi zakopana, z błotem zmieszana. Cicho rosną moje włosy, cicho mnie robaki kochają. Już dawno sześć tygodni minęło, jak ciało w ziemi, a dusza wciąż przy domu krąży. Nikt jej do Zagrobów nie wpuści, bo ciało grobu nie dostało. W ziemi leży, w mule, w błocie, gdzie ślimaki, ropuchy, wodniki, tataraki. Leży, siłą zaciągnięte. Bez sprzeciwu, bez pretensji, bez głosu. Leży i czeka pokornie.

Patrzę na ciebie, mój miły, chociaż oczu już nie mam. Widzę co dzień, jak czekasz na mnie. Siedzisz przy oknie i patrzysz na drogę, jakbym zaraz miała pojawić się za zakrętem. Rozpalasz palenisko i siadasz tak blisko, że policzki ci czerwienią zachodzą, a oczy łzawią i czekają, jakbym zaraz miała z płomieni wypaść na klepisko. Chodzisz po mokradłach, nieopodal jeziora, przy którym tak często trwałam w milczeniu i bezruchu. I trwam nadal, pod



twoimi stopami, słyszę, jak przechodzisz nade mną. Ale ty o tym nie wiesz. I choćbym chciała krzyknąć z całych sił, to nie nabiorę już powietrza w zapadłe płuca, nie poruszę rozmiękłym językiem. Nie usłyszysz wołania spod ziemi, mój miły. Nie wyjdę ze swojej mokrej pieczary, nie wyleżę z piekła. Nie wpadnę do domu przez palenisko niby czort zbłąkany. Nie wrócę z Zagrobów, bo jeszcze nie opuściłam tego świata. Nie spełniłam wszystkich warunków, siedzę w przedsionku. Czekam.

Widziałam tu rzeczy, o których się żywym nie śniło, mój miły. Gdy tylko mnie ziemią przysypali, gdy zakopali, gdy krew stężała w żyłach, gdy serce skamieniało, przyszły do mnie moje siostry wodniste. Przyszły te, na które czekałam tak długo za życia. Piękne i straszne, niebianki – diablęta. Rusalki o skórze łuską pokrytej, o oczach czarnych jak najgłębsze czeluści jeziora. Opiekują się mną i dotrzymują towarzystwa. Ocierają łzy i rozczesują włosy. One wiedzą, co ludzie mówili. Wiedzą, skąd moje imię wyklęte, wiedzą, kto mnie zakopał pod ziemią. Chociaż ty jeszcze nie wiesz, mój miły.

\*\*\*

W dzień jesiennych Dziadów wszyscy jakby zamierają w nostalgii i pokorze. Gospodynie przygotowały już kutie cukrowe, upiekły chleby, ugotowały kasze. Nakarmiono żebraków, przygotowano posłania i czyste odzienie dla przodków, którzy powrócą do domów. Wszystko jakby wygłuszone przez zaległe na ziemi, oszronione liście. Wszystko schowane w błękitnej mgle. Wszystko martwo milczące, martwo zimne.

Mimo iż już zmrok zapada, nikt nie waży się rozpalić ognia. Jedyne małe płomyczki drżą przy drodze na żale. Przy każdym grobie ciepłe światełko mruga, wskazuje Dziadom drogę. W błyszczącej ciemności poruszają się rozmyte sylwetki, a nigdy nie wiadomo, czy to żywa istota, czy dusza podążająca za światłem. A mimo iż tradycja nakazuje wytyczyć Dziadom szlaki, nakarmić i napoić strudzonych wędrowców z Zaświatów, nikt nie pali ognia w chatach. Nikt nie chce, aby przyfrunęli jak ćmy do ognia i zatrzepotali skrzydłami w sieni. Fakt faktem, nikt nie lubi nieproszonych gości.

Jeden tylko siedzi przy ogniu i czeka. Z komina ulatuje siwy dym, na który nikt nie chce spojrzeć.

Kiedy nadejdzie odpowiednia godzina, idą ludzie na cmentarz. Każdy cicho, z głową opuszczoną i czołem chmurnym. Idą powoli na spotkanie, którego nie da się uniknąć. Jeden z nich tylko oczy ma szeroko otwarte, głowę uniesioną, dłonie drżące. Jeden tylko czeka, jeden, co przy ogniu siedział. Jeden, co stracił i jeden, co tęskni. Ten, co w obłędzie po

mokradłach łąził, jako i ona łąziła. Wariat. Wariat, mówią. To już dobre dziesięć tygodni minęło, jak jego dziewczuszka zniknęła bez śladu, a on dzień w dzień pali ogień i czeka, aż zwabi ją z powrotem jak zabłąkane zwierzę.

Gdy zniknęła, ludzie mówili: utopiła się. Wreszcie. Nie ma co się łudzić, nie ma co nadziei na darmo przywoływać do smutnej głowy. Wpadła do czarciego dołu albo ją potwory jeziorne zaciągnęły tam, skąd przybyła. Nie ma co chodzić po lesie i wołać, nie ma co czekać. Czas zapomnieć.

Ale on nie zapominał. I nawet gdy zrozumiał, że ukochanej jego już nie ma na tym świecie, nie przestawał czekać. Przez sześć tygodni, gdy dusza zmarłego pakuje swoje rzeczy, załatwia ostatnie sprawy świata żywych przed wyprawą do Zagrobów, czekał na nią. Ale ona nie przyszła. Nie ukazała mu się ani jako świetlisty cień, ani jako topielica z nabrzmiałą twarzą. Nie zapukała do jego drzwi. Więc czekał dzień po dniu na dziady, w nadziei, że pojawi się na cmentarzu wśród innych duchów. Szedł z nadzieją i miłością w sercu niby do ołtarza.

Gdy wszyscy doszli na żał, pomiędzy grobami stał nieruchomy tłum dziadów. Świejące cienie dawnych ludzi stały posępnie w milczeniu. Nie zasiadały na grobach, nie zbliżały się do żywych. Jakby odgrozione niewidzialnym murem.

Ucichły kroki i szelest liści. Stanęli wszyscy naprzeciw Dziadów, stężali ze strachu, nieruchomi w bezdechu. Trzymali gliniane półmiski i dzbany, a ich ręce drżały. W końcu jedna z bladoliczych dziewcząt zawołała do zmarłego kochanka: „Przyjdź, kochany, skosztuj wina!”. Nikt jednak się nie poruszył. Białe oczy wpatrywały się w żywych, trzymając ich od siebie w znacznej odległości.

Dlaczego milczą? Czemu nie witają się? Po co przyszli, jeśli nie przyjmują darów od swych rodzin?

Duchy drgnęły. Dusze zakołysały się i wydały z siebie przeciągłe westchnienie, niby wycie wiatru, upiorny chór. Jedna z bladych postaci wysunęła się naprzód. Zgarbiona staruszcza niczym koryfeusz z zaświatów, zaczęła mówić.

\*\*\*

Parę słów, historia krótka. Dziewczynka pośród mokradeł porzucona, przez staruszkę znaleziona. Czarne jej włosy były niczym najciemniejsza noc, a oczy jasne i zimne jak mgła, co wypęła na polany wypędzana przez mrok. Ciało białe, jakby z dna jeziora wyłowione, postać nie z tego świata. Czarownica, upiór, strach. Miano jej obrzydliwe, jak i jej losy.

Nieluba jej imię, bo bez miłości, bez pamięci, bez litości i w samotności na mokrym mule, wśród tłustych żab przeżyła.

Lata mijały, a dziewczynka rosła. Rosły jej oczy, włosy i palce, piękność nieopisana. Twarz chochlika, wróżki, nimfy. Lecz mimo tej piękności jedyne uczucie, jakie budziła w żywych, było nienawiścią. Istota tak podobna do wszystkich innych, tych, które znane, jednak tak inna. Trwając w milczeniu, prowadziła życie leśnego stworzenia. Bezszelestnie poruszała się między wysokimi drzewami i ostrą trawą.

Staruszka umarła, a dziewczyna nadal błądziła między jeziorami. Wypatrywała rusalek, od których tak często ją wyzywano. Całowała ropuchy, głaskała tatarak. Mówiono, że żywi się rozbełtaną z mąką krwią, którą dostaje od wodników. Mówiono, że w nocy przybiera postać rogatego czarta lub skrzydlatej mary. Mówiono, że to przez nią płaczą niemowlęta i chorują starcy, przez nią gniją plony i kwaśniej mleko. A gdyby ktoś przypadkiem zauważył ją pomiędzy drzewami, niechybnie pomyślałby, że to rusalka wylazła z jeziornej wody.

I tak właśnie pewnego dnia, gdy Nieluba siedziała nad brzegiem pośród mchów i światła, dostrzegł ją młodzian o sercu spragnionym miłości. Podróżnik, który nie znał historii o córce potworów, nie wiedział o brzemieniu nienawiści, postanowił pojąć dziewczynę za żonę.

Został wpuszczony do oplecionej pajęczynami chatki, której wewnątrz pokrywał srebrzysty kurz. Powoli doprowadzał ją do użytku. W palenisku zatrzęszczał ogień, na grządce wyrosła kapusta. Codziennie wieczorem, gdy zapadał zmrok, stawiał na ganku płonąca lampkę, by wskazać ukochanej drogę do domu.

Ich spokojne, milczące życie pośród lasu nie było jednak w stanie obronić ich przed czarem nienawiści, który gdy raz zostanie rzucony, nigdy nie przemija.

Ludzie z okolicznych chat szeptali o stworze, który niebawem zrodzić się może z wędrowca znikąd i mary z jeziora. Szeptano, że ich potomstwo pokryte będzie srebrną łuską, zaopatrzone w pajęczę nogi i jadowite żądła. Na wpół żywe, na wpół martwe, dziecko – klątwa, upiór w kołysce. W zamroczonych umysłach zrodziło się uczucie silniejsze niż strach czy odraza. Coś, co dotychczas napawało ich lękiem, zaczynało się rozrastać. Coś próbowało się do nich upodobnić, wieść upiorną parodię ich zwyczajnego życia. Coś, co kłuło ich małe głowy odmiennością. Coś tak podobnego, a jednocześnie tak innego. Coś, co należało zniszczyć.

Nikt nie odważył się samotnie wejść na mokradła. Poszli więc razem, upolować swój strach. Dzierżąc w dłoniach łopaty, cepy i motyki.

Znaleźli ją przycupniętą nad brzegiem. Wyciągała długie, białe palce i mąciła wodę w bajorze. Spokojnie podniosła wzrok. Nie zionęła ogniem, nie rzucała zaklęć, nie pluła jadem. Nie rozwinęła pierzastych skrzydeł, nie pokazała kłów, nie wzleciała w powietrze. Patrzyła spokojnie na to, co musiało nadejść i co nadeszło w chwili tak samo dobrej i tak samo złej jak wszystkie inne.

Spokojna i cicha pozostała, gdy po białej skroni spłynęła gorąca posoka. Spokojnie dała ułożyć się w mulistym posłaniu kopanym w szale i zaślepieniu. Przykryto ją pierzyną z mokrej ziemi i pozostawiono w zapomnieniu.

Tego wieczora płomyczek na ganku nie wskazał jej drogi do domu.

Miała zostać sprawiedliwość wymierzona, a krzywda została wyrządzona. Jako i żyć jej nie pozwolono spokojnie, tako i umierać jej przyszło. Ciało jej zbezczeszczone, dusza jej zagubiona. Ciało jej za wasz strach cierpiało, dusza jej przez wasz czyn zamknięta między światami. Martwa, u żywych nigdy nie swoja, do martwych nie może przystąpić.

Dopóki ciało nie zostanie godnie pochowane, dusza nie opuści świata żywych. Dusza jej błądzić będzie po waszym świecie, nawet gdy jej ciałem pożywi się ziemia, gdy strawi je do cna. Lecz my nie pozwolimy zachwiać równowagi świata żywych i martwych.

Czekajcie, aż was sprawiedliwość wasza dosięgnie, bo kto za życia krzywdy zadawał niewinnym – po śmierci sam krzywdzony będzie. A kto żyw został pozbawiony spokoju, dusza jego spokój odnajdzie za grobem. Dlatego postawcie grób i schowajcie jej ciało. Bo dopóki jej dusza nie opuści tego świata, i my go nie opuścimy.

\*\*\*

Skorupy naczyń leżały pod ich stopami. Do zmarzniętych stóp kleiły się kawałki zimnego jedzenia, które nie wiedzieć kiedy wypadły z ich zaskoczonych rąk. Stali nadal w paraliżu, w natłoku myśli. Wszyscy podobni, a jednak nierówni sobie.

Staruszka powoli wycofała się i stanęła w szeregu duchów.

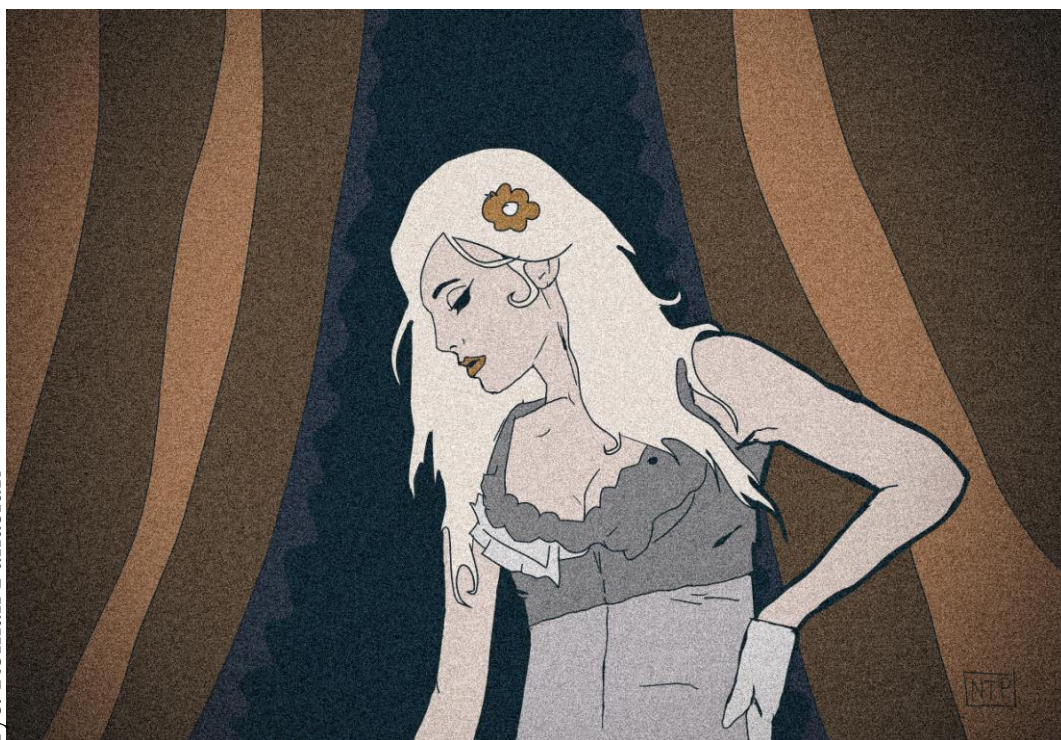
Las zamarł w bezruchu, wiatr przestał przeczesywać liście, ludzie przestali oddychać.

Wrzask ciszy przerwał dopiero szelest liści, gdy pierwszy z tłumu ludzi odwrócił się i ruszył w stronę jeziora.

\*\*\*

Tak długo czekałam, mój miły. Słyszę w oddali twoje kroki pośpieszne. Przyjdź, rusz łopata, a wstanę. Przyjdź, mój miły, zanim odejdę, przyjdź na ostatnie pożegnanie. Wpuść mnie z mojej klatki ziemistej i czekaj, aż spotkamy się znowu. Razem, po drugiej stronie. Równi sobie i wszystkim innym. Przyjdź, mój miły.

rys. Roman Panasiuk



# NIM OPADNIE KURTYNA

Piotr Borlik

To był kolejny udany występ. Pękającą w szwach salę opanowała istna euforia – oklaskom na stojąco nie było końca, a łzy wzruszenia co wrażliwszych kobiet rozmazały przygotowywane godzinami makijaże, stanowiąc tym samym najlepszą recenzję przedstawienia. Wśród wielu znamienitości dostrzec można było przedstawicieli ministerstwa, zwykle oszczędnie okazujących emocje, teraz ochoczo wiwatujących na cześć aktorów.

Zdawać by się mogło, iż codzienne wystawianie tej samej sztuki prędzej czy później wpłynie negatywnie na frekwencję. Nic bardziej mylnego. Mijały miesiące, a bilety wciąż znikwały na pniu, nawet te u wystających przed wejściem koników, którzy zawyżali cenę pięciokrotnie. Każdy pieniądz wart był przeżycia tych dwóch godzin w towarzystwie gwiazdy wieczoru.

Dziewczynki ubrane w czerwone sukienki wręczały kolejne bukiety kwiatów odtwórczyni głównej roli. Kompilacje pastelowych róż i intensywnych alstromerii idealnie pasowały do kreacji Lidii, która jak zawsze znajdowała się w centrum uwagi. Pozostali doskonale wiedzieli, że sukces przedstawienia w głównej mierze zawdzięczali jej wdziękowi oraz talentowi do wyciskania z roli ostatnich soków, lecz mimo to z zazdrością wysłuchiwali kolejnych peanów pod jej adresem.

Kobieta lśniła niczym najwspanialszy diament. Idealnie uczesane blond włosy opadały na równie idealnie skrojoną złotą suknię, której wartość przewyższała miesięczne zarobki większości aktorów. Ich stroje, choć również piękne i starannie wykonane, przy kreacji Lidii wyglądały jak łachmany wyciągnięte z rynsztoka. Prawda jednak była taka, iż ona nawet w worku po ziemniakach wyglądałaby lepiej niż jakakolwiek inna kobieta w wieczorowej sukni.

– Dziękuję, naprawdę dziękuję! – odpowiedziała z charakterystyczną dla siebie gracją, kłaniając się nisko.

Nienaganny uśmiech, wyuczone ruchy, wszystko by czarować wdziękiem i nie pozostawiać wątpliwości, iż królowa jest tylko jedna.

\*\*\*

Lidia najbardziej lubiła moment oczekiwania tuż przed wejściem na scenę. Pomimo wielu lat odgrywania jednej roli nie popadła w rutynę, próbując wciąż na nowo odkrywać swoją postać. Jako jedyna z obsady miała możliwość ingerencji w tekst, dzięki czemu każdy kolejny występ przynajmniej w minimalnym stopniu różnił się od poprzedniego. Tym razem postanowiła pójść na całość. Trzymany w dłoniach scenariusz pełen był ręcznych dopisków, o których pojęcia nie mieli pozostali aktorzy. To miał być psikus, pobudzenie ich kreatywności, gdy zamiast cytować wyuczony tekst będą zmuszeni pójść na żywioł.

– Komedia to tragedia plus czas – powtórzyła napisaną poprzedniego wieczoru frazę, z zamkniętymi oczami opierając głowę o ścianę. – Nawet się nie zorientujesz, kiedy będziemy wspominać tę chwilę z uśmiechami na twarzy.

Ciekawa była reakcji aktorki odgrywającej rolę Otylii. Zdawała sobie sprawę, że tą prowokacją podsuwa wszystkim kolejne argumenty do złorzeczenia pod adresem głównej gwiazdy. Miała jednak nadzieję, iż po czasie docenią jej starania, że zrozumieją, iż chciała jedynie wybudzić ich ze scenicznego marazmu.

– Hanno! Hanno! – usłyszała krzyk Otylii, po którym Lidia powinna pojawić się przed publicznością. – Jak mogłaś mi to zrobić?

Wzięła głęboki oddech i odłożyła trzymane w dłoniach strony na szafkę służącą właśnie do tego celu, na leżące tam skrypty innych aktorów. Już miała wyjść na scenę, gdy usłyszała za sobą szelest papieru i cichy odgłos uderzenia o ziemię. Pospiesznie zerknęła przez ramię. Jej scenariusz – była pewna, że należał do niej, poznała po naniesionych dopiskach – ześlizgnął się ze stosika i spadł na podłogę. Nie należała do przesądnych osób, ale nieraz słyszała od starszych kolegów historie o aktorach, którzy nagle zapominali swoich ról albo pomimo wieloletniego doświadczenia scenicznego zjadała ich trema, a wszystko to z podobnego powodu. Dawno temu, kiedy jako debiutantka postanowiła spróbować swoich sił w teatrze, pierwsze słowa od jej mentora brzmiały: „Zawsze przydepnij scenariusz, jeśli upadnie ci na podłogę, bo inaczej może to zakończyć twoją karierę. Może to i przesąd, ale nigdy nie wiesz, co się wtedy może stać”.

Przygryzła wargę. Nie mogła teraz zawrócić – publiczność czekała, a ona nie zamierzała wystawiać ich na próbę cierpliwości. Raz jeszcze wciągnęła głęboko powietrze i wyszła na scenę w blasku reflektorów. Powstrzymała oczy przed mrużeniem, dopóki źrenice nie przyzwyczajają się do światła.

– Komedia to tragedia plus czas. – Z czarującym uśmiechem przechyliła głowę, rzucając koleżance wyzywające spojrzenie. – Nawet się nie zorientujesz...

Urwała nagle. Zamiast zapierającego dech w piersiach ogrodu, gdzie prym wiodło wyrastające ze sceny, wysokie do sufitu drzewo, którego pień nawet z bliskiej odległości sprawiał wrażenie pokrytego prawdziwą korą, zobaczyła kilka żałośnie sterczących kartonowych wycinanek, pomazanych kolorową farbą w sprayu. Wiszący w górze księżyc, miał rzucać na nią ciepłe światło, chybotął się na boki, jakby zaraz miał spaść prosto na jej głowę.

Nerwowo przełknęła ślinę. Stojąca na scenie kobieta, zamiast w niebieską suknię z bogato zdobionym żabotem i bufiastymi poduszkami na ramionach, ubrana była w wymiętą szarą szmatę, brudną od potu i jakiegoś czarnego smaru. Dopiero po chwili Lidia spostrzegła, że to nie była aktorka grająca Otylię tylko manekin, makabrycznie ucharakteryzowany na gnijące zwłoki, z wyrastającą na czaszce kępką siwych włosów.

To musiał być żart. Reszta ekipy jakimś cudem dowiedziała się o naniesionych przez nią zmianach w scenariuszu i postanowiła ją wyprzedzić, wywijając taki numer. Zmiana scenografii zapewne kosztowała ich wiele czasu i wysiłku, ale musiała przyznać, że napędzili jej strachu.



Spojrzała na widownię, spodziewając się zobaczyć tam pozostałych aktorów, rozbawionych, chichoczących lub wręcz tarzających się na ziemi ze śmiechu. Zamiast nich zobaczyła jedynie jeszcze więcej manekinów, poprzebieranych w podarte łachmany, pstrokate kapelusze, pawie pióra, gdzieś tam nawet dostrzegła futra, z daleka wyglądające na prawdziwe.

– Hanno! – Manekin nagle przemówił, wyciągając dłoń w jej kierunku. – Jak mogłaś mi to zrobić?

– Nie w taki sposób miałaś się o tym dowiedzieć. – Zza kotary dobiegł ją szept suflera.

W tle słychać było pomruki i pochrząkiwania, jakby na widowni zasiadała prawdziwa publiczność, teraz nieco zdezorientowana zachowaniem głównej aktorki. Lidia z szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w stojącego przed nią kościotrupa. Nie mogła uwierzyć własnym oczom, ale żywy trup wymawiający kwestie Otylii wyglądał, jakby patrzył na nią pustymi oczodołami. Jedną z dłoni wykonał ponaglący ruch.

– Nie w taki sposób miałaś się o tym dowiedzieć – powtórzył sufler, tym razem głośniej. – Musisz wiedzieć, że zawsze go kochałam.

Lidia wycofała się w stronę bocznej kotary. Drżącymi dłońmi dotknęła materiału, lecz natychmiast odskoczyła przestraszona, gdy zamiast miękkiej tafty poczuła sztywną od brudu folię, pełną dziur i wybrzuszeń. Powoli dostrzegała kolejne zdewastowane elementy sali: pozrywane kinkiety, przeciekający dach czy zabite deskami główne wejście, zazwyczaj udekorowane świeżymi kwiatami.

– Co jest, do cholery? – syknął sufler, wyglądając zza rogu. – Mów swoją rolę, bo zaraz położysz całe przedstawienie.

On również wyglądał jak kościotrup pokryty resztkami gnijącego ciała. Ubrany tylko w wytarte na kolanach materiałowe spodnie, skrzyżował dłonie na zapadniętej klatce piersiowej. Wystające kości żeber poruszały się rytmicznie, coraz szybciej, jakby mężczyźnie z nerwów przyspieszał oddech.

– Co tu się dzieje? – jęknęła, schodząc ze sceny. Lekko trąciła suflera, który padł na ścianę, jakby cisnął nim dwumetrowy osiłek.

Ruszyła biegiem, mijając kolejnych członków obsady, również sprawiających wrażenie nieżyjących od co najmniej dekady. Skierowała wzrok pod nogi. Nie chciała na nich patrzeć, słyszała jedynie rzucane w jej kierunku złośliwe komentarze.

To z pewnością wina przemęczenia. Nie spała pół nocy, więc zakręciło jej się w głowie i stąd te halucynacje. Musiała wyjść na zewnątrz, odetchnąć świeżym powietrzem, spojrzeć na wszystko z dystansem. Zbiegła schodami w kierunku głównego holu, skąd prosty korytarz

prowadził do szatni. Zwolniła kroku, uważając, by nie potknąć się na wyszczerbionych stopniach. Bariierka była całkowicie zdewastowana, a ściany wyglądały, jakby miały zaraz runąć.

Szatnie prezentowały się równie posępnie. Wszystkie wieszaki zajęte były przez płaszcze i futra, brudne, wyblakłe, pokryte grubą warstwą kurzu.

– Pani Lidia? – Zza lady dobiegł ją kobiecy głos należący do Weroniki, młodej szatniarki studiującej zaocznie filozofię. – Co pani tu robi? Przepraszam, to nie tak, jak pani myśli!

Kobieta z nadzieją spojrzała w kierunku, skąd dochodził głos. Z pewnością Weronika wreszcie wyjaśni całe to zamieszanie. Może ktoś podał jej narkotyki? Może dosypali czegoś do martini, które zwyczajowo wypijała przed rozpoczęciem spektaklu?

– Co tu się wyprawia?! – spytała, szukając wzrokiem szatniarki wśród masy płaszczy. – Co to wszystko ma znaczyć?

– To naprawdę nie tak. – Z cienia dobiegł cichy szloch. – Ja to tylko przymierzałam, zaraz miałam odłożyć na miejsce. Błagam, proszę nikomu nie mówić.

Kościsty trup, ubrany w śnieżnobiałe futro, podszedł do lady. Przerzedzone, tłuste włosy opadały na gnijące pozostałości twarzy, po której spływały prawdziwe łzy.

Lidia odwróciła wzrok w drugą stronę. Serce biło jej panicznie, z trudem łapała powietrze, ledwo utrzymywała się na nogach. Czuła, że zaraz straci przytomność. To wszystko ją przerastało, nie potrafiła znaleźć żadnego wyjaśnienia. W jednej chwili jej świat zamienił się w zdewastowaną ruinę pełną chodzących trupów, udających, że nic się nie stało.

Wycofała się w kierunku głównych drzwi i pociągnęła je z nadzieją, że na zewnątrz wreszcie ujrzy coś normalnego. Te nawet nie drgnęły. Zaparła się nogą, ciągnąc z całych sił, jednak bezskutecznie. Łzy popłynęły jej po policzkach, gdy dała upust bezradności rozsadzającej ją od środka. To wszystko nie miało najmniejszego sensu. Dlaczego nagle wszystko zmieniło się...

Kątem oka dostrzegła nagle starego mężczyznę siedzącego na podłodze przy schodach z drugiej strony szatni. Oparty o ścianę, sprawiał wrażenie pijanego lub nieprzytomnego, ale w przeciwieństwie do pozostałych nie wyglądał jak zwłoki.

Nigdy nie spodziewała się, iż tak bardzo ucieszy ją widok zniedołężniałego starca. Zwykle od takich ludzi odwracała wzrok, podczas gdy teraz miała ochotę wyściskać go z radości. Podeszła powoli, nie chcąc wystraszyć mężczyzny. Ubrany w wełnianą marynarkę w kratę, wyglądał jakoś znajomo. Czerwone wypieki na policzkach świadczyły o problemach ze zdrowiem, ale i tak lepsze to niż kości wystające spod gnijącego ciała u pozostałych pracowników teatru.

– Lidia, moje ty słoneczko – przemówił nagle zachrypniętym głosem. – Że też akurat cię musiało to spotkać.

Przyglądała mu się dłuższą chwilę, próbując sobie przypomnieć, skąd go znała. Gdzieś już widziała ten ciepły wzrok, sprawiający, że zaniedbany wygląd męczyzny tracił na znaczeniu.

– Minął szmat czasu, choć w naszym przypadku nie jest to najlepsze określenie. – Zakaszał, po czym opierając się dłonią o ścianę wstał i otrzepał ubranie z brudnego pyłu. – Co, nawet mnie nie poznajesz?

– Pan... Pan Henryk?

Zmarszczyła brwi, a jej wcześniejszy entuzjazm ulotnił się niczym powietrze z przekłutego balonika. Stojący przed nią mężczyzna odszedł z teatru bez słowa kilkanaście lat temu, zmuszając scenarzystę do rozpisania spektaklu niemalże na nowo. Niemożliwe, by teraz nagle wrócił i po prostu drzemał sobie w korytarzu. Nie trzeba być detektywem, by domyślić się powiązania między jego nagłą obecnością a pozostałymi dziwnymi wydarzeniami.

– Nie masz pojęcia, jak dobrze po tylu latach błąkania się po korytarzach wreszcie zostałem przez kogoś zauważonym. Zresztą co ty możesz wiedzieć, od ciebie nie sposób oderwać wzroku. Nasz teatr czekał na taką gwiazdę latami. Ciekawe, jak sobie poradzi z jej nagłym zniknięciem.

Mężczyzna uśmiechnął się krzywo. Dopiero teraz Lidia dostrzegła, że trzymał w dłoniach plik pomiętych kartek. Pewnie by go zignorowała, gdyby nie ogromny wykrzyknik widniejący na pierwszej stronie, dokładnie ten sam, który narysowała poprzedniego wieczoru po zakończeniu wprowadzania zmian w sztuce.

– Powinienem był zrobić to od razu – ciągnął dalej starzec. Z każdą sekundą wyglądał zdrowiej, jakby na jej oczach odmłodził o kilka lat. – Taki szmat czasu w samotności, że człowiek zrobił się sentymentalny. Wiesz, że czekałem tu na ciebie, żeby oddać ten przeklęty scenariusz? Żebyś to ty mogła tam wrócić. Ale przepraszam, ja już po prostu dłużej tak nie potrafię. Wkrótce mnie zrozumiesz. Mam nadzieję, że będziesz w stanie mi wybaczyć.

Nie zdążyła odpowiedzieć, gdy mężczyzna upuścił papiery i ze łzami w oczach przydepnął je. Powietrze wypełniła gryząca woń kobiecych perfum. Nie sposób było rozpoznać konkretnego zapachu, jak gdyby ktoś w jednej chwili rozpylił zawartość kilkudziesięciu różnych flakoników. Henryk zniknął wraz ze scenariuszem. Lidia potrząsnęła głową. Wciąż łudziła się, że śni nadzwyczaj realistyczny sen, że zaraz wybudzi się z koszmaru i wszystko wróci do normy.

Za plecami usłyszała hałas. W jej sercu ożyła nadzieja, gdy odwróciwszy się, dostrzegła tłum normalnie wyglądających ludzi, grzecznie ustawionych w kolejce do szatni. Pojawili się znikąd, a Weronika w pocie czoła uwijała się za ladą. Co najważniejsze, nie wyglądała już jak kościotrup. Cała szatnia na nowo była piękna, pełna marmurów i luster nadających pomieszczeniu należytej wyniosłości.

Będę musiała zwolnić nieco tempo, pomyślała, napawając się widokiem ludzkich twarzy, zdrowych i zarumienionych. Codzienne spektakle, próby i zmiany scenariusza najwyraźniej odbiły się na jej zdrowiu. To było ostrzeżenie, sygnał alarmowy, którego nie zamierzała zignorować. Zrobi sobie krótką przerwę, odpocznie i pełna energii wróci na scenę.

– Przepraszam, proszę mnie przepuścić – powiedziała wyniośle, oczekując lada moment lawiny komplementów pod swoim adresem. Nie codziennie bowiem można było spotkać się oko w oko z prawdziwą gwiazdą.

Nikt jednak nie zareagował. Ludzie nawet nie spojrzeli w jej kierunku, zajęci rozmowami na temat dzisiejszego występu.

– Podobno wreszcie pojawi się pan Henryk Samborski – z ekscytacją w głosie powiedziała kobieta stojąca najbliżej.

– Też o tym czytałam w dzisiejszej prasie – odparła jej koleżanka. – Ciekawe, czy wciąż jest taki przystojny.

– Proszę mnie przepuścić! – krzyknęła Lidia. Ponownie czuła paralizujący strach. Chciała przepchnąć aroganckie kobiety, ale jej dłonie jedynie przeniknęły przez ich ciała. Z trudem utrzymała równowagę. Najwyraźniej koszmar wcale się nie skończył, wszedł jedynie w kolejną fazę. – Ludzie, co tu się dzieje!

– Szkoda tylko tej babeczki – dorzucił ktoś z tyłu. – Jak ona miała, kurczę, zapomniałem już. Taka blondyneczka, nawet całkiem ładna była.

– Czy ja wiem, jakoś tak zadzierała nosa, zawsze mnie tym irytowała.

Dopiero teraz spostrzegła, że jej sylwetka nie odbija się w wiszących na ścianach lustrach. Nie mogła uwierzyć własnym oczom. Trwała tak w bezruchu, pustym spojrzeniem odprowadzając kolejnych gości udających się na widownię. W tle rozbrzmiał gong informujący o rychłym rozpoczęciu przedstawienia. Przedstawienia, na którym nie będzie już odgrywać głównej roli. Dopiero co zaplanowana przerwa miała trwać znacznie dłużej, niż Lidia zakładała.

\*\*\*

To był kolejny udany występ. Widzowie oszaleli na punkcie wielkiego powrotu Henryka Samborskiego, największego amanta w dziejach teatru. Szarmancki, idealnie zbudowany, chwytający za serca damy w każdym wieku, był wzorem do naśladowania dla współczesnego mężczyzny. Nie sposób było oderwać wzroku od jego idealnego uśmiechu, tych charakterystycznych dołeczków, na widok których nogi miękły w kolanach.

Dziewczynki ubrane w czerwone sukienki wręczały mu kolejne bukiety kwiatów. On zaś schodził na widownię i wybierając co piękniejsze kobiety, obdarowywał je otrzymanymi wcześniej wiązkami, całując w dłonie i spoglądając głęboko w oczy.

Nienaganny uśmiech, wyuczone ruchy, wszystko by czarować wdziękiem i nie pozostawiać wątpliwości, iż król jest tylko jeden.

# CARPENOCTEM.PL

PISZEMY O GROZIE OD 2003 ROKU

LITERACKI HORROR DLA ZAAWANSOWANYCH.  
GROZA WCIĄGA!





www.kostnica.com.pl

# KOSTNICA

**POZORNIE MARTWA STRĘPA**

HORROR THRILLER KRYMINAL SENSACJA FANTASTYKA

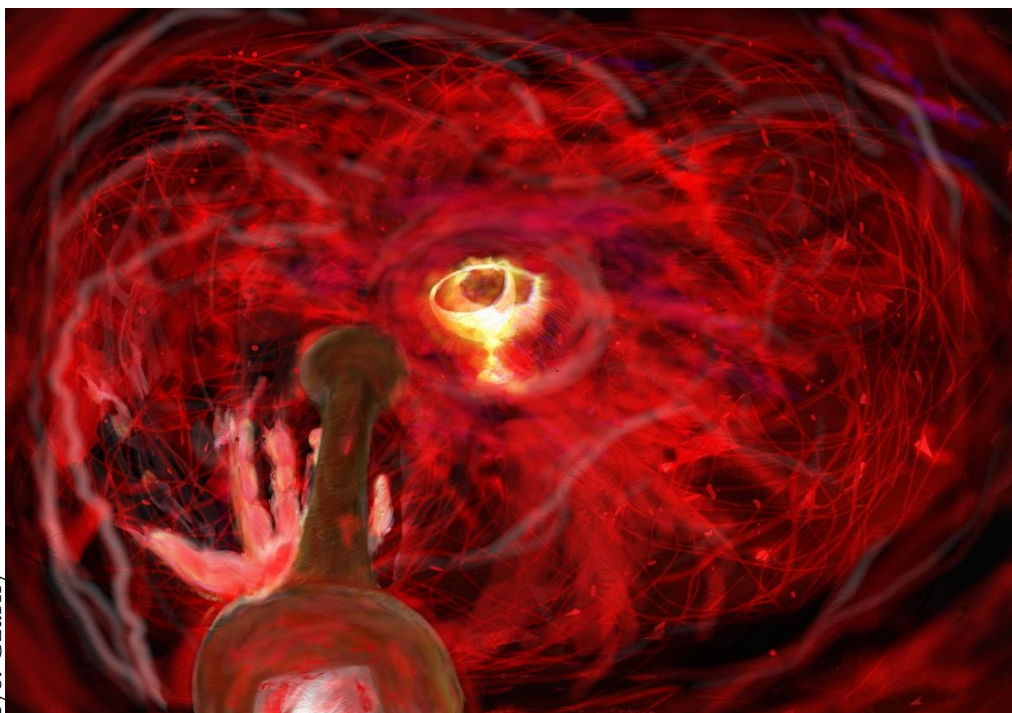


[www.kostnica.com.pl](http://www.kostnica.com.pl)

RECENZJE  
OPOWIADANIA  
GALERIE  
NOWOŚCI  
KONKURSY  
FILM  
KSIĄŻKA  
GRA  
KOMIKS



rys. Czarny



# PIECZARA

Antoni Nowakowski

Drogę do Inverness przemierzało niewiele samochodów, jednak Guy nie śpieszył się. Miał dużo czasu na dotarcie do Highlandsu, górzystej części Szkocji, przemierzenie obszaru West Landsu, odnalezienie pieczary, a potem wykonanie zlecenia. Nic go nie popędzało, a dla niego, byłego oficera SAS, teraz zawodowego mordercy, zrealizowanie zamówionej usługi stanowiło dziecinnie łatwe zadanie. Przyjął najzwyklejszą w świecie robotę, bo honorarium okazało się zaskakująco wysokie. Sto pięćdziesiąt tysięcy funtów szterlingów dla każdego byłoby nie lada gratką, a dla niego całkiem okazałą fortuną. Ta kwota pozwalała na spełnienie celu, którym Guy się kierował – bardzo dostatniego urządzenia się. I stworzenia organizacji eliminatorów ludzi, którzy czynili najgorsze zło. Eliminatorów przestępców czerpiących olbrzymie zyski ze zbrodni. Rycerze sprawiedliwości, jak ich czasami określał, działałoby w imię sprawiedliwego odwetu, jednak, tak jak on, za sutą opłatą.

Guy William Hawkes myślał o tym od chwili, gdy stanął przed koniecznością odejścia z SAS. Nie był jeszcze stary, bez wysiłku zaliczał wszystkie testy, jednak w tej formacji



rygorystycznie przestrzegano kryteriów wiekowych. Lubił, a może nawet kochał tę służbę. Czule wspominał akcje w Iraku, Iranie, Omanie i Afganistanie. Czuł dumę, że wykorzeniał zło. Ochronił wielu ludzi przed śmiercią albo uzależnieniem od narkotyków. Wysłał do Allacha kolejną grupę fanatycznych terrorystów-samobójców. Ocalił nieznaną mu biedaków przed porwaniem i bezlitosnym wykorzystaniem jako dawców organów.

Na tych pustynnych terenach Bliskiego Wschodu Guy spotykał ludzi, pławiących się w bogactwie, tak naprawdę wierzących tylko w jedno – potęgę pieniądza. Z handlarzami narkotyków, kobiet i dzieci, właścicielami pól makowych, producentami amfetaminy. Wykonując rozkazy, pozbawiał ich potem życia – dla dobra Wielkiej Brytanii, ludzkości, by wyeliminować źródła finansowania państwa islamskiego. Zabijał z niekłamaną przyjemnością, bo z całej duszy wierzył w to, co robił.

Gdy Guy odszedł z SAS, przyjęto go do wywiadu, MI5. Mocno się rozczarował. Większość czasu spędzał przed laptopem. Analizował informacje, sporządzał raporty, prowadził jeden z licznych zbiorów danych. Nuda urzędniczych zajęć nie była jeszcze najgorsza. Szybko zdał sobie sprawę, że czeka go jedno – lata monotonnej pracy, międlenie w kółko tego samego, oglądanie tych samych twarzy i ciągle wracanie do dawnych wspomnień. W końcu dochrapie się przyzwoitej, jednak niezbyt wysokiej emerytury, niewielkiego domku z ogródkiem i nijakości życia sflaczałego pryka.

Szybko też zorientował się, że ci, z którymi walczył na pustkowiach Iraku, nie są już pospolitymi bandytami bez przyszłości. Przepoczwarzyli się w zagorzałych islamistów i organizowali zespoły świętych męczenników za wiarę. Dawni wrogowie przybrali szaty bojowników za świętą religię, stając się filarami państwa muzułmańskiego. Hojnie dotowani przez arabskich nababów, budowali własne fortuny. Korzystali z niewyobrażalnego luksusu. Guy miał pewność, że ci rozbitkowie reżimu Saddama Husseina w głębi ducha śmieją się z wyznawców Allacha, wysyłanych na pewną śmierć. A on, bohater zmagania na pustyni, zastanawiał się, czy kupno raz w tygodniu butelki kilkunastoletniej whisky i wizyta w ekskluzywnym klubie nie naruszy domowego budżetu.

Przemyślał wszystko i postanowił porzucić nowe zajęcie. Chciał robić to, w czym był najlepszy – zabijać, tyle że na własny rachunek. Mordować za dobrą opłatą gangsterów, okrutników, psychopatów, sadystycznych gwałcicieli. Doskonale wiedział, że będzie obserwowany i sprawdzany przez MI5 i MI6; podsłuchiwany, śledzony. W końcu jednak dawni szefowie uznają, że po prostu się zmęczył. Wypalił i pragnie żyć spokojnie. Jego dossier trafi do archiwum z adnotacją „nieškodliwy”. Wtedy ktoś z dawnych kolegów, z których kilku zawdzięczało mu życie, szepnie o tym słówko.

Ponad trzy lata pracował w firmie, zajmującej się ochroną pól naftowych i rafinerii na Bliskim Wschodzie. Wykorzystywał dawne doświadczenia, kontakty, znajomość terenu. Skupiał się jednak na czymś innym – zbieraniu informacji o gangach. O walce władców podziemia o strefy wpływów, dochody, sieci dystrybucji narkotyków.

W końcu otrzymał upragnioną informację – uznano, że jest czysty i nie stanowi zagrożenia.

Był już wtedy od dawna gotów do rozpoczęcia zupełnie nowego życia.

\*\*\*

Długa droga, a może niepokój, ciągle tłący się w głębi duszy Guya, powodowały przyływ wspomnień.

Wyruszył z Londynu w nocy. Dawno pozostawił za sobą Birmingham, Warrington, Lancaster i Carlisle. Szybko objechał Glasgow drogą przez Stirling i Perth, a potem przemknął przez Cairgorms. Musiał teraz przejechać przez Inverness i przemierzyć pustkowia West Landsu, aby w płytkiej dolinie między dwoma górskimi szczytami odnaleźć cel – pieczarę.

Przypominał sobie wszystko, jakby czynił rachunek życia. Pamięć przywiodła pierwsze zlecenie.

Jednemu z szefów gangów telefonicznie złożył prostą ofertę – wykończę bossa konkurencji, a ty mi zapłacisz. Pięćdziesiąt procent honorarium przed, resztę po egzekucji.

Ofiarę trafiła seria pocisków z karabinu snajperskiego. Guy doskonale strzelał. Scotland Yard szybko umorzył śledztwo, uznając, że bandyta padł ofiarą wewnętrznych porachunków mafii.

Potem postępował tak samo – wybierał cel, osoby zainteresowane likwidacją wroga i proponował morderstwo. Szybkie, ze sporą dopłatą za wyrafinowany sposób śmierci. Wielu odmawiało, bo Guy się cenił, jednak pieniędzy systematycznie przybywało. Nie napotykał też trudności z zabójstwami zbiorowymi, bo i takie wykonywał – plastik był bardzo silnym i efektywnym materiałem wybuchowym, do tego łatwym w użyciu.

Widział już schludne uliczki Inverness. Zza rogu wynurzyła się grupa Szkotów w kiltach i beretach, dmąca w kobzy. Dwóch niosło tabliczki z napisami w języku gaelickim. Pewnie, osądził Guy, miejscowi nacjonałści świętowali rocznicę jakiegoś zwycięstwa nad durnymi Angolami. Musiał się zatrzymać. Znowu dysponował czasem na rozważenie wszystkiego, bo w sercu ciągle gorzał ten dziwny ogień niepokoju.

Zapłata była niebotycznie okazała... Właśnie jej wielkość zmuszała do zastanowienia. Zagubioną w górach jaskinię obróciliby w skalne rumowisko za znacznie mniejszą kwotę, nawet za pięć tysięcy funtów i zwrot kosztów. Zleceniodawcy bardzo zależało, żeby w odludnym miejscu, odwiedzanym tylko przez stada dzikich królików, zniszczyć coś, o czym tylko on wiedział. Niezwykle starannie zabezpieczył też grotę przed odkryciem. To było najbardziej niezwykle.

Guy chciał jeszcze raz przemyśleć wszystko od początku. Zdziwienie budziła łatwość, z którą go odnaleziono. I pewność, że bezbłędnie wykona proponowaną robotę.

Starszy, sadząc po głosie, mężczyzna, który do niego zatelefonował, często używał prawie już zapomnianych archaizmów. Guy z trudem przypominał sobie ich znaczenie. Przedstawił się jako majordomus, emisariusz swego chlebodawcy. Był pewien, że były oficer SAS z łatwością wykona zadanie.

Majordomus wiedział o nim dużo, bardzo dużo. To nie było jeszcze zbyt dziwne – po prostu zlecono jakiejś renomowanej wywiadowni dokonanie rozpoznania i wytypowanie najlepszych wykonawców. Zaskakujące było co innego – z wielką pieczołowitością szukano odpowiedniego dynamitarda do roboty, którą znacznie taniej zrealizowałby emerytowany górnik strzałowy.

Podczas kolejnej rozmowy Guy zapytał, czemu zamierzają obrócić w perzynę miejsce, o którym nikt nie wie. Jakąs skalną dziurę, położoną daleko od ludzkich siedliszcz, dobrą kryjówkę dla łasic. Po długiej chwili milczenia padła wypowiedziana z wahaniem odpowiedź:

– Mój pan zmęczył się tym wszystkim... Tyle lat... Pozbywa się pewnego wadzącego mu ciężaru. On go wiąże, wisi u szyi niczym młyński kamień.

Wtedy majordomus natychmiast podał proponowane honorarium – płatne z góry.

Guy na kilka sekund stracił oddech. Taka suma i zebrane oszczędności pozwalały na kupienie niewielkiej posiadłości na jednej z wysepek Morza Śródziemnego, z piękną willą i luksusowym basenem. Tylko krok dzieliłby go od stworzenia organizacji wymierzającej za sutą opłatą sprawiedliwość.

Majordomus postępował podobnie jak Guy – za każdym razem zmieniał telefon na nowy, rozmawiał krótko, nie mówił niczego o sobie i swoim pryncypale. Dzwonił z różnych miejsc, aby uniemożliwić lokalizację. Firma detektywistyczna, prowadzona przez dawnego towarzysza Guya, szybko jednak namierzyła dziwnego rozmówcę. Ten człowiek zarządzał wielkim majątkiem bardzo starego rodu. Jego korzenie sięgały niewiarygodnie głęboko, co najmniej kilka stuleci przed najazdem Wilhelma Zdobywcy. Historia dynastii Elżbiety II

w porównaniu z genealogią tej rodziny przypominała wątłą opowieść o zyskiwaniu znaczenia przez nuworoszy.

Ród zwierzchnika majordomusa zawsze pozostawał w cieniu. Nigdy nie włączał się do krwawych walk o władzę, za to stale się bogacił. Zaledwie kilku jego członków dało głowy podczas wojen wewnętrznych, i to zupełnie przypadkowo.

Stali z boku i do niczego się nie mieszaali... Guy odnosił nieodparte wrażenie, że ktoś się nimi ciągle opiekował. Tylko kto? Może spadkobiercy osoby, która przekazała rodzinie chlebobawcy majordomusa cenny depozyt? Dar, spoczywający może i przez wieki w nikomu nieznannej jaskini w bezludnej części Highlandsu...

Guy zdawał sobie sprawę, że sformułował absurdalne wnioski. Przecież taka sytuacja nie mogła trwać setki lat, co najwyżej dwa-trzy pokolenia. Naturalną kolejną rzeczą depozyt w końcu straciłby znaczenie, jeśli w ogóle je miał. Nikt i nic nie mogło zapewnić nieprzerwanej ochrony najstarszemu rodowi Anglii, bo kiedyś stało się opiekunem dziwnej tajemnicy.

Ostatnia wymiana zdań z majordomusem trwała krótko.

– Wysłałem posłańca z proponowanym honorarium. – Głos brzmiał sucho. – On wie tylko, że ma dostarczyć przesyłkę. Spory pakunek, mimo że do środka włożyłem banknoty o dużych nominałach. Żadnych kont, żadnych przelewów pieniędzy... Powiedz jedno – bierzesz zlecenie?

Zanim odpowiedział „tak”, Guy minutę się zastanawiał. W końcu uznał, że przesadza z wątpliwościami. Zwariowany szkocki landlord chciał się czegoś pozbyć albo zaspokoić dziwną, dla niego tylko zrozumiałą zachciankę. Proste i jasne wytłumaczenie sprawy.

Guy zadał jeszcze jedno pytanie, nie mogąc poskromić ciekawości:

– Nie wmówi mi pan, że ta grotka ziejże pustką albo zamierzacie zniszczyć siedlisko szczurów. Co ukrywacie w środku?

Po chwili majordomus odpowiedział poważnym tonem:

– Pewien przedmiot. Bardzo stary. On na pewno panu nie zagrozi. On nikomu nie zagraża...

Znowu zapadła cisza.

– Guy, jeszcze jedno – kontynuował po chwili rozmówca. – W jakiejś protezowni zrób dokładny skan dłoni z opuszkami palców. Podam adres mailowy do wysłania pliku. W ten sposób wejdiesz do środka. To jedyna możliwość. Widzisz, my naprawdę dobrze strzeżemy tego przedmiotu... Tak dobrze, że nikt nie wie, że on naprawdę istnieje.

Tłący się w sercu niepokój, pomyślał Guy, wiąże się właśnie z tym żądaniem majordomusa. Po raz kolejny zadał sobie pytanie:

– Czemu wejście do pieczary zabezpieczono niczym drzwi głównego sejfu potężnego banku?

I ciągle nie znajdował na nie odpowiedzi.

\*\*\*

Starannie otrzepał zapiaszczone dłonie, a potem wytarł je chusteczką. Przed chwilą położył ostatnie głązy na brzegach płachty kamuflażowej. Sporo ważyły.

Zawsze wszystko pieczołowicie przygotowywał, jak najmniej zostawiając przypadkowi. Highlands był odludną częścią Szkocji. Skupiska ludzi stanowiły miściny, położone kilkanaście mil jedna od drugiej. Łączyły je liche drogi, często zwykłe smołówki. Samotne farmy dzieliły spore odległości. W tych miasteczkach wszyscy się dobrze znali. Wizyta kogoś obcego w miejscowym breakfast-pubie wywoływała wielkie zainteresowanie tuziemców, sączących swoje piwa.

Samotnie stojący na pustkowiu land rover wzbudziłby wielką ciekawość wieśniaka, który akurat postanowił zapolować na dzikie króliki. Na pewno stałby się też obiektem dociekliwości jakiegoś zwariowanego turysty, wędrującego z namiotem i podziwiającego piękno surowej przyrody. Trafiali się tutaj i tacy ludzie.

Należało się zabezpieczyć. Terenowe auto wyglądało teraz na niczym się nie wyróżniający, skalisty wzgórek.

Sprawdził sprzęt. Trzy nesesery pełne kostek plastyku, cztery detonatory elektryczne, zwój kabli, młot, łomy i napędzany akumulatorem duży świder. Spora bateria umożliwiała długotrwałą pracę wiertła. Guy zamierzał skruszyć sklepienie pieczary. Wydrąży w nim otwory, siatkę głębokich dziur, żeby eksplozje rozerwały jak najgrubszą warstwę granitu. Rumosz wypełni jaskinię, niszcząc wszystko.

Spojrzał na plan. Przypominał bazgroły, skreślone ręką małego dziecka, był jednak wyjątkowo dokładny. Strzałki pokazywały kierunki jazdy. Za Inverness podłą drogą na wschód. Skręcić przy kamiennym krzyżu w polny gościniec, kiedyś łączący kilka nieistniejących już zagród. Potem zagłębić się w West Lands ledwie widocznymi drózkami, dawniej używanymi do przegonu bydła. Jechać dalej bezdrożami, kierując się busolą i podanymi punktami orientacyjnymi. Na koniec odnaleźć dolinkę między dwoma bezimiennymi wzniesieniami, zaznaczoną czerwonym krzyżykiem.

Stał tam, gdzie powinien – u podnóża wysokiego wzgórza o stromych stokach. Ciszę zagłuszał tylko szurgot kamyków, osypujących się ze zniszczonego erozją zbocza. Guy

dostrzegał wykuty w skalnej opoce niewielki krzyż, porośły mchem, a jednak dobrze widoczny.

*Idealne miejsce na kryjówkę, pomyślał, przytykając płomień zapalniczki do planu. Nadszedł zwykłym listem, z adresem wydrukowanym komputerowo. Pustkowie, omijane przez ludzi, gdzie nawet latem chłód przenika dreszczem ciała, nie nadające się do wypasu bydła. Przez stulecia nikt tu nie zaglądał i nie zajrzy.*

Starannie wgniótł w ziemię spopieliałe resztki kartki.

*Cóż tam jest? Nagle poczuł przyływ podniecenia. Na Boga, co oni chcą zniszczyć za taką kupę szmalu? Co, spoczywające w tej niewidocznej dla ludzi pieczarze, tak ich zmęczyło?*

Guy nie dostrzegał nawet śladu wejścia. Patrzył na pofałdowaną, wydawałoby się jednolitą ścianę granitu z kilkunastoma wątlymi kępkami trawy, rosnącymi w zagłębieniach. Ktoś jednak oczyścił relief w kształcie dłoni, umiejscowiony poniżej krzyżyka; wyraźnie widoczne pięciopalczaste wgłębienie na wysokości jego barków.

Już się nie zastanawiał. Ułożył w właściwych miejscach palce – silne, wyrobione latami ćwiczeń kłyckie, zdolne zmiażdżyć komuś gardło – i mocno nacisnął.

Część skały obróciła się z lekkim szurgotem, jakby w środku wielkiego kamienia umieszczono pionową oś.

Wejście do pieczary stało otworem.

\*\*\*

Zaskoczyło go, że nie musiał przystosowywać patrzenia do mroku. Nie potrzebował włączać silnej latarki.

W głębi pieczary czerwoną barwą gorzało światło. Plama intensywnego blasku, rozświetlająca ciemność, wyraźnie pokazująca kontury wąskiego korytarzyka i wnętrze rozległej jaskini, otulonej na zewnątrz grubym płaszczem skały. Krwista jasność wydobywała się z czegoś, co wyglądało na dziwny pojemnik.

Ten blask niekiedy przesłaniały niewyraźne cienie, przypominające ludzkie sylwetki.

\*\*\*

Przeniesienie sprzętu i materiału wybuchowego poszło prawie w okamgnieniu.

Ktoś inny może cofnąłby się, jednak nie Guy. W czasach służby dla brytyjskiej korony kilka razy czołgał się podziemnymi tunelikami, żeby dotrzeć do środka pilnie strzeżonej

sadyby pustynnego szejka. W półmroku ciasnych przejść widywał wiele cieni i żarzących się czerwono ślepi. Po prostu ocierał się o szczury, wielkie niczym koty, sprawiające wrażenie podziemnych duchów.

Teraz za ledwie kątem oka zerkał w głąb grotu. Za parę minut wszystkiego się dowie. Ustali, czym jest źródło światła. Ciągłe emanowało silną, ciemnoczerwoną barwą, bez zmiany natężenia.

Kopnięciem odsunął niewielki głaz blokujący wejście. Ułożył go tuż przed uczynieniem pierwszego kroku. Kamienne drzwi zatrzasnęły się z tym samym charakterystycznym szurgotem.

Niedawno spalona kartka nie kłamała. Z tej strony wrót też znajdował się relief w kształcie dłoni. Przyłożenie ręki spowodowało, że wejście ponownie się obróciło.

Guy uśmiechnął się skąpo. Liczył się z tym, że ktoś wymyślił chytry plan, mający wciągnąć go w pułapkę, w której skonałby z głodu i pragnienia, wyjąc z rozpacz. Komuś mógł zależeć mocno za skórę. To było bardzo mało prawdopodobne, zbyt perfekcyjne i stanowczo za drogie, jednak nie wykluczał takiej możliwości.

Drażył teraz otwory w granitowej masie dziwnych wrót. Do skruszenia płyty wystarczała detonacja kilku lasek semtexu. Za drugim razem wrota mogły się nie otworzyć, odcinając go od świata żywych. Tak jak zwykle, starannie zabezpieczał drogę ewakuacji.

Formując dłońmi kolejne kostki, Guy mógł wreszcie przyjrzeć się temu, co wkrótce obróci w proch. Przetrwał pierwsze spostrzeżenia.

Oddychał swobodnie. Oceniał, że w górotworze istniały szczeliny, stworzone przez naturę albo wysiłkiem człowieka, wentylujące skalną kryjówkę.

Przed nim rozpościerał się wąski, wysoki na jakieś siedem stóp przesmyk, pogrążony w półmroku. Przejście wiodło w dół, tam, gdzie mrok najintensywniej rozświetlała plama czerwonego światła. To miejsce imponowało ogromem. Korytarz rozszerzał się w skrytą w głębi kamiennego wzniesienia wielką pieczarę.

I było tam coś jeszcze...

Przyzwyczajony do czerwonej szarówki wzrok Guya widział wszystko o wiele wyraźniej. Pośrodku stał potężny stół. Właśnie na jego blacie gorzało źródło krwistego blasku. Mebel otaczały proste zydle, przypominające relikty czasów średniowiecznych. Z boku spostrzegł rant mniejszego stołu i kilka drewnianych ław. I tuzin nadal niewyraźnych sylwetek, o twarzach zwróconych w jego stronę.

Stali w milczeniu. Tylko jeden z nich siedział przy mniejszym meblu, obracając w palcach coś, co wyglądało na kubek.

Guy dwukrotnie przetarł oczy. Obraz nie znikał. To nie był omam, może spowodowany zgromadzonymi tutaj gazami. Ten widok nie ustępował.

To była rzeczywistość, na razie niezrozumiała. Niepojęta.

Najwyższa z sylwetek niespodziewanie pomachała dłonią.

– Przyjdź do nas. – Chropawy głos miał rozbawione brzmienie. – Rób swoje... Nic z tego nie wyjdzie, spróbuj jednak wykonać zadanie. Zaczynaj!

Niewyraźnie widziany mężczyzna wolno pokiwał głową.

– Najpierw jednak – dodał po chwili – musisz nas pokonać.

Głównia podniesionego z ławy miecza odbiła blask czary i zamigotała smugą purpury.

\*\*\*

*Tego naprawdę nie mogłem przewidzieć, z przepelniającą duszę wściekłością pomyślał Guy. Zbyt szalone, żebym na to wpadł.*

Już rozumiał, z kim się spotkał. Nie istniało inne wytłumaczenie.

Zjawy czekały na niego. Wiedziały, że przybył, by zniszczyć pieczarę. Zleceniodawcy – tych kilkanaście postaci, stojących przed nim – dokładnie go rozpracowali, a teraz zaproponowali walkę na śmierć albo życie. Właśnie o to szło tym wynaturzonym bogaczom. O sycącą ich chore umysły morderczą grę.

Jedna z postaci podniosła rękę. W dłoni trzymała kubek. Po blacie stołu zagrzechotały rzucone kości do gry.

– Witaj, chłopcze. – Człowiek z mieczem postąpił dwa kroki naprzód. – Poznajmy się. Jestem Lancelot. Dawno temu nazywano mnie Lancelotem z Jeziora. Lancelot du Lac... Rozejrzyj się. Mamy mnóstwo czasu na załatwienie sprawy.

Guy w milczeniu kiwnął głową. Baczył na jedno: zachowanie bezpiecznego dystansu do człowieka o dziwnym imieniu.

Nie wszystko jeszcze rozumiał. Stół z pojemnikiem, bez drobinki kurzu, błyszczał nieskalaną czystością. Pośrodku gładkiej powierzchni stała czara – metalowe naczynie, wykonane, jak ocenił, po prostu z mosiądzu. Może z miedzi. Właśnie ono rozświetlało grootę czerwonym blaskiem. Emanowało światłem, jakby zawierało w sobie ładunek rozpraszający ciemność.

Czara dziwnie przyciągała wzrok.

Guy spojrzał uważniej. Coś, co było okazałym kielichem, wypełniał płyn. Gęsta ciecz krwistoczerwonej barwy. Wyglądała jak krew. Mężczyzna przebywał w pieczarze już sporo



czasu, powinna więc zaschnąć, skrzepnąć, przeistoczyć się w grudę materii. A jednak płyn lśnił wspaniałym kolorem, jakby jego istnienia nic nie ograniczało. Jakby, raz wlany do czary, istniał poza i ponad ludzkim czasem i prawami materii.

Guy westchnął. Nie rozumiał tego fenomenu. Uznał, że wyjaśni sobie to później.

Przeniósł spojrzenie na towarzyszy Lancelota. Torsy okrywały kolczugi, wzmocnione grubymi płatami metalu. Ramiona i ręce ochraniały tulejowate osłony.

Rzucone kości znowu zagrzechotały. Mężczyzna siedzący przy bocznym stoliku zebrał je i włożył do skórzanego kubka.

– Same szóstki, i to trzeci raz pod rząd! – rzucił, niespodziewanie błogo się uśmiechając. – Chyba znak... On czasami tak postępuje.

Jednym ruchem zerwał się na równe nogi, sprawnie i gibko, jak ktoś o niebywalej sile.

– Zacznijmy! – W głosie brzmiała dziwna radość. – Sprawdźmy, czy nareszcie doczekałem odkupienia! Przekonajmy się!

Ujął w dłoń przedmiot, leżący na ławie: topór na długim, esowato wygiętym stylisku. Zatoczył bronią łuk nad głową.

– Przybyłeś, aby zniszczyć schronienie świętej czary. I ją. – Lancelot cofnął się o krok. – Najpierw nas pokonaj, chociaż ostrzegam, że to niemożliwe.

Właśnie tego Guy się spodziewał. Niespodziewanie poczuł ulgę. Wszystko się potwierdzało. Wcześniej znalazł już wytłumaczenie tej dziwnej sytuacji, wyjaśnienie banalnie proste i oczywiste.

Ci ludzie uprawiali wynaturzony, ekstremalny sport. Przygotowali krwawą zabawę, bezlitosną grę w zabijanie, dającą podniecie ich chorym umysłom. A on został zwierzyną, przeznaczoną na rzeź. Grupka rozkapryszonych bogaczy, łaknąca ekscytujących doznań, wymyśliła zabawę. Pewnie umieścili gdzieś kamery, żeby potem rozkoszować się widokiem jego śmierci. W czarze ukryli źródło światła, a płyn stanowił mieszaninę starannie dobranych chemikaliów, ludzko podobną do krwi.

Nie ponieśli też dużych kosztów, jeżeli wspólnie złożyli się na sfinansowanie wciągnięcia go w pułapkę. Wydatek parunastu tysięcy funtów na głowę zaakceptowali bez mrugnięcia okiem, czekając na przyjemność powolnego zabijania go po kawałku.

Jednego Guy był ciekaw, chociaż sądził, że nigdy nie pozna odpowiedzi – ilu ludzi już wyprawili na tamten świat.

I jednego był też pewny – zawiodą się. Pewnie po raz pierwszy i na pewno ostatni. Zawiodą się i sami skosztują smaku umierania.

Pomylili się, bo on zawsze przewidywał najgorsze scenariusze. I starannie się zabezpieczał.

\*\*\*

W kaburze pod pachą miał trzynastostrzałową berettę, a zapasowy magazynek obciążał kieszeń. W olstrze przy pasku spodni tkwił rewolwer z długą lufą. Nóż z ostrzem ze świetnej stali spoczywał w wewnętrznym wcięciu kurtki.

Guy wiedział, że nadal świetnie strzela z bronią w obu rękach. Z tej odległości nieomylnie trafi tam, gdzie trzeba. Zanim te gnoje zorientują się, że nadeszły ostatnie chwile ich marnego istnienia, wybije wszystkich do ostatniego. W razie potrzeby poderżnie rannym gardła.

A potem z dziką rozkoszą wykona zlecenie, grzebiąc ciała w skalnym rumowisku. Części pistoletów wylądują w bagnach i rzekach. Nikt nie odkryje skalnego grobu, bo zleceniodawcy sami się o to postarali. A jeżeli ktoś go znajdzie, policja nie połączy z dziwnym mordem człowieka, który nie znał żadnej z ofiar, zmienił tożsamość i stał się poważanym mieszkańcem jednej z urokliwych wysepek Morza Śródziemnego.

Niespodziewanie mężczyzna z toporem z dzikim wrzaskiem rzucił się do ataku.

Kciuk przesunął bezpiecznik. Pierwszy strzał trafił napastnika w głowę, drugi w serce. Kolejne dwa uderzyły w Lancelota.

Guy naciskał spust do chwili, gdy jego serce przebił rzucony z wielką siłą puginał. Niespodziewanie ogarnęła go ciemność; posępny, bezbrzeżny mrok, w który się zanurzył. W ostatnich chwilach świadomości czuł, że spada w przepaść, w czeluść otchłani, niematerialnej i beczasowej. Wiedział, że ogarnia go otchłań śmierci.

A jednak gdzieś, na końcu tej przepaści, znowu błysnęła plama czerwonego światła.

Blask narastał.

\*\*\*

Świadomość powracała powoli. Nic go nie bolało, tylko dziwnie stężałe mięśnie i ścięgna z trudem się rozluźniały.

Guy wolno podniósł się ze skalnego podłoża. Nie poszło łatwo, jakby od nowa uczył się poruszania, przypominał sobie opanowane w dzieciństwie ruchy. Czuł dziwne zmęczenie.

I coś jeszcze. Nie wiadomo dlaczego, jednak miał pewność, że stał się kimś innym. I że tę odmienność dopiero pozna i nauczy się z nią żyć.

Coś zachrząściło pod butami. Spojrzał w dół. Nadepnął na łuski od naboju. Jedna z nich, wzięta w palce, jeszcze trochę parzyła.

Przyjrzał się uważnie temu, co go otaczało. Nic się nie zmieniło, tylko leżące obok stołu ciało przemieniło wygląd jaskini. Człowiek, niedawno cieszący się z szczęśliwych rzutów kośćmi, a potem nacierający z furją, był teraz trupem.

Ktoś wstał od stołu do gry. Guy przypomniał sobie jego imię – Lancelot.

– Stałeś się nowym strażnikiem świętej czary Graala. – Niedawny przeciwnik położył rękę na ramieniu Guya. – Perceval zaznał odkupienia. Odszedł. Już jest szczęśliwy. Zastąpił go.

Guy milczał. Oglądał swoje dłonie. Nie zmieniły się. Silne niczym szczęki imadła długie palce, kłykcie oficera regimentu spadochronowego z Sussex, a potem dowódcy grupy szturmowej SAS. A jednak, tak jak całe ciało, były inne...

Były inne. Coś się z nim stało. Coś niepojętego i niezrozumiałego. Jeszcze nie wiedział, co.

Jednocześnie czuł dziwną lekkość i niezrozumiałą o ciężałość. Chyba w tej niedawnej otchłani beczucia, mroku, letargu, klinicznej śmierci zmienił cielesność. W umyśle narodziła się nadzieja, że pewnie na krótko.

Bo przecież żył... Żył!

– Szybko się przyzwyczaisz. – Lancelot zdawał się rozumieć jego odczucia. – Kiedyś ktoś cię zmieni, tak jak zastąpi i mnie. Kiedyś... Nie wiemy kiedy, jednak tak się stanie.

Tęsknie się uśmiechnął.

Guy patrzył na niego bez słowa. Zamierały na wargach. Wszystko, co przeżył i doznał, nie mogło być przecież snem. Pusta gilza sparzyła mu palce. Musiał wierzyć, że to, co go otaczało, było jednak omamem. Ułudą dziwnej rzeczywistości. Pewnie zgromadzony w grocie gaz powodował halucynacje.

Narodziła się nowa myśl.

Wróci do wyjścia, otworzy wrota, zaczerpnie świeżego powietrza. Założy maskę – zarzucał sobie, że nie zrobił tego wcześniej – i wykona zadanie. Mylił się, sądząc, że napotkał grupę admiratorów krwawego sportu. Ci ludzie nie istnieli. Jego umysł tworzył wizje. Dziwne majaki. I to jego umysł rozmawiał sam ze sobą, ze stworzonym przez siebie wytworem wyobraźni.

Rzucił okiem na leżące przed nim ciało.

Blaknęło. Powoli rozwiewało się. Surowe rysy twarzy zamazywały się. Nie zacierał się tylko szczęśliwy uśmiech, szeroko rozchylający wargi.

– On nie umarł. Skonał już dawno temu, tak jak i my. – Głos Lancelota znowu przerwał ciszę. – On tylko odszedł. Nie wiemy dokąd – kontynuował z słyszalnym namysłem. – Może do tego, którego krew chronimy. Może otrzymał inne zadanie, tam, skąd przybyłeś, i znajduje się wśród żywych. Tak jak i ktoś, kogo nazywamy majordomusem... Ty zginąłeś niedawno i pewnie długo będziemy razem, chociaż tylko przez okruszek wieczności...

Kości znowu zagrzechotały w kubku. Pozostali mieszkańcy pieczary rozsiedli się przy małym stole. Przed każdym leżał stosik kamiaków.

– On strzeże czary na zewnątrz – Du Lac mówił tak, jakby oznajmiał ważną nowinę. – On i jeszcze kilku. Chociaż jeden z nich zawiódł, zwątpił, nie zmieniono wyboru. Wyboru ciebie... Ten ułomny duchem strażnik pewnie już pokutuje, tylko gdzie indziej.

Guy nie zamierzał dalej pozostawać w świecie zwid, nieistniejących postaci, toczyć w umyśle wewnętrznego dyskursu. Pragnął się z niego wyrwać. Musiał uczynić jedno – wydostać się na zewnątrz i odzyskać świadomość. Wrócić do realnego istnienia i zacząć śmiać się z siebie.

Wtedy nareszcie wykona zlecenie. Dobrze pamiętał, że przecież zawsze je realizował.

\*\*\*

Z niedowierzaniem oglądał swoje palce. Nie pamiętał już, który raz. Bez trudności zgniatał nimi orzechy włoskie – pękały niczym choinkowe bombki. A teraz nie potrafiły uchwycić świdra. Podnieść laski plastyku albo ująć przewodu. Sprawdzić, czy przesuwają się dźwignia detonatora.

Dłonie stały się bezcielesne. Słuchały go, jednak nie radziły sobie z materią. Sprawiały wrażenie organów ducha. W zespoleniu ze skalnym reliefem wrót też okazały się bezsilne. Wejście trwało nieruchomo jak potężne wieko podziemnego grobowca.

Blask czary nadal rozjaśniał przesmyk. Guy zrobił to, co jeszcze mógł zrobić – wrócił do wnętrza pieczary.

– Gdzie się znalazłem? – zadał Lancelotowi pytanie, które drażyło umysł. – Kim jesteście?

Lancelot nie uczestniczył w grze. Siedział na zydlu, oparty plecami o ścianę, jakby czekał na Guya. Wstał.

– W czyścicu – odpowiedział z nikłym uśmiechem. – On go tu urządził. Dla nas, a teraz dla ciebie. On...

Wskazał na czarę.

– Dawno temu wyznaczył nam zadanie: chronienie tej świętości. Odbywamy tutaj pokutę. Ty ją dopiero rozpocząłeś.

Lancelot miał długie, białe włosy, sięgające do ramion i szczupłą twarz, pokrytą bruzdami zmęczenia. Duże, niebieskie oczy wpatrywały się teraz uważnie w rozmówcę. Ciało osłaniała ciężka kolczuga.

Dopiero teraz Guy zauważył, że na pancerzu i kształtnej głowie du Laca nie osiadła nawet smużka kurzu. Nie dostrzegł też ran, a przecież trafił białowłosego. Błat stołu z czarą ciągle lśnił nieskalaną czystością. Lancelot i pozostali wyglądali, jakby ziemski brud nie miał do nich dostępu.

Guy już nie wiedział, co myśleć.

– Kawalek czyścica tutaj, na tym zimnym pustkowiu, pośród krów, zajęcy i dzikiego ptactwa? – Potrząsnął głową. – To majak. Złuda. Kiedyś się od niej uwolnię. Powiedz prawdę!

– Skąd wiesz, że kłamię? Skąd wiesz, że nie zacząłeś pozaziemskiej kary, chociaż nigdy o tym nie myślałeś?– Oczy dawnego rycerza Okrągłego Stołu nagle błysnęły. Mówił z dziwną mocą, z żarem, przebijającym z każdej wypowiedanej sylaby. – Skąd wiesz, że ten, którego krew chronimy niekiedy nie przenosi otchłani cierpienia do rzeczywistości? Skąd wiesz – ciągnął silnym głosem, nagle odbijającym się echem od skalnych ścian – że to, czego doświadczamy: wojny, wybijanie tysięcy ludzi, głód, zarazy, nie są częściami czyścica, stworzonego wokół nas? Po to, aby poskromić naszą pychę i mordercze instynkty... Skąd to wiesz? Sam się przekonasz, gdzie doszedłeś.

Gracze w kości słuchali uważnie. Kiwali głowami. Pary zydli nikt nie zajmował. Zdawały się czekać na dwie postacie stojące obok czary.

Guy nie potrafił znaleźć odpowiedzi. Nie umiał też opanować natłoku dziwnych myśli. Może rzeczywiście przeszedł przez granicę cienia, granicę życia i śmierci, i znalazł się po drugiej stronie?

Zadał kolejne pytanie, bo ciągle prawie niczego nie pojmował:

– Do czego ona posłuży? Znasz cel jej istnienia?

Lancelot przez dłuższą chwilę milczał. Niespodziewanie uśmiechnął się.

– Tego też nie wiemy, kiedyś jednak poznamy przeznaczenie czary – stwierdził tym samym, silnie brzmiącym tonem. Tonem bezgranicznej ufności i nie mającej wątpliwości

wiary. – Ona trwa przez tyle wieków! Teraz cierpimy za ziemskie grzechy, a jednak zostaliśmy wybrańcami. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak sroga jest kara.

Na chwilę zamilkł, może zbierając myśli. Może pragnąc przekazać wszystko dokładnie.

– Zostało nam tylko opowiadanie o dawnych czynach – kontynuował, teraz już cicho.  
– O naszych potyczkach, bitwach, zabójstwach. Ten, kto wygra w kości i zbierze kamyki, zaczyna. Potem je znowu dzielimy, gramy ponownie, znowu opowiadamy swoje życie, w nieskończoność, bez chwili przerwy...

Potrząsnął głową.

– Znamy swoje historie na pamięć, jednak snujemy je aż do wyrzygania bebeczków – kontynuował wolno. – Nic innego nam nie pozostało. Tutaj nie ma dnia ani nocy – otacza nas bezczasowa wieczność. Nie masz pojęcia, jak szybko te wspomnienia zaczynają doskwierać. Zaczynają ranić, w końcu palić. Rozmawiamy o przeszłości i nagle rozumiemy, jakże nędzne życie wiedliśmy. Niegodziwie mordercze. Zabijaliśmy w imię honoru, zasad, dla próżnej chwały... Byliśmy, tak jak i ty, nędznymi okrutnikami.

Lancelot przesypywał w dłoniach garść skalnych okruchów, połyskujących czerwono w blasku czary.

Kości znowu zagrzechotały. Guy wiedział już, co oznacza ten dźwięk.

– Aż w końcu zaznamy odkupienia. Perceval tego już dostąpił... – Lancelot uśmiechnął się. – Dowiemy się, do czego posłuży kielich z krwią, otrzymamy inne zadanie.

Guy słuchał w napięciu. Nie potrafił odwrócić wzroku od czary. Ten blask jakby go przyzywał. Prosił, aby oparł dłonie o puchar i zajrzał w głąb. Ze zdziwieniem stwierdził, że nie śmie tego uczynić. Nie bał się, po prostu czuł, że dotyk jego palców skała puchar. Że jeszcze nie przyszedł ten czas.

Spuścił wzrok. U jego stóp niedawno spoczywało ciało Percewala. Prawie już nie istniało – pozostało tylko pasmo blasku i twarz. Twarz z coraz bardziej szczęśliwym uśmiechem.

Guy nie wierzył własnym oczom i uszom, jednak to mogła być prawda. Prawda o czymś, o czym nigdy nie myślał.

Lancelot wyciągnął rękę.

– Weź, chłopcze. – Wsypał skalne okruszki w nadstawione dłonie Guya.. – Niebawem opowiesz nam swoje życie. Wypowiadasz się wiele razy... tak wiele, że nie będziesz pamiętał chwili rozpoczęcia nowego istnienia. A kiedyś, tak jak ten, którego wyprawileś w drogę, otrzymasz nowe zadanie...

Kości znowu potoczyły się po stole.

Lancelot przyglądał włosy. Ten sam tęskny uśmiech rozświetlił surowe rysy twarzy.

Guy z całej siły zacisnął pięść. Nie czuł bólu. Ostre krawędzie nie wbijały się w skórę. Nie pojawiły się kropelki krwi.

Ta rzeczywistość nie zamierzała ustąpić... Trwała, jak obraz świata widziany umysłem schizofrenika. Może w tym zawierała się odpowiedź – w nagłym ataku choroby, która nagle wywróciła na nice jego zmysły.

Pod czaszką mignęła mu rozpacзлиwa myśl, że Lancelot jest jego drugim uosobieniem, psychicznym alter ego, ucieleśnionym jako zwid wyrzutem sumienia, od dawna podświadomie gryzącym duszę. To drugie ja zwyciężało, zawłaszczało umysł, tryumfowało.

I następna refleksja, doszczętnie niweczająca poprzednią. Przecież, gdyby jego umysłem nagle zawładnęła choroba, nie powinien o niej wiedzieć. Nie powinien zdawać sobie z tego sprawy.

Nagle Guya ogarnęło dziwne ukojenie.

Kiedyś wszystkiego na pewno się dowie... Kiedyś otrzyma nowe, niezwykle ważne zadanie. Lancelot, nowy towarzysz, nie miał nawet cienia wątpliwości.

W przepelnionym niepewnością umyśle Guya zrodził się promyk nadziei. Wątle światło, dające spokój. Kiedyś przekona się, czy Lancelot ma rację.

Sam nie wiedział dlaczego, jednak odetchnął z ulgą i ucieszył się z tego, że ten promyk otuchy, nowej nadziei, gorzej krwistym blaskiem.

*24 stycznia 2016 r.*

rys. Roman Panasiuk



# PIERWORODNY

Anna Musiałowicz

Głęboko wciągnęła powietrze. Wdech, wydech, wdech, wydech. Brzuch był twardy niczym kamień, ciężki, zmuszając kręgosłup do ugięcia się. Tępy ból eksplodował poniżej pępka, wolno rozchodząc się w kierunku pleców, a potem już nieważne gdzie. Krople potu zrosiły czoło. Wdech, wydech, wdech, wydech. Kolorowe plamy pojawiły się przed oczami, powietrze stawało się coraz bardziej gorące. Wdech, wydech. Powoli ugięła się, pozwalając brzuchowi pociągnąć całe ciało do dołu. Podparła się dłonią, wyczuwając szorstki beton niewykończonego krawężnika, przysiadła na brzegu chodnika. Wdech, wydech, wdech, wydech. Powietrze powoli przestawało parzyć ją w twarz, świat odzyskiwał normalne barwy. Wdech, wydech. Rozluźniała się. Mięśnie brzucha rozkurczyły się. Wdech, wydech. Z pobliskiego sklepu wybiegła ekspedientka, trzymając w dłoniach szklankę wody. Wdech, wydech. Agnieszka piła wodę powoli, sącząc, zatrzymując płyn w ustach na dłużej. Wdech,



wydech. Ekspedientka pytała, czy wezwać pogotowie, czy może jakoś inaczej pomóc. Wdech, wydech. Nie, nie trzeba. To nie pierwszy raz się tak dzieje. Już wszystko dobrze. Musi tylko chwilę posiedzieć, odpocząć. Przyzwyczaiała się. Prawie od początku tak ma, a to dziewiąty miesiąc się zbliża. Już końcówka.

Tak, mówiono jej, że ciąża to stan błogosławiony. Jeśli odnosić się do religii, uznałaby ten stan raczej za dopust boży.

Było jej źle. Tak zwyczajnie, po prostu. Czowała się jak chodzący inkubator, jakby rosnące w jej brzuchu dziecko zawłaszczyło sobie całe zainteresowanie i uwagę wszechświata. Co tam wszechświat. Wystarczyło zobaczyć, jak traktują ją bliskie osoby. Była nikim. Była nędzną biologiczną otoczką dla nowego, lepszego życia, które wkrótce miało się narodzić. Te wszystkie ręce, które sięgały ku niej, dotykały jej brzucha, macały, niszcząc resztki intymności, tak bardzo jej potrzebnej. Te rozmowy o tym, co powinna, jak powinna; dobre rady warte funta kłaków. Matka i teściowa, które dostały chyba zwiotczenia mózgu na myśl o tym, że zostaną babciami. Prześcigały się w wyręczaniu, zagłaskiwały na śmierć, rywalizowały, której słowa Agnieszka uzna za bardziej przydatne. Tylko że nigdy nie słuchały, co Agnieszka mówi. Były jak wrony, które zaraz miały ją rozdziobać. Były jak wściekłe psy, które rozszarpałyby ją w ułamku sekundy. Byle tylko wydrzeć i zawłaszczyć dziecko w niej tkwiące. Ich obecność ją miażdżyła.

A Andrzej? Szkoda gadać. Gdy usłyszał, że Agnieszka spodziewa się dziecka, szalał z radości. Potem zaczęły mu przeszkadzać ograniczenia związane z ciążą, te wszystkie mdłości, nagłe utraty przytomności, problemy z chodzeniem, szaleństwo hormonów, zachcianki. Tak, zachcianki, gdyby on wiedział, co to znaczy. Jeśli już ją naszła szalona potrzeba, że zaraz, teraz, już, natychmiast musi coś zjeść, mogła się tylko spodziewać, że Andrzej spojrzy na nią pobłażliwym wzrokiem i stwierdzi „jutro ci kupię”. Jutro będzie futro.

Przesiedziała na krawężniku jakieś pięć minut, aż brzuch zmięknął. Ekspedientka zaproponowała, że odwiezie ją do domu, ale Agnieszka nie oczekiwała pomocy. Powolnym krokiem ruszyła przed siebie, a raczej potoczyła się jak beczka. Była zmęczona. Marzyła tylko o wygodnym łóżku i kilku nieprzerwanych godzinach snu. Właśnie, marzyła. Odkąd stała się brzuchem z dodatkiem kobiety z tyłu, nie spała spokojnie. Każda pozycja była niewygodna, a przewrócenie się z boku na bok przypominało walkę wieloryba wyrzuconego na brzeg o powrót do morza. W dodatku fizjologia domagała się kilku wizyt w toalecie w ciągu nocy i o ile opowieści koleżanek były prawdziwe, mogła zapomnieć o spokojnie przespanej nocy przez następne osiemnaście lat. Najpierw z winy domagającego się pokarmu niemowlęcia, potem przez potwory mieszkające pod łóżkiem kilkulatka, by zakończyć

wielogodzinnym oczekiwaniem na dziecko powracające z zakrapianej imprezy. Przyszły los matki nie jawił się Agnieszce w jasnych barwach.

Wchodząc do domu, z trudem zdjęła z palca obrączkę. Andrzej był zły, gdy to robiła. Nie mógł zrozumieć, że dłonie jej tak puchną, że każda ozdoba na palcu praktycznie przecina jej skórę. Ważniejsze było, by świat wiedział, że jest jego żoną. Za to cały czas czepiał się wisiora, który kupiła kiedyś na Krupówkach. Nie знаła wtedy Andrzeja, w Zakopanem była z ówczesnym chłopakiem. Wisiorek traktowała jak talizman. To tylko zwykły rzemyk z przyczepionym kawałkiem drewnianka w kształcie śpiącej twarzy, trochę nieudanej zresztą. Jednak uparła się go zakładać zawsze i wszędzie, niejako robiąc na złość Andrzejowi. Według niego wisior tylko szpecił jej szyję. Teraz znalazł kolejny argument, by go zdjęła. W krótkim okresie interesowania się jej ciążą wyczytał, że nie powinna nosić niczego na szyi, bo dziecko okręci się pępowiną. Ależ jasne, Andrzejku. Z łaski swojej odpieprz się od wisiora. Szkoda, że nie doczytałeś, że nie należy niczego odmawiać ciężarnej, bo się myszy w domu zalęgą. Ale myszy na drugim piętrze w bloku wydawały się mało realne. A ty, mężu drogi, nie lubisz się wysilać.

Po wygranej walce z obrączką, padła na łóżko jak nieżywa.

Agnieszka powoli weszła na piętro. Mleczne światło rozjaśniało szarość klatki schodowej. Podeszła do drzwi, przekręciła klucz w zamku. Nacisnęła klamkę, w progu rzuciła buty. Kątem oka zerknęła do pokoju. Na żyrandolu coś się kołysało. Mój Boże, to człowiek! To wisielec! Agnieszka pędem ruszyła do kuchni, z szuflady wyszarpnęła pierwszy z brzegu nóż i podbiegła odciąć kołyszące się ciało. Przecięła przywiązaną do żyrandola pępowinę. Trysnęła krew. Chwyliła dziecko w objęcia, wycierając krew i maź we własną bluzkę. Ciało dziecka było całe sine. Było obrzydliwe. Trzymała w rękach małego trupka. Nie wiedziała, co zrobić. Trupek lepił się do niej, ślizgał w dłoniach, bezwładne kończyny zwisały niepokojąco. Chciała go ze wstrętem odrzucić od siebie, lecz instynkt nie pozwalał pozbyć się dziecka. Nagle trupek otworzył oczy. „Mamusiu, nie krzywdź mnie”.

Agnieszkę obudził jej własny krzyk.

\*\*\*

Poród zbliżał się coraz większymi krokami. Dziecko w brzuchu ruszało się jakby mniej, jakby spokojniej. Szykowało się do horroru, który już niedługo miało zafundować sobie i swojej matce. Wszystkie jej znajome będące już matkami z namaszczeniem opowiadały o przebytych porodach, o bólu, który przestawał mieć znaczenie, gdy trzymało

się swoje potomstwo w ramionach. Cóż, człowiek ma zwyczaj wypierania traumatycznych wydarzeń z pamięci. „Z nami będzie podobnie” – pomyślała, gładząc się po brzuchu i poszła do kuchni smażyć kotlety na obiad. Moczyła mięso w jajku, gdy usłyszała dzwonek od drzwi. „Kogo diabli niosą?” – pomyślała. Wytrzeła ręce w brudny już ręcznik i poszła otworzyć. Zerknęła przez wizjer. Teściowa. Westchnęła głęboko, zbierając siły na przetrwanie tej wizyty.

– Cześć, Aguniu! Jak tam się mój wnuczek czuje? – Ledwie matka Andrzeja weszła, już naparła łapskami na brzuch synowej. – A ty nie wiesz, że nie możesz patrzeć przez judaszka? Przecież jeszcze zezowaty się urodzi! Musisz dbać o mojego wnuka, musisz...

„Jasssssne. Zaczyna się. Raczej boisz się, że jak pewnego dnia zobaczę cię przez tego judaszka, to nie wpuszczę cię do mieszkania” – nie odważyła się powiedzieć tego na głos.

– A co tu tak pachnie? Kotlety smażysz? Córuchna, mogłaś powiedzieć, to bym ci przywiozła. Zrobię takie, jakie Andrzejek lubi najbardziej. Ty nie możesz się przemęczać. Zresztą musisz uważać, żeby tłuszcz ci nigdzie nie skapnął, bo mój wnuczuś będzie miał zamię! Nie możesz ryzykować zdrowiem mojego wnuka! A co ty? Nogi znów depilowałaś? Mówiłam ci, nie gól nóg, bo Andrzejek junior się łysy urodzi...

– Oj mamoo, jak przestanę golić, to ludzie na ulicy będą się za mną oglądać i wołać „yeti idzie!”.

– Agnieszko, ty nie bądź bezczelna, ty się tylko nie denerwuj. Andrzej ma z tobą skaranie boskie. Musisz pamiętać, że ciąża to nie choroba... – rozkręcała się.

Zachować spokój i nie pogryźć tej baby. Powinna to sobie zapisać na kartce, powiesić w widocznym miejscu i zerkać podczas każdej wizyty teściowej. Póki co patrzyła z tęsknotą w okno i zastanawiała się, czy da radę wyrzucić przez nie mamunię. Bo teściowa wypychana przez drzwi, skłonna byłaby zaprzeć się nogami o próg. Nadaremny wtedy to wysiłek. Na razie to Agnieszka została wypchnięta z kuchni, teściowa robiła najlepsze kotlety dla swojego Andrzejka, tocząc swój monolog. Korzystając z okazji, że nikt nie zwraca na nią uwagi, Agnieszka poszła się zdrzemnąć do sypialni.

Zbudził ją dzwonek do drzwi. Odgarnęła z twarzy rozczochrane włosy, wstała z łóżka. Mieszkanie było ciemne i ciche. Podeszła do drzwi, przyłożyła oko to wizjera. Po drugiej stronie napotkała ciemność. „Kto tam?” – zapytała. Nikt nie odpowiedział. Odsunęła się od drzwi. W miejscu, gdzie przed chwilą trzymała głowę, unosiło się dziecko. Było nagie, pomarszczone, oblepione śluzem. Zamiast oczu miało w twarzy czarne, puste dziury. Miała wrażenie, że te puste oczodoły wpatrują się w nią z wyrzutem. Lewitujące dziecko przechyliło głowę w bok, usta ułożyło w podkówkę. „Mamusi, nie krzywdź mnie”.

Agnieszkę zbudziło trzaśnięcie drzwiami. Andrzej wrócił.

\*\*\*

Termin porodu zbliżał się nieubłaganie. Dni mijały, każdy podobny do siebie. Agnieszka czuła się wielka i ciężka jak krowa. Jeszcze trochę, to aby wyjść z domu, będzie musiała zamówić dźwig. Puchła, pociła się, twarz miała czerwoną jak prosiak, wyglądała jak siedem nieszczęść. Nie mogła doczekać się porodu, modliła się, by dziecko wyszło już z brzucha, by mogła na powrót stać się sobą. Cięża to niepełnosprawność. Problemem stało się założenie butów, problemem było wejście do wanny, a samo wstanie z fotela wymagało szczególnie zaplanowanej operacji. Właśnie się do niej przygotowywała.

Andrzej miał zaraz wrócić z pracy. Znów będzie marudził, że musi czekać na obiad, a ona całymi dniami leży i w poduszki pierdzi. Agnieszka coraz częściej uświadamiała sobie, że swojego męża po prostu nie lubi. Jeśli ktoś w tej ciąży miał humory, to na pewno nie była to ona. W porządku, zdawała sobie sprawę, że świętą krową nie jest, ale skoro już wygląd miała podobny, Andrzej mógłby się trochę porozpływać w uwielbianiu jej, trochę ją porozpieszczać. Nie wymagała, żeby nosił ją na rękach, tańczył koło niej, chuchał na nią i dmuchał, ale mógłby wykazać troszkę więcej zainteresowania i zrozumienia. Niedoczekanie jej. Może dla dziecka będzie lepszy.

Przesunęła się w fotelu, lekko przekręciła na bok, spróbowała rozkołysać swoje ciało tak, by używając jak najmniejszej siły, odepchnąć się i wstać. Zasapała się. Jeszcze tylko kilka dni tej mordęgi, jeśli tylko dziecko będzie chciało wyjść o czasie. Potem będzie podnosić się jak na skrzydłach, by w środku nocy nakarmić pierworodnego. Póki co trzeba Andrzejowi zrobić obiad. Poczłapała do kuchni, z szafki wyjęła patelnię. Położyła ją na kuchence, odpaliła gaz. Z lodówki wyciągnęła olej. Odkorkowała butelkę i przechyliła ją nad patelnię. Gęsty płyn popłynął na teflon.

Ból. Tępy ból w podbrzuszu. Znów to samo. Zaatakował nieoczekiwanie, z siłą rażenia pioruna. Agnieszka zgięła się wpół i bezwiednie wypuściła butelkę z ręki. Olej popłynął na blat kuchenki, połączył się z gazowym płomieniem, by rozbłysnąć pomarańczowym ogniem. Usłyszała huk, iskry tańczyły wokół patelni, żółto-czerwone języki ognia wiły się, wspinały coraz wyżej, sięgając okapu. Smród spalonego oleju drażnił nozdrza Agnieszki. Zgięta wpół próbowała podnieść się z podłogi, by ratować kuchnię przed pożarem. Kolejny huk. Ogień ogarnął okap, powodując minieksplozję. Agnieszka odruchowo zasłoniła twarz, by zaraz odsunąć dłonie i znów sięgnąć udręczonego podbrzusza. Wdech, wydech,

wdech, wydech, tylko spokój. Ból przybierał na sile. Fale ogarniały cały brzuch, spływały w kierunku kręgosłupa, cierpienie wyginało ciało w pokraczną pozę. Wdech, wydech. Czoło pokryło się potem, który słonymi kroplami spływał do oczu. Powietrze znów było gorące – czy to od ognia opanowującego kuchnię, czy od krwi buzującej w najdrobniejszym mięśniu napiętej twarzy Agnieszki. Wdech, wydech. Tłenu było coraz mniej, pot i dym oslepiały. Huk. Agnieszka nie wiedziała, czy to kuchnia przegrywa z pożarem, czy to eksploduje jej ciało. Już nie czuła bólu. Ona była bólem, była cierpieniem, męką i udręką. Każdy nerw obejmował tępy paraliż, każda komórka drgała. Nagle zalała ją słodycz. Nie było ognia, nie było smrodu, była jasność i błogość.

Wyszła z domu. Nie miała dzisiaj ochoty na gotowanie. Poszła na pobliski ryneček, doszła do budki z rożnem. Zapach pieczonych kurczaków sprawiał, że w brzuchu jej bulgotało. Ustawiła się na końcu kolejki, spoglądając na zawieszony na rusztach bezgłowy, pozbawiony piór drób. Ptaki kręciły się wokół własnej osi, wystawiając łyse kończyny do ognia. Skórka przyjemnie się przypiekała. Ślinka ciekła na myśl o nadchodzącym posiłku. Nagle jednemu kurczakowi zaczęła rosnać głowa. Powiększała się jak balonik, w który wpompowywane jest powietrze. To była ludzka głowa. To nie ptak, to niemowlę! Dziecko kręciło się na ruszcie, cały czas starając się trzymać główkę tak, by w zasięgu wzroku mieć Agnieszkę. Uparcie i z wyrzutem wpatrywało się w nią. Z jego ciała skapywał tłuszcz, który spalając się, syczał. Niemowlę wykrzywiło twarz w grymasie bólu. „Mamusiu, nie krzywdź mnie”.

\*\*\*

Agnieszka obudziła się. Wokół było białe i cicho. Leżała w sztywnej pościeli. Pokój był niewielki, w środku znajdowało się tylko kilka sprzętów. Szafka, stolik, dwa krzesła. Okna przysłonięte były jasnymi roletami, które gdzieś tam przepuszczały światło. Agnieszka próbowała usiąść. Poczowała ukłucie. W dłoń miała wbitą igłę, od której odchodził przezroczysty kabelek. Kroplówka. Znalazła się w szpitalu.

Zza drzwi dobiegł ją odgłos kroków. Ktoś biegł. Komuś stukały chodaki. Gdzieś płakało dziecko. Powoli wracała pamięć. Ogień. Był pożar w domu! Zerwała się, jednak przyczepiona kroplówka wyhamowała ruch.

Dotknęła brzucha. Był pusty.

Poczowała zimno. Chłód ogarniający całe ciało. Dreszcz przeszedł jej przez jej policzki. „Gdzie jest moje dziecko?”.

Usiłowała znaleźć przycisk, by przywołać pielęgniarkę. Nie zdążyła. Do pokoju wszedł Andrzej. Był zgarbiony. Miała wrażenie, że zestarzał się o jakieś dziesięć lat. Jego oczy były czerwone od płaczu. Zbliżył się powoli do łóżka, podniósł dłoń, jakby chciał dotknąć ramienia Agnieszki, zawahał się. Ręka zastygła w połowie ruchu. Andrzej cofnął się o krok i niezdarnie włożył dłoń do kieszeni spodni. Odetchnął głęboko. Chciał coś powiedzieć, lecz skurcz chwycił jego krtań. Spojrzał na Agnieszkę, po czym spuścił wzrok. Nienaturalnie wysokim, łamiącym się głosem, zaczął mówić.

– Dziecko urodziło się martwe. Widziałem je. Było takie drobnutkie. Nawet nie było sine. Było czerwone, jakby całe ciało było jedną blizną. Udusiło się. Pępowina zawinęła się wokół szyi. Lekarze powiedzieli, że tak się czasem zdarza. Że po prostu mieliśmy pecha.



# PIŁKA

Jarosław Jakubowski

Mówili na niego Babcia. Nikt nie wiedział dlaczego. „Babcia, dajesz!” – wołały chłopaki, gdy dostawał piłkę i biegł z nią co sił w nogach w kierunku bramki. Był mały, ale bardzo zwinny i szybki. Strzałów nie miał może zbyt mocnych, za to nadrabiał dobrą techniką. No, czasem trener Heniu Piątkowski ochrzaniał go, że za dużo się kiwa i za mało myśli na boisku. Lecz taki właśnie był Babcia – lubił strzelać bramki, lubił patrzeć jak piłka mija zaskoczonego bramkarza i łąduje w siatce; lubił podnosić zaciśniętą pięść w geście tryumfu, przyjmując gratulacje od chłopaków. Kto zresztą nie chce być w centrum uwagi, no kto?

Tej wiosny nasza drużyna młodzików miała szansę na mistrza. Na dwie kolejki do końca rozgrywek tracili zaledwie trzy punkty do lidera. Byli oczkiem w głowie nie tylko trenera Piątkowskiego, ale i prezesa Arkadiusza Dopplera. Pozostałe drużyny Ludowego

Klubu Sportowego Ciemna Dolina, łącznie z seniorami, nie radziły sobie tak, jak młodzicy od Henia. „El-Ka-Es mistrzem jest!” – wołały chłopaki i dziewczyny kibicujące swoim kolegom, gdy ci przystępowali do kluczowych rozgrywek. Prezes obiecał, że jeśli drużyna zdobędzie mistrza, to zafunduje jej nowe ekstra stroje i, jak dobrze pójdzie, to nawet wyjazd do Tatralandii.

Chłopakom oczy zaświeciły się na myśl o premii. Grali co prawda dla satysfakcji – dlatego że lubili, a nawet kochali kopać piłkę – ale skoro ktoś chce im zafundować coś poza satysfakcją, to czemu się nie postarać? Babcia i reszta ekipy skupili się na treningach, choć Babcia, jak to Babcia, należał do tych mniej przejmujących się obowiązkami. Często spóźniał się na zajęcia i wtedy trener Piątkowski kazał mu robić karne rundy wokół boiska albo pompki. Chłopak nadrabiał zaangażowaniem na treningu i podczas meczu. Bramki strzelał jak na zawołanie, tuż przed końcem rozgrywek był wicekrólem strzelców i miał całkiem realne szanse na króla. Wystarczyło, że w ostatnich dwóch meczach strzeli dwie bramki i zrówna się z najlepszym (pod warunkiem, że tamten, Michu Gałęzewski z Gromu Brzytwice, nie strzeli żadnej). Heniu Piątkowski wiedział, jak podejść do chłopaków, i wiedział, że przede wszystkim od postawy Babci zależy, czy drużyna skończy rozgrywki z sukcesem. Prezes liczył na puchar mistrza ligi młodzików, bo już od paru lat żadna z drużyn nie zdobyła liczącego się trofeum i burmistrz Zygmunt Bereda zaczynał psioczyć, że gmina wydaje na klub pieniądze, i to całkiem pokaźną sumę, a efektów jak nie było, tak nie ma. Henia na te słowa zawsze szlag trafiał. Bo jak to nie ma efektów? Chłopaki, zamiast na podwórkach brać dopalacze, klej wachać, biegają po boisku, uczą się współdziałać, mają cel i nawet jeśli jeden na stu zostanie w piłkarstwie zawodowym, jeden na stu!, to i tak wartołożyć na to kasę, bo efekt jest niewymierny! Na takie dictum burmistrz Bereda mógł tylko westchnąć i zaznaczyć, że gmina jest zadłużona i że on nie może szastać publicznym groszem, bo potrzeby są duże, a kasa pusta. Koniec końców przyznał jednak Dopplerowi rację. Gmina nie mogła pochwalić się ani inwestycjami, ani pomysłem na siebie, a bezrobocie po osiemdziesiątym dziewiątym roku nie chciało spaść poniżej piętnastu procent, więc patologia kwitła i każdy sposób na zapobieganie jej był dobry. Idealnie by się złożyło, gdyby tej wiosny chłopaki z LKS Ciemna Dolina w końcu zdobyli jakiś puchar. Seniorzy dawali ciała mecz za meczem, bo więcej czasu poświęcali na picie piwa niż na treningi, ale młodzież nie była jeszcze tak zepsuta. Po prostu nie zdążyła się zepsuć i burmistrz już widział oczami wyobraźni zdjęcia w lokalnej prasie, jak z szerokim uśmiechem gratuluje młodym piłkarzom i zapewnia, że gmina nie zapomni o rozwoju fizycznym młodego pokolenia.



Ale żeby to osiągnąć, trzeba było wygrać dwa najbliższe mecze, w tym kluczowy – z Gromem Brzytwice, który przypadał na sam koniec rundy. Babcia po rozmowie z trenerem może i się przejął, ale i tak pozostał tym samym Babcią – wesołym i skorym do psot chłopakiem, dla którego piłka nożna była świetną zabawą i niczym więcej. Na treningu przed meczem z Zagłębiem Ciurki dość mocno się potłukł, bo wpadł z impetem na słupek bramki. Na szczęście skończyło się tylko na guzie. Trener powiedział, że do wesela się zagoi, ale postanowił nie forsować czołowego zawodnika i kazał mu trenować indywidualnie. Nie chciał, by jeden z drugim zrobili mu większą krzywdę, a zdarzało się niestety w przeszłości, że przed najważniejszymi rozgrywkami drużyna w głupi sposób traciła kluczowego gracza i z pucharu były nici. Tym razem na taki błąd nie można było sobie pozwolić. Babcia był zbyt cenny. Trenował więc sobie trochę na uboczu, tylko jak przyszło do strzelania wolnych i karnych, to dołączał do chłopaków. Miał skurczybyk naprawdę dobre oko, bo choć uderzana przez niego piłka nie leciała zbyt szybko, to jednak potrafił ją podkręcić w taki sposób, że najczęściej bramkarz nie miał nic do powiedzenia. Heniowi Piątkowskiemu, który pamiętał Orłów Górskiego, sposób wykonywania stałych fragmentów gry przez Babcie przypominał Kazia Dejnę. Żadnemu z chłopaków z Ciemnej Doliny nie udało się osiągnąć nic więcej niż testy w klubach ekstraklasowych, kończyło się na nich i chłopaki przepadali potem w drugiej i niższych ligach, a często w ogóle rezygnowali z futbolu. Część kończyła naprawdę źle, część zwyczajnie zakładała rodziny i zapuszczała piwne brzuchy. Babcia miał szansę na lepsze życie. „Wszystko w twoich nogach” – mówił do niego Piątkowski. „I w twojej głowie” – dodawał już z mniejszym przekonaniem. Babcia patrzył na niego trochę bezmyślnie, trochę z grzeczności, ale jak przyszło co do czego, to znowu dawał z siebie wszystko.

W meczu z Zagłębiakami z Ciurek strzelił klasycznego *hattricka*, trzy bramki w jednej połowie, a statystykę poprawił jeszcze dwiema asystami. Z tyłu chłopaki zachowali czyste konto i mecz zakończył się wynikiem pięć do zera. W tym momencie zrównali się z liderem, który jednak tego dnia podejmował u siebie słabą drużynę Drwale Nowy Dwór. Jak się można było spodziewać, spuścił im lanie, osiem do zera, a Michu Gałęzewski strzelił dwie bramki. Mistrzostwo i tytuł króla strzelców pozostawały nierozstrzygnięte. O wszystkim miał zdecydować mecz na szczycie.

Tego dnia pogoda była idealna do grania, świeciło słońce, ale było lekko przesłonięte przez chmury. Do tego delikatny wietrzyk, nie za ciepło i nie za zimno. Drzewa Czarne Lasu, wzgórza ponad stadionem, szumiały spokojnie, śpiewały ptaki, a chłopcy z naszej drużyny robili rozgrzewkę pod czujnym okiem Henia Piątkowskiego. Przyjechał prezes Doppler i nawet burmistrz Bereda pofatygował się, żeby zobaczyć, jak poradzą sobie nasi

młodzicy. Na trybunach zasiadło też sporo rodziców, w tym matka Babci. Ojca nie miał, ten porzucił kobietę z dwójką synów dawno temu. Starszy też grał u nas, ale jak skończył osiemnastkę, wywiało go w świat; w Anglii chyba pakował bekony czy coś takiego. Do domu przysyłał trochę pieniędzy, ale i tak widać było, że im się nie przelewa. Matka w każdym razie wpatrzona była w swego Babcię jak w obrazek, a Babcia starał się ze wszystkich sił pokazać mamie od jak najlepszej strony. Kobieta miała podniszczoną twarz, zdarzało jej się zajrzeć do kieliszka, ale Babcia chodził zawsze porządnie ubrany i najedzony.

Czułem, że skoro na widowni siedzi matka, to Babcia będzie się „gotował”. I tak było, cholerka, nie szedł mu ten mecz od samego początku. Marnował okazję za okazją, często tracił piłkę, a rośli obrońcy przeciwnej drużyny skutecznie odbierali mu chęć do gry.

– El–Ka–Es mistrzem jest! – wołały dziewczyny, a chłopaki nie potrafili sobie poradzić z przeciwnikiem i z własną słabością. Pierwszą bramkę straciliśmy tuż po pierwszym kwadransie gry. Nasz bramkarz zwany Frisbi tak niefrasobliwie wykopnął piłkę, że trafiła wprost pod nogi grubaska w pomocy, który pomimo swej tuszy dysponował niezłą techniką. Posłał piłkę w pole karne, gdzie delikatnie musnął ją Michu Gałęzewski i był gol. Do przerwy kulnęli nam jeszcze jednego. Tym razem strzałem z daleka popisał się ten grubasek. Trafił w samo okienko. Frisbi, mimo że wyciągnął się jak długi, nie dał rady jej sięgnąć. Patrzyłem na chłopaków, jak schodzą do szatni, i zastanawiałem się z kumplami, czy dadzą radę się podnieść. Grom Brzytwice to był jednak porządny klub z wieloletnią tradycją, a ten Michu miał w sobie zadatki na naprawdę dobrego piłkarza. Zresztą wzięli go później nawet do reprezentacji U16, ale jakoś mi zginął z oczu, najwidoczniej skończył tak jak wielu innych.

Od Czarnego Lasu powiewało chłodem. Gdy się patrzyło w tę stronę, widziało się gęstą, prawie czarną płataninę drzew, przez którą przedzierały się tylko pojedyncze promienie słońca. Na tym poziomie rozgrywek nie było chłopców do podawania piłek, więc gracze sami musieli po nie biegać, niekiedy szukając jej długo w gęstwinie. Zdarzało się, że piłka zniknęła na dobre, bo nie brakowało cwaniaczków, którzy w zaciszu Czarnego Lasu tylko czekali, aż futbolówka wypadnie za ogrodzenie. Klub od dawna dopraszał się u burmistrza wysokiej siatki po obu stronach stadionu, jakiegoś piłkołapu czy coś, ale Bereda stwierdził, że są pilniejsze potrzeby.

W drugiej połowie szło nam znacznie lepiej. Babcia szybko strzelił gola na jeden do dwóch. Jak to on, pobiegł z piłką z połowy boiska i nie oddał jej nikomu. Strzelił między nogami bramkarza. Doping się nasilił, wszyscy skandowali „Babcia, Babcia!”, a Babcia grał teraz jak z nut, jakby zapomniał, że na trybunach siedzi mama. Tamta drużyna zupełnie

siadła, nawet Michu Gałęzewski nie był już tym samym Michem, co w pierwszej połowie. Miło było patrzeć na naszych chłopaków, to była zdecydowanie najlepsza połowa dla nich w całych rozgrywkach. Druga, wyrównująca bramka, była tylko kwestią czasu. Tym razem sędzia podyktował karnego po faulu na Babci i on sam stał się egzekutorem. Strzelił niezbyt mocno, ale precyzyjnie, tuż przy słupku i kwestia mistrzostwa znów była otwarta. Remis nas nie urządził, potrzebowaliśmy zwycięstwa i na to zwycięstwo naprawdę się zanosilo. Ale wtedy stało się to, o czym chcę tu wam opowiedzieć, dla czego zdecydowałem się spisać tę historię.

Gdzieś tak w osiemdziesiątej piątej minucie, gdy nasza przewaga była naprawdę duża i lada moment mieliśmy cieszyć się ze zwycięskiej bramki, obrońca Gromu nabił Babci piłkę, która odbita wyleciała poza ogrodzenie i zniknęła w Czarnym Lesie. Babcia szybko skoczył za betonowy parkan. Sędzia zarządził krótką przerwę. Ktoś krzyknął Babci, w którą stronę poleciała futbolówka, a on zniknął wśród gęstych zarośli. Mijały cenne sekundy, sędzia zaczął się niepokoić, jakiś chłopaczek skoczył za ogrodzenie poszukać Babci, wołał, ale nikt nie odpowiadał. Trener Piątkowski wrzasnął za Babcia, żeby wracał, bo mają do dokończenia mecz, ale po Babci ślad zaginął. Do ogrodzenia podeszła jego matka, zawołała kilka razy, lecz nikt jej nie odpowiedział. Parę osób weszło w Czarny Las w nadziei, że znajdą Babcia, któremu być może coś się stało, zwichnął kostkę, zasłabł czy coś takiego. Ale nie znaleźli ani Babci, ani piłki. Jak kamień w wodę.

Sędzia z trenerem ustalili, że mecz będzie kontynuowany, a Babcia zastąpi inny zawodnik. Nie wygraliśmy już tego meczu, przegraliśmy mistrzostwo, a po meczu wściekły trener Piątkowski zapowiedział matce Babci, że po takim numerze nie ma czego szukać w jego zespole.

Wszyscy byliśmy przekonani, że Babcia wyciął jeden ze swoich numerów, zabrał piłkę i prysnął, ale nie rozumieliśmy, dlaczego zrobił to w takiej chwili. „Na pewno spalił się” – powiedział jeden z moich kumpli – „nie wytrzymał psychicznie, niepotrzebnie Henias tak ciśnie chłopaków, w końcu to nie mundial, tylko pierdolona liga młodzika.” Uznaliśmy, że wbrew słowom trenera wszystko jakoś się wyjaśni i Babcia wróci do drużyny, bo w końcu był jej filarem.

Jednak Babcia tego dnia nie wrócił do domu. Matka zgłosiła zaginięcie na policję. Następnego ranka zaczęły się poszukiwania. Poszedłem i ja, bo lubiłem chłopaka i nie mogłem pojąć, co się stało. Dowodzący akcją policjant ustawił nas w szeroką tyralierę i weszliśmy do Czarnego Lasu. Niczego nie znaleźliśmy, tylko opróżnione flaszki i sflaczała, zapleśniała piłkę, tak zwaną „biedronkę”, która pamiętała chyba jeszcze lata osiemdziesiąte.

U rodziny, kolegów, znajomych, w szpitalach i prosektoriami też nie było Babci. Zniknął, rozpląnął się w powietrzu, razem z piłką. To było tak dziwne i przerażające, że za każdym razem, kiedy w miasteczku widywałem jego matkę, ciarki szły mi po plecach. Burmistrz ufundował nagrodę pieniężną dla tego, kto pomoże w odnalezieniu chłopaka. Z Anglii przyjechał jego brat, żeby pomóc w poszukiwaniach. Wszystko na nic. Babci nie było.

Jasnowidz z Chuczewa, którego poproszono o pomoc, powiedział mętnie o jakimś zielonym wirze, który wciągnął chłopaka. Plotka o tym zielonym wirze rozniosła się i wszyscy nie mówili teraz o niczym innym, jak o anomalii w Czarnym Lesie, która wciąga dzieci. Psychoza narosła do tego stopnia, że chłopacy bali się wchodzić do lasu za wykopniętymi piłkami. Burmistrz w końcu się ugiął i zdecydował o postawieniu wysokiej na osiem metrów siatki oddzielającej stadion od wzgórza. Piłki jednak i tak lądowały za siatką, znacznie rzadziej niż dotąd, ale jednak. Nie było jakoś chętnych, żeby iść je szukać. Obłowił się na tym miejscowy idiota Jędrzek Ochlapus, który miał gdzieś wszystkie opowieści o zielonym wirze i regularnie zapuszczał się w Czarny Las. „Wariata lichu nie weźmie” – mówiliśmy o nim, bo rzeczywiście znajdował piłki, które potem odsprzedawał klubowi. Prezes Doppler machał ręką na ten proceder, gdyż kosztowało to i tak mniej niż kupowanie nowych piłek, a i przy okazji zniedołężniałemu starcowi pomagało się co nieco.

Kiedyś z kumplami wzięliśmy starego na spytki, kupiliśmy mu piwo i zaczęliśmy wypytywać o Czarny Las.

– Nie chodźta tam, nie chodźta – powiedział, oblizując usta z piany. Dopytywaliśmy, dlaczego nie powinniśmy chodzić, skoro jemu nic złego się nie działo.

– Ja znam ten las, każde drzewo znam, każdą norę. Ja wiem, kiedy ten las mnie chce wpuścić, a kiedy nie chce. Wtedy tam nie chodzę, wtedy nie... – odparł Jędrzek Ochlapus.

Przez te gadki-szmatki zainteresowała się nim policja, podejrzewając, że starzec może mieć coś wspólnego z zaginięciem Babci. Przeszukano dokładnie zrujnowany domek Ochlapusa, który miał po matce, od piwnicy aż po dach. Ba, skuto nawet beton w piwnicy! Jasnowidza znowu ściągnięto, ale nic, dosłownie nic, co mogłoby doprowadzić do chłopaka, nie znaleziono.

– Już go nie znajdzieta, nie znajdzieta... – powtarzał bezzębnymi ustami stary Jędrzek, a matka Babci o mało by go nie rozszarpała pazurami. Ledwie ją policjanci odciągnęli. Znam to z opowieści, ale nie mam powodów, żeby w nie nie wierzyć, tak jak wy nie macie pewnie powodu, żeby nie wierzyć to, co tu spisuję, nie?

W takich sprawach, jak ta, prędzej czy później pojawia się telewizja, to i u nas się pojawiła. Zrobili reportaż, wleźli nawet ze starym Jędrkiem do Czarnego Lasu, ludzi się

zebrało więcej niż na meczu. Ze wszystkimi rozmawiali, a gadać chcieli nawet ci, co nie mieli w sprawie nic do powiedzenia. „Tajemnica Czarnego Lasu”, tak się nazywał reportaż, który wkrótce potem puścili w telewizji. Cała Ciemna Dolina oglądała. Każdy chciał zobaczyć, jak on sam czy sąsiad wypadnie w telewizorze. Ujęć z samego lasu nie było. Dziennikarka stwierdziła, że nie jest skora do wierzeń w zabobony, ale kiedy przyszło do przeglądania materiału, okazało się, że nagrania z lasu nie zachowały się. Zniknęły. Nikt z ekipy technicznej nie był w stanie wyjaśnić, co się mogło stać. Reporterka nie powiedziała, czy próbowali dokręcić ponownie ujęcia w Czarnym Lesie, ale od razu poszła plotka, że zielony wir zrobił swoje i nikt już nie odważy się tam wrócić, choćby nie wiadomo co.

Zresztą wielu redaktorków zajmowało się zaginięciem naszego Babci, jego zdjęcia znalazły się w bazach danych różnych fundacji, ale czas mijał, a Babcia nie wracał do domu. Jego matka w końcu dostała w głowę, przestała wychodzić z domu, twierząc, że czeka na niego. Ludzie mówili, że wyglądało tam strasznie: brud, ileś warstw niewyrzucanych śmieci, słowem makabra. W końcu przymusowo umieścili kobietę w zakładzie opieki. Nie dało się inaczej. Starszy brat Babci tymczasem znowu wyjechał, nic go zresztą u nas nie trzymało, w Anglii miał już nowy dom, żonę, dziecko, a stara, chora matka była tylko obciążeniem. Tak to już jest, i nie ma się co temu dziwować.

Ludzie powoli zapominali o Babci. Chłopaki wyrosli, niektórzy kontynuowali grę w juniorach, ale większość rozpierzchnęła się i trener Piątkowski znowu musiał budować od podstaw drużynę. Mecze jak dawniej odbywały się w cieniu Czarnego Lasu, piłki od czasu do czasu wpadały w gęstwinię, ale jakoś przestało to być problemem. Owszem, ciągle opowiadano sobie historie z dreszczykiem, jakoby zielony wir czyhał na chłopaków, ale prawda była taka, że poza jednym biednym Babcia nikogo już potem nie wciągnął. Chyba że za zielony wir uznamy nałogi, które wciągały, oj wciągały naszych chłopaków i wciągają do dziś.

Przyznam, że i ja po jakimś czasie przestałem sobie zaprzętać głowę Babcia. Zniknął, straszna sprawa, ale skoro nie można jej wyjaśnić, to trudno, nie będę przecież z tego powodu rwał sobie włosów z głowy. Życie toczy się dalej, czy to się komu podoba, czy nie. Po tamtej wiosnie przyszło lato, potem kolejne i następne. Lat przybyło tyle, że już chyba tylko najstarsi kibice pamiętali tamten czerwcowy dzień, kiedy Babcia skoczył za piłką i zniknął. Byłem wśród nich i ja, i słowo daję, nie ja jeden czułem zimny dreszcz na plecach, kiedy siadałem na swoim stałym miejscu, mając za sobą wysoką siatkę, za którą piętrzył się Czarny Las. Nawet w najbardziej upalne dni ciągnęło stamtąd chłodem i nie było powodu, żeby tam łązić. Po Babci została pamięć kolegów i kibiców, i parę fotografii w klubowej gablocie. Uśmiechał się

z nich trochę bezmyślny i skory do psikusów chłopaczek. Nieraz zastanawiałem się, co się mogło stać, ale wnioski, które wyciągałem, wydawały mi się absurdalne. Porwanie? Kto i po co miałby porywać chłopaka z biednej rodziny? Pedofil, owszem, to prawdopodobne, ale przecież musiałby zostawić jakiś ślad. Pedofil nie zadowala się jednym „razem”, prędzej czy później wraca po kolejną ofiarę. Policja co jakiś czas zapewniała, że sprawa Babci jest wciąż w polu ich zainteresowania, choć oficjalne śledztwo już dawno zostało umorzone. Nikt za bardzo nie wierzył w te zapewnienia, ale co było robić? W końcu czas jest najlepszym lekarzem. Nawet w przypadku, gdy ktoś znika bez śladu.

Minęło dziesięć lat od tamtych wydarzeń, gdy wszystko stanęło przede mną znowu, jakby działo się po raz pierwszy. Dziesięć lat po zaginięciu Babci stało się coś, co pozwoliło mi ułożyć w całość tę przeklętą układankę. Nie wiem, dlaczego akurat ja, ale skoro przytrafiło mi się to, co się przytrafiło, to nie zamierzam skomleć i narzekać. Człowiek staje się świadkiem i już, nie od niego to zależy. Tak się złożyło, że widziałem dokładnie śmierć Zbycha Czerniaka, a to co widziałem, uświadczyło mnie w przekonaniu, że nie wszystko, co nas spotyka, jest do ogarnięcia przez ludzki umysł.

Ale po kolei. Zbychu Czerniak był gospodarzem obiektu zatrudnionym na stadionie LKS Ciemna Dolina. Odkąd chodziłem na mecze, zawsze zajmował to stanowisko. Wszyscy go chwalili. Dzięki Zbychowi murawa stadionu prezentowała się znakomicie, mimo że klub nie miał wielkiej forszy na utrzymanie. Ale Zbychu doglądał jej zamiast żony, śmialiśmy się. Regularnie podlewał, nawoził i przycinał. Pastował piłki, prał chorągiewki, czyścił siatki, pilnował, żeby piłkarzom nie brakowało wody, mydła i papieru toaletowego. Spędzał na stadionie całe dni, czy w sezonie, czy poza nim, świątek, piątek i niedziela. Owszem, uważano go trochę za dziwaka, bo nigdy się nie ożenił i mieszkał w domku po rodzicach, w trochę odludnej okolicy zwanej Dzięczą, po drugiej stronie rzeki, stosunkowo niedaleko stadionu. A przy tym nie pił, nie palił i nigdy nikt nie słyszał, żeby przeklinał. Mówiono, że gdyby nie fucha na stadionie, zostałby księdzem. Ktoś tam czasem rzucił głupim tekstem, że pewnie pedał, ale poza tym Zbycha lubiano, bo życzliwy i uczynny był z niego chłop. No i LKS Ciemna Dolina jakoś dzięki niemu funkcjonował.

Tej nocy, kiedy zginął, śnił mi się Babcia. Jak Boga kocham, nigdy wcześniej mi się nie śnił, a tej nocy do mnie przyszedł, widziałem go wyraźnie: uśmiechał się, marszcząc piegowaty nos i podawał mi piłkę zza betonowego parkanu. Gdy miałem już ją wziąć, Babcię wciągnęło z powrotem, robił się coraz mniejszy, aż zniknął całkowicie i wtedy sen się skończył. Wstałem, żeby napić się wody i stanąłem z napelnioną szklanką przy oknie w kuchni. Z pierwszego piętra naszego bloku miałem dobry widok na skrzyżowanie



oświetlone latarniami. Ulice były puste, po chodnikach i jezdniach szurały suche liście miotane wiatrem. Nagle pojawił się mężczyzna, szedł powoli w stronę skrzyżowania, automatycznie, przypominał trochę lunatyka.

To był Zbychu Czerniak, poznałem go po przydługich, siwych włosach, które targał wiatr. Nie miałem pojęcia, co może robić o tej porze na ulicy. Czyżby wracał ze stadionu? Na to wyglądało, sądząc po kierunku, z którego nadszedł. Wtedy zza narożnikowego budynku wytoczyła się piłka. W jasnym świetle latarni wyglądała identycznie jak ta, którą wybił na aut Babcia, nasz biedny Babcia. Piłka przemierzyła kilka metrów, po czym zatrzymała się blisko środka skrzyżowania. Zbychu stanął jak wryty, a po chwili ruszył ku niej. Gdy pochyłał się, aby ją podnieść, z tego samego kierunku co ona nadjechała wielka ciężarówka i z całym impetem uderzyła w mężczyznę, przejechała po nim i zniknęła, nie zatrzymując się. Z oddali słyhać było jedynie wycie silnika, coraz słabsze, aż ustąpiło całkowitej ciszy. Wypuściłem szklankę z ręki, wybiegając z domu, natknąłem się na żonę, która z przerażeniem zapytała, co wyprawiam. Nie pamiętam, co jej odpowiedziałem, pamiętam tylko, że Zbychu nie miał głowy. Została całkowicie zmiażdżona. Dziwne, bo niedaleko, przy krawężniku, leżała piłka. Zupełnie nienaruszona.

Po chwili na skrzyżowaniu zrobiło się zbiegowisko. Przyjechała policja, pogotowie. Spisali mnie i powiedziałem o wszystkim, co widziałem.

– Piłka? Jaka piłka? – zdziwił się policjant spisujący moje zeznania.

– No ta – wskazałem miejsce, w którym jeszcze przed momentem leżała. Ale piłki nie było. Może ktoś ją zabrał, a może... nie, nie zamierzam snuć domysłów, spisuję tylko to, czego doświadczyłem.

Ponieważ Zbychu nie zostawił żadnych spadkobierców, jego dom został wystawiony na licytację. W kilka miesięcy gruchnęła wieść, że nowy właściciel znalazł coś wewnątrz. To brzmiało tak nieprawdopodobnie, że w pierwszej chwili, gdy to usłyszałem, myślałem że ktoś robi sobie jakieś koszmarnie żarty. Ale o tym, co znaleziono w domu Zbycha, wiem z pierwszej ręki, od znajomego policjanta (nazwiska nie wymienię dla jego dobra), a prywatnie zapalonego kibica LKS Ciemna Dolina. Oto co mi powiedział, staram się wiernie cytować jego słowa: „Nowy właściciel wezwał nas, bo w piwnicy znalazł zamurowane pomieszczenie, z którego po wybiciu kilku cegieł zaczął wydobywać się trupi odór. Postanowił więc, że resztę ściany wybije w obecności policjantów. Dobrze zrobił, choć źle, że trafiło akurat na moją służbę. Pojechałem z kumplem, młodym policjantem krótko po szkole. Dom wydał mi się jakiś ponury, ale nie dlatego, że był otynkowany na szaro, tylko w ogóle, coś dziwnego wokół niego się unosiło. No, coś dziwnego. Jak weszliśmy do środka, to mimo

że okna były pootwierane, od razu poczuliśmy ten smród. Kumpel wybiegł i zwymiotował na podwórko, ja zasłoniłem usta chusteczką, ale i tak mnie dźwigało. Facet wprowadził nas do piwnicy. Ścianę, którą zaczął rozkuwać, oświetlała lampa jarzeniowa na stojaku. Kazał dwóm robotnikom wybić otwór tak, żeby można było wejść dalej. Smród mieszał się z pyłem rozbijanych cegieł i betonu. To, co zobaczyliśmy, kiedy kurz opadł, zupełnie nas przybiło. Obaj zwymiotowaliśmy, wymiotowali zresztą wszyscy. Czegoś takiego nigdy jeszcze nie widziałem i nie życzę nikomu, żeby coś takiego zobaczył. Na metalowej pryczy, przypięty do niej pasami, leżał trup w stanie dość zaawansowanego rozkładu. Był nagi, wychudzony, lecz napęczniały od gnilnych gazów, jego skóra nosiła ślady przebarwień. Głowa pochylona była nieco w bok, w stronę zamurowanej ściany. Czarne, zapadnięte policzki odsłaniały zuchwę i upiornie wyszczerzone zęby. Otwarte, wyschnięte oczy kierowały się w stronę zamurowanej ściany. Palce obu rąk, skrępowanych paskami w nadgarstkach, były rozcapierzone, jakby przed śmiercią próbował się uwolnić. Ciało leżało w zaschniętych ekskrementach, których część znajdowała się na podłodze poniżej.

Na ścianach wisiały plakaty znanych piłkarzy, zdjęcia klubów i reprezentacji narodowych, a także wycinki, wśród nich te z lokalnej prasy, na temat młodzików z LKS Ciemna Dolina. Przy pryczy stało krzesło, poza tym w pomieszczeniu nie było nic.

Niczego nie ruszaliśmy, od razu kazałem wezwać prokuratora i ekipę techników kryminalistyki. Czekaliśmy na nich na zewnątrz, próbowaliśmy dojść do siebie, ale to się nie udawało.

– Panie, co to jest? Co to jest? Panie? – pytał jak nakręcony właściciel domu po Zbychu Czerniaku, a ja nie potrafiłem powiedzieć nic sensownego. Miałem tylko jedno potworne przecucie – że właśnie znaleźliśmy naszego Babcię”.

Przecucie doświadczonego policjanta okazało się trafne. Śledztwo wykazało, że w zamurowanej piwnicy domu Zbycha Czerniaka znajdowało się ciało zaginionego ponad dziesięć lat wcześniej chłopca, podpory naszej drużyny młodzików. Można było jedynie hipotetycznie przyjąć, że trafił tam już w dniu zaginięcia i przebywał nieprzerwanie aż do momentu odnalezienia. Zmarł, według biegłych, kilka miesięcy temu, a zatem mniej więcej w tym samym czasie, w którym zginął Zbychu Czerniak.

W wyniku sekcji zwłok stwierdzono, że chłopak był wykorzystywany seksualnie, zapewne wielokrotnie. Że był głodzony i faszrowany środkami psychotropowymi, które znaleziono zresztą w apteczce Zbycha. Wkrótce okazało się, że gospodarz obiektu był skrupulatny nie tylko w doglądaniu naszego stadionu, ale i w rejestrowaniu swoich kontaktów z ofiarą. Na twardym dysku jego komputera odkryto pliki z filmami, które nagrywał



telefonem komórkowym niemal od początku, bo pierwszy film nosi datę z drugiej połowy roku, w którym zaginął Babcia. O istnieniu tych filmów wiem od kumpla-policjanta, nikt poza ekipą śledczą ich nie widział. Matce nie powiedziano o ich istnieniu, mogłaby tego nie przeżyć.

Często jest tak, że wiedza, którą masz, rozsadza ci głowę i musisz, po prostu musisz się tą wiedzą z kimś podzielić, w przeciwnym razie zwariujesz. Tak było z moim kumplem, który pewnego dnia odwiedził mnie z butelką wódki i opowiedział o zawartości filmów. „To było straszniejsze od wszystkich rzeczy, które wydawały mi się dotąd straszne. To było jak wejście w środek piekła. Ten chłopak przez dziesięć lat cierpiał męki, które trudno sobie nawet wyobrazić. Płakał, błagał o litość, a ten skurwiel gwałcił go raz za razem. Napawał się tym, że może być panem życia i śmierci tego chłopca. I pomyśleć, że przez tyle lat go mijaliśmy, podawaliśmy mu rękę, rozmawialiśmy i niczego nie podejrzewaliśmy? Powiedz, jak to możliwe? Najgorszy jest ostatni film, chłopak jest już na wykończeniu, bardzo słaby, zasłania się rękami i skamle: mamó, ratuj...”

Mój stary kumpel rozbeczał się jak dziecko, a ja razem z nim. A kiedy się uspokoiłem, opowiedziałem mu o piłce. Spojrzał na mnie i powiedział:

– Mam nadzieję, że tam gdzie jest teraz ten skurwiel, nikt nie ma dla niego litości, tak jak on nie miał dla naszego Babci.

Dziwne jest to wszystko. Obaj leżą na naszym parafialnym cmentarzu, po przeciwległej stronie doliny. Cmentarne drzewa widać ze stadionu. LKS Ciemna Dolina radzi sobie jak może. Chodzimy dopingować chłopaków, choć nasza kibicowska ekipa wykrusza się, a i serca do gry nie mają takiego, jak Babcia i jego ekipa. Heniu Piątkowski, który jest już na emeryturze i z którym czasem wypijemy ćwiartkę na meczu, kiwa głową, że drugiego takiego jak Babcia pewnie już nie będzie. Ja wtedy przytakuję ze zrozumieniem i dyskretnie odwracam się w stronę Czarnego Lasu, skąd nieodmiennie wieje chłodem.

rys. Dawid Boldys



# POWRÓT

Dominik Derkacz

Nie musiał patrzeć. Po prostu liczył, wsłuchując się w świst lecącego pocisku, który chwilę potem uderzył w ziemię, siejąc spustoszenie wśród Brytyjczyków. Nie. To tylko lokaj postawił na stole tacę. Porcelanowa zastawa zastukała cicho, ale Charles odebrał to jako huk następnego wybuchającego pocisku. Mężczyzna się wzdrygnął i zamrugał. Nie był w okopie. Zimowe słońce wpadało przez wysokie okna do biblioteki, w której podano herbatę. Oficer spojrzał na swojego dziadka. Stary mężczyzna stał odwrócony do niego tyłem, wspierając się na lasce. I mówił. Ale co? Charles nie wiedział. Słowa do niego nie docierały. Stary księżę

trzymał się zaskakująco dobrze jak na swój wiek i pokazywał, że jeszcze nie wybiera się na wieczny spoczynek. Być może służba na dworze pomogła mu w zachowaniu sił witalnych.

–... twój ojciec z matką zostają na święta w Indiach. Wcześniej otrzymałem telegram. Smutny to będzie czas. Jest nas coraz mniej. Następną kwestią, którą chcę poruszyć jest twoja żona – księżę niemalże wypluł to określenie z największym obrzydzeniem. – Tak dłużej być nie może. Dobrze wiesz, Charles, że nie uznaję rozwodów, lecz w tym jednym przypadku zmieniam swoje zdanie. I nalegam. Rozwód, oczywiście z jej winy. Nie interesuje mnie, że to będzie koniec Vanessy, nie dbam o to. Ona nie przejmowała się tobą, gdy rzucała się w ramiona innym. Syna też jej odbierzesz, to oczywiste. Biedny chłopak! Tej kobiecie chyba zależało na tym, żeby zapomniał o tobie, kiedy walczyłeś we Francji – zakończył. Charles nawet nie zwrócił uwagi na niezwykle wylewność starego księcia. Nie chciał rozwodu. Wiedział o zdradach żony, ale nadal zdawało mu się, że ją kocha. I jest jej gotów wybaczyć.

– Wina leży także po mojej stronie. Z przerwami nie było mnie przez cztery lata. Zaniechałem nasze małżeństwo – usprawiedliwił żonę major. Księżę gwałtownie odwrócił się do młodego mężczyzny i uderzył laską w podłogę.

– Co bzdury wygadujesz, Charles?! – huknął, lecz natychmiast się zreflektował. Wrzaski były dobre dla woźnicy, a nie dla głowy jednego z najznamienitszych rodów Imperium Brytyjskiego. – Zmysły potraciłeś w tych okopach. Żona ma w pokorze czekać na męża, który poszedł na wojnę. Nic nie usprawiedliwia jej zdrady. Na głowie stawałem, aby jej ekscesy nie wyszły na światło dzienne. Nie chodzi tu tylko o twoje dobre imię, ale o dobro rodziny, które jest najważniejsze. Nie myśl, że pomimo mojej niechęci do Vanessy nie ostrzegałem jej przed czekającymi ją konsekwencjami, jeśli nie zaprzestanie tego... procederu. Zaśmiała mi się w twarz. Powiedziała, że i tak jej wszystko wybaczysz. I widzę, że miała rację. Tak, po części się z tobą zgodzę. To także twoja wina. Sam ją sobie wybrałeś na żonę, do tego popełniając mezalians. I również moja w tym wina, bo wydałem zgodę na ten związek. Liberalizm mógłby spłonąć w piekle. Szkoda, że się tak nie stanie. Świat już uległ zmianie i my również musimy jej ulec, jeżeli nie chcemy zatonać. Dlatego na początek weźmiesz rozwód. Ja za niedługo i tak umrę. Tytuł i posiadłość dostanie twój ojciec, a potem ty, jako że George zginął. Dostaniesz wszystko i nie wyobrażam sobie, żeby ta... ta lafirynda przechadzała się po tym zamku niczym wielka pani. I zdejmij w końcu mundur. Wojna się już skończyła.

Charles przyparł do nasypu okopu. Zimna, wilgotna ziemia przylepiła mu się do policzka, a hełm przesunął na bok. Pociski nieprzerwanie od pół godziny spadały na okop, którego mężczyzna był dowódcą. Charles mierzył ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu, był słusznej postawy, ale drżał niczym małe dziecko. Nie tylko z zimna, które przeszywało go na wskroś. Miał dość. Pragnął jedynie, aby to się kończyło. W ten czy inny sposób. Ówczesny kapitan przymknął oczy. We wspomnieniach przeniósł się do słonecznego lata, przed wojną. Poczul na twarzy ciepłe promienie słońca i zapach polnych kwiatów, czuł dotyk dłoni Vanessy. Śmiali się, rozmawiali, cieszyli sobą. Patrzył jej w oczy i widział, że go kocha. Więc dlaczego teraz nie pisała? Gdy wracał do domu na przepustkę traktowała go z takim chłodem i dystansem. To przez kochanka? Charles z trudem przełknął żółć, która wezbrała w jego ustach. Teraz czuł jedynie chłód i smród. Nie było przyjemnej ciszy i ćwierkania ptaków, tylko huk maszyny wojennej. Kapitan otworzył oczy, całkowicie otrząsając się z mesmeryzmów wspomnień. Przed sobą widział rannego żołnierza. Wojak miał całą twarz zalaną krwią, spod której przebijała się czerń spalonej tkanki. Trząsł się w konwulsjach z bólu. Charles patrzył na niego i nieznośna myśl krążyła mu cały czas po głowie. *To mogłem być ja. To mogłem być ja.* Praktycznie w każdym momencie. Nagle kapitan usłyszał miły, spokojny głos kobiety wzywający go po imieniu. Zacisnął pięści. Miał dość stale nawracających omamów. Ale głos nie ustępował. Mężczyzna rozpoznał go jako głos swojej młodszej siostry, Violet, która była mu najdroższą spośród całego rodzeństwa. Lecz dziewczyna nie mogła znaleźć się w tym zapomnianym przez Boga miejscu. A jednak Charles stale ją słyszał.

– Zostaw mnie! – warknął w końcu i zacisnął oczy, chcąc wyzbyć się wspomnień. Ale zaraz poczuł delikatne dłonie, chwytające go za brudne policzki. Otworzył oczy. Przed nim klęczała Violet. Drzwi za nią były szeroko otwarte. Major po chwili pojął, że nie znajduje się w okopie, tylko we własnym pokoju. Siedzi pod ścianą, wciskając się w nią.

– Violet? – wypowiedział z trudem i odchrząknął. – Co ty robisz sama w męskim skrzydle? Nie wolno ci tu być.

Ale dziewczyna zdawała się nie słuchać. W jej oczach błysnęły łzy, po czym wtuliła się w ramię Charlesa. Oficer powoli zaczął wstawać, ciągnąc za sobą młodszą siostrę. Mocno przytulił ją do siebie. Nie dość, że kochał ją najbardziej, to rozumieli się bardzo dobrze. Z nią mógł rozmawiać o wszystkim, choć nie zawsze było to ani właściwe, ani łatwe.

– Szłam cię odwiedzić, kiedy usłyszałam huk... – zrobiła krótką pauzę, nie ważąc się mówić dalej. – Bałam się, że sobie coś zrobiłeś.

– Nie. Nic się nie dzieje – zapewnił ją.

– Ależ się dzieje! – zawołała w złości i strachu, odsuwając się od brata i spoglądając mu prosto w oczy. Zdały się jej całkowicie zgaszone, martwe. – Ciebie z nami nie ma. To znaczy, jest twoje ciało. Tylko tyle z ciebie zostało. Wszystko ci jest obojętne, może prócz tej Vanessy.

– To kłamstwo – zaoponował. Przez krótką chwilę chciał zwrócić jej uwagę na zbyt zuchwały język, czego nigdy nie robił, a na co zresztą teraz i tak nie miał siły. – I nie życzę sobie, abys w tak infantylny sposób wyrażała się o mojej żonie.

Violet poczuła się tknięta do żywego. Nagle przestało być jej żal brata i zezłościła się na niego.

– Nie rozumiesz, co ona ci zrobiła? Nie widzisz tego? Ona się z ciebie śmiała, gdy cię nie było. A ty nadal...

– Violet! – krzyknął Charles, a dziewczyna zadrżała. Wybiegła z pokoju i zatrzasnęła za sobą drzwi. Major był całkowicie zaszokowany jej zachowaniem, nie wiedząc, skąd takie manieri, czy raczej ich brak, wzięły się u jego siostry.

\*\*\*

Charles stał przed głównym wejściem do zamku. Nastął grudzień, śnieg cienką warstwą pokrywał lasy, łąki i pola. Było zimno, lecz mężczyzna nie ubrał płaszcza. Choć stał na zewnątrz już przeszło od piętnastu minut, nie czuł chłodu albo nie zwracał na niego uwagi, myślami uciekając gdzie indziej.

Dziś nie miał na sobie munduru. Vanessa nie znosiła go w nim oglądać. Dla niej wojskowy ubiór był tylko symbolem pierwotnych instynktów mordowania, ani trochę nie kojarzący się z odwagą żołnierzy, ani z chwałą, którą mogli się okryć. Charles się z nią nie zgadzał. Powiedział raz, że służenie królowi i obrona kraju to jedne z największych cnót, jakich może dostąpić mężczyzna. Vanessa go wyśmiała i swoją formułkę powtarzała na okrągło, kiedy tylko mąż był w pobliżu, byle tylko go zirytować. *Pojedziesz i będziesz zabijać swoich przyjaciół? Tylko tego chcesz, tak? Zabijać i kąpać się w krwi wrogów? Nie ma w tobie nic ludzkiego*, Charles przypomniał sobie słowa pożegnania swojej żony. Już to go ugodziło do żywego, ale zrzucił wszystko na uczuciowość Vanessy, która nie znosiła wojny. Charles nie spodziewał się, że kobieta zrozumie pobudki, którymi kierował się mężczyzna

idący do boju. Nie był to tylko honor, ale i obowiązek. Jedynie tchórze i socjaliści nie bronią kraju w obliczu zagrożenia. A obiema tymi grupami Charles głęboko gardził.

Major czekał na przyjazd żony i swojego syna, Edwarda. Nie widział ich od paru miesięcy; od czasu ostatniej przepustki, na którą przyjechał do rodowej posiadłości. Po zakończeniu wojny nie zjawił się we własnym domu, w Londynie. Do Vanessy wysłał jedynie telegram, informując ją, że zostaje na wsi. Od tamtego czasu nie odezwali się do siebie ani słowem.

Minęło kolejne pięć minut. Mężczyzna oczekiwał rychłego zjawienia się bliskich. Nie spodziewał się, aby pociąg był opóźniony, a szofer już czekał na stacji.

W końcu samochód zatrzymał się na podjeździe. Lokaj otworzył drzwiczki i z wnętrza wyszła młoda, ładna kobieta, o chłodnym spojrzeniu i ustach wykrzywionych w wiecznym niezadowoleniu. Charles ucałował dłoń żony na powitanie, uśmiechnął się mile, a następnie zaczął wpatrywać się w jej twarz, szukając jakichkolwiek oznak czułości czy tęsknoty. Nic takiego nie dostrzegł, za to ujrzał słabo skrywane szyderstwo. Mężczyzna już miał zamiar usprawiedliwić żonę, że to przez podróż i pogodę, kiedy ona odezwała się pierwsza:

– Mało miałeś czasu, żeby wrócić do domu? Czy może czekałeś aż walki zostaną wznowione, żeby znowu tam pojechać? – zapytała chłodno. Charles nic nie odpowiedział. Spojrzał na małego chłopca, który stanął na podjeździe. Uśmiech ponownie rozjaśnił twarz oficera. Mężczyzna uklęknął i wyciągnął ręce w kierunku dziecka.

– Edward, chodź do taty – zawołał, lecz malec zamiast przyjść skulił się i odwrócił wzrok.

– Jesteś dla niego tylko obcym człowiekiem – wytłumaczyła oziębłe Vanessa. Wyciągnęła rękę w kierunku syna, który za nią złapał i razem weszli na zamku. Charles wstał. Czuł się całkowicie niepotrzebny i odrzucony. Do tego wstyd palił go od środka. Szofer i lokaj byli świadkami tej upokarzającej sceny. Stali teraz wyprostowani, gotowi na rozkazy, udając, że nic nie widzieli. Ale jeszcze większy wstyd major poczuł, gdy w wejściu głównym ujrzał Violet. Także wszystko widziała. Mijając ją bez słowa, miał wrażenie, że zaraz spłonie z upokorzenia.

Chwila zawahania wystarczyła, aby Charles stracił życie. Zamiast nacisnąć spust pistoletu, opuścił go. Ale stający nad okopem Niemiec, arystokrata, z którym kapitan ponad rok temu polował w Lotaryngii, nie miał tyle sentymentu, co Anglik, albo go nie rozpoznał. Rzucił się na oficera, powalając go na ziemię. Charles uderzył głową o deski i zdążył pomyśleć, że dobrze byłoby mieć hełm, kiedy dostał pięścią w nos. Krew od razu zalała mu

twarz. Szkop siadł na kapitanie i zaczął okładać go pięściami. Charles usiłował walczyć, lecz nie miał już sił się bronić, pomimo iż atakujący był mniejszy niż on. Mężczyzna nieudolnie odbijał ataki, raz po raz dostając ciosy, aż w końcu dłonie Niemca zacisnęły się na szyi brytyjskiego oficera. Wtedy w kapitanie obudziła się chęć walki, bo próbował zrzucić z siebie żołnierza. Charlesowi zaczynało brakować tchu, kiedy nagle uścisk zelżał, a z twarzy atakującego zeszła dzika wściekłość, zastąpiona przez ogromne zdziwienie. Charles zobaczył, jak z krtani Niemca wystaje zakrwawione ostrze bagnetu. Po chwili ujrzał swojego adiutanta, któremu zawdzięczał życie.

Major otworzył oczy. Dyszał, a jego ciało było lepkie od potu. Z trudem wstał z łóżka, prawie się przewrócił, lecz doszedł do okna, które otworzył na oścież. Mroźne, nocne powietrze wdarło się do pokoju. Charles oparł dłonie na parapecie i spuścił głowę. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek czuł się tak odrętwiały. Nawet na froncie, gdy nachodziły go czarne myśli, które potrafiły odwieść od zrobieniem czegokolwiek, przewycięzał je i był gotów do działania. Teraz nie miał siły na nic. Każda godzina była dla niego męczarnią, z której nie potrafił się wydostać. Czuł, jak zimne dłonie chwytają go i ciągną z powrotem do miejsca, z którym tak dobrze zdążył się już zaprzyjaźnić. Zastanawiał się, czy nie lepiej byłoby umrzeć. Tam w błocie, brudzie i huku. Zginąć jako bohater, a nie umrzeć we własnym łóżku, z własnej ręki. Bo takie myśli też nachodziły Charlesa. Miał chęć wziąć brzytwę, docisnąć ją do gardła i przeciągnąć ostrze. Ta opcja coraz bardziej go kusiła. Mężczyzna osunął się na podłogę, siadając pod oknem. Już nawet czuł, jak gorąca krew spływa mu po skórze, członki słabną i stają się zimne, a świadomość blednieje. Dałoby mu to wytchnienie od wielu spraw, a najbardziej od siebie samego. Nie chciał powracać we wspomnieniach do Francji. Miał już dość, ale gdzie tylko nie spoglądał, wszystko zamieniało się w ściany błota, tu i ówdzie wzmocnione drewnianymi deskami. Korytarze, które zamieszkiwali jego podwładni o wynędzniałych twarzach, balansujący na granicy szaleństwa. Charles nadal potrafił czuć przejmujący do szpiku kości mróz, bądź skwar i pot, od którego całe ciało było lepkie. Na twarzy czuł zaschnięte błoto, a kiedy spoglądał w dół, widział mundur. Również cały brudny od ziemi, od krwi. Dowódca patrzył po swoich ludziach i widział, i ich, i siebie, jako armię nędzników rzuconych na śmierć. A oni czekali aż doda mi otuchy, odwagi i zagrzeje do walki. Czasami zdarzało się, że Charles sam przestawał widzieć jakikolwiek sens w tym, co robił. Co za kogo walczył i po co? Króla, ojczyznę, Vanessę? Chciał chwały, medali? Zdawało mu się to nie mieć znaczenia. A gdy odzyskiwał świadomość, był na siebie wściekły za takie myśli, niegodne brytyjskiego oficera. Medale dostał. Nie miał nawet trzydziestu lat, a już ciążyły mu na piersi. Za odwagę, za bohaterstwo, za rany, za zasługi. Nie

zginął, co prawda, śmiercią bohatera, tak jak jego najstarszy brat George, lecz Charles był pewien, że nie ma się czego wstydzić. Myśląc o tym, w końcu zapadał w niespokojny sen.

\*\*\*

Charles szedł do pokoju swojej żony. Był zdesperowany. Chciał, aby rozmowa, którą zamierzał z nią teraz odbyć, rozwiała jego wszelkie wątpliwości lub choć trochę pomogła mu w podjęciu decyzji. Major zamierzał przeciwstawić się decyzji księcia, nie chciał brać rozwodu, a przynajmniej przedwczoraj był tego pewien. Dziś już nie wiedział. Nieumyślnie złowił uchem, co Vanessa mówiła na jego temat do pokojowej. Charles uważał podsłuchiwanie za złe, ale wczoraj nie potrafił zrobić nic poza staniem pod drzwiami i rejestrowaniem, co o nim mówi żona. Dowiedział się, że ukochana ma go za napompowanego patosem głupca, który najchętniej ugania się za odznaczeniami i hołduje martwym tradycjom (oficer nie zrozumiał, co to znaczy). Że dopóki nie wybuchła wojna, był wręcz słodki i miły, a potem przestał się Vanessą całkowicie interesować. Na szczęście wtedy samotnej i opuszczonej przyszli na pomoc kochankowie. Charles czuł się niesamowicie upokorzony, tym bardziej, że służąca Vanessy wszystkiego słuchała. Dziewczyna zresztą i tak nie lubiła majora. Mężczyzna zdecydował się porozmawiać z żoną, nadal chcąc dać jej jeszcze jedną szansę. Rozpaczliwie szukał czegoś, aby usprawiedliwić kobietę i znaleźć powód, aby z nią została. W głębi serca jednak czuł, że małżeństwo prześlizguje mu się pomiędzy palcami.

Wszedł do sypialni. Vanessa siedziała przed toaletką i gładziła włosy, które dopiero co zostały ułożone przez pokojową.

– Czy możemy zostać sami? – zapytał major. Vanessa dała znak dziewczynie, aby odeszła.

– Nicholas zmusza cię do rozwodu ze mną? – powiedziała bez ogródek, wstając z miejsca. Charles zdziwił się bezpośredniością żony, a jednocześnie zasmucił, iż powiedziała to tak, jakby w ogóle o to nie dbała.

– Tak – przytaknął. – Widzę, że się domyśliłaś.

Vanessa głośno się zaśmiała.

– To żaden wyczyn, domyślić się, czego chce Nicholas. Nie znosi mnie. I jestem pełna podziwu, że ty nie masz wobec mnie podobnych odczuć.



– Kocham cię, Vanesso – powiedział zdecydowanie Charles. Potem podszedł do niej i chwycił ją za dłonie. – Jestem gotów ci wybaczyć i nie chcę się z tobą rozwodzić. Mam nadzieję, że ty ze mną również nie.

Kobieta przez chwilę milczała, spoglądając na twarz Charlesa i maskując swoje uczucia. W końcu w oczach Vanessy błysnęło szyderstwo. Wyrwała dłonie z uścisku i odeszła od mężczyzny.

– Nie wiem – odpowiedziała poważnie. Major odniósł wrażenie, jakby wylano na niego kubek zimnej wody. Mimowolnie zacisnął pięści. Czuł, jak z wolna narasta w nim agresja, złość.

– Rozumiem – odezwał się całkowicie opanowanym głosem. Już miał wychodzić, kiedy zdecydował się na dodanie jeszcze czegoś: – Rozumiem, iż to oznacza koniec naszego małżeństwa. Mniemam, że gdyby ci zależało, odpowiedziałabyś zupełnie inaczej. Od razu cię informuję, że to ty jesteś wszystkiemu winna. I zabieram Edwarda. Zostawię ci trochę pieniędzy. To wszystko, co mogę dla ciebie zrobić, choć tak naprawdę nie powinnaś dostać niczego. Wszystkim zajmiemy się po świętach. Możesz zostać. Albo wyjechać. Nie dbam o to. Żegnam.

Charles zamknął za sobą drzwi i z całych sił zacisnął pięści. Sztywnym krokiem udał się w kierunku galerii, nie mogąc znieść tego, co się teraz działo. Przepuszczenia i niepewności już go wykańczały, ale usłyszenie wprost, że nic już nie znaczy dla żony, było dla niego prawdziwym ciosem. Najgorsze okazało się to, iż nie znienawidził Vanessy od razu. Chciał tego za wszelką cenę, a mimo to serce mu krwawiło z powodu utraconej miłości. Charles kochał Vanessę do szaleństwa, był gotów dla niej na wszystko. W nocy, we Francji bardzo często o niej myślał. Być może akurat wtedy, kiedy ona była z kochankiem. Pisał do niej listy pełne miłości i tęsknoty. Jak na tacy wystawiał wszystkie swoje uczucia, a teraz czuł się zupełnie nagi. Listy, które w większości pozostawały bez odpowiedzi, których oficer z niecierpliwością oczekiwał. Na samą myśl poczuł jeszcze większą wściekłość. Miał wrażenie, że rozniesie go od środka. Szedł twardym krokiem po grubym dywanie, pragnąc wyjść na zewnątrz i się ochłodzić. W pewnym momencie zaczął słyszeć chlupot wody. Było jej więcej i więcej. Brodził w niej po kolana, zimnej i brudnej. Deszcz cały czas padał i nie zanosiło się na to, aby miało się wypogodzić. Idąc, oficer starał się o nic nie potknąć i nie przewrócić. Nagle usłyszał ostry dźwięk gwizdka – dowódca niemieckiego okopu nakazał atak. Charles przymknął oczy i wziął głęboki wdech. Kiedy otworzył oczy z powrotem stał na korytarzu.

Zrezygnował z wyjścia na zewnątrz. Niemalże pobiegł do swojego pokoju. Pragnął uwolnić się od otaczającej go rzeczywistości. Nie mógł dłużej czekać; czuł, że dłużej już nie wytrzyma. Wcześniej tylko marzył. Teraz wiedział, że zrobi to, co go tak kusilo. Weźmie brzytwę i uda się w podróż bez powrotu.



rys. Roman Panasiuk

# REKOPIS CMENTARNY

Krzysztof Katkowski

Kiedy mnie w końcu pochowano, wiedziałem już, że umarłem. Sen, który mnie zmorzył, okazał się wiecznym. Marzenia towarzyszące mojemu młodemu, zbłąkanemu sercu spowiała ogromna warstwa ziemi, która z wolna zaczęła już pokrywać me zwłoki. Elementy podłoża przedostały się do mojego nosa, a także wszelkich otworów, które dawniej zdobiły ciało.

Czerwie poczęły z zapamiętaniem wchodzić w wnętrze, powodując zgubny rozkład. Wpółotwarte usta cieszyły się zwiewnym napojem cmentarnych owadów... Tak, opanowała mnie Śmierć, potężna i niepokonana.

Zamieniła dawniej piękną, smukłą, choć jakby zniewieściałą ludzką powłokę w godny pożałowania obiekt rozpaczy tych, których niegdyś ośmielałem się nazywać bliskimi.

Mimo tych wszystkich na pozór przerażających procesów, które obróciły Piękno w istic demoniczną rzeźbę, nie czułem zupełnie n i c z e g o. Na butwienie dawniej tak żywego ciała patrzyłem teraz jakby z góry – stałem się Duchem, którego cierpienie pozostawało dla nikogo nieznanne; spoczywało w odległych krainach, niedostępnych dla zwykłego śmiertelnika.

Z początku mogłem jedynie obserwować moje ciało; jakkolwiek ruch był niemożliwy, z powodów bliżej mi do tej pory niezrozumiałych. Miałem przez to sposobność dokładniejszej obserwacji przerażającego rozkładu.

Jak wyglądałem? Pytanie to do tej pory, mimo że tyle lat upłynęło, wywołuje we mnie odrazę i pewnego rodzaju cierpienie, związane ze wspomnieniem tego, co dawno już minęło.

Znamiona śmierci, jeszcze kilka godzin wcześniej tak wyraźne, poczęły zanikać pod wpływem nienawistnej siły rozkładu. Rogówka zaczęła matowieć, zaś gałka oczna zwiotczała, powoli zapadając się do oczodołu. Oziębienie pośmiertne spowodowało bladeść, teraz jednak prawie niezauważalną przez postępujący proces *putrefactio*. Brzuch rozdarł się, prawdopodobnie jeszcze podczas sekcji; dało to łatwiejszy dostęp wszelkim czerwiom do jego wspaniałej zawartości. Wątroba wraz z trzustką jakby krzyczały o pomoc ku wszelkim bogom, wiedząc, że zostają skazane na wymarcie, gdy ich dawni towarzysze ziemskiej podróży – kości, nie ulegały podłym procesom gnicia. Wysoka wilgotność, która panowała na tym małym cmentarzu przyspieszała rozkład, postępowanie autolizy i przemiany w nędzną, ziemską materię! Słowa, których przez tak długi czas uczyłem się jako student medycyny, dziś ukazały mi się w całej swojej upiornej krasie.

Po kilku niekończących się godzinach, obrzydzony widokiem rozkładu samego siebie, zdecydowałem się uciec z grobowca; wyżyłem całą potęgę mojego umysłu i duszy, by tylko przedostać się wyżej. Czułem, jakby ciągnęło mnie coś do dołu; przemogłem to jednak, ponieważ Wola z każdą chwilą stawała się coraz potężniejsza. Dokonałem nadludzkiego wysiłku, jeśli cokolwiek, co mogłem teraz uczynić, można było nazywać słowami należącymi do popularnych wśród społeczeństwa.

Gdy wreszcie przedostałem się na zwykły, ziemski świat zmogła mnie nagle słabość czy też pewna dolegliwość, przez którą z trudem funkcjonowałem przy świetle. Z początku nie mogłem n i c dojrzeć; po chwili jednak udało mi się przemóc tę drobną przeszkodę.

Moim oczom, a dokładniej zmysłom, które z czystej Nudy zacząłem tak nazywać, ukazał się widok istic melancholijny. Miałem przed sobą piękny, stary cmentarz, pokryty mogiłami ludzi młodych i biednych; na niejednej z nich brakowało krzyża. Mój grobowiec, jeśli wierzyć zmysłom, pozostawał jedynym kamiennym w okolicy.

Początkowa radość, jakobym żył już tak jak inni, zmieniła się szybko w krwawą rozpacz; pojąłem niebawem, jako człowiek odczytany, że zawisłem w przekleństwie! Na nic się zdały wszelkie pieśni In Paradisum, żałobne marsze czy modlitwy wypowiedziane przez posępnego proboszcza! Wrota do raju pozostały dla mnie zamknięte. Dzięki niezbyt przerażającym grzechom nie zechciano mnie również w piekle...

Przyspieszyłem kroku, chcąc za wszelką cenę dostać się do miasta. Miałem w zamiarze prosić o pomoc u moich dawnych przyjaciół i ukochanych; księży i ludzi wszelkiej maści uduchowania. Moje kroki były większe i żwawsze niż jakiegokolwiek śmiertelnika... Obserwowałem ten proces z niejakim uśmiechem w duszy.

– Wiesz, że nikt cię teraz nie może dojrzeć? Zawisłeś w otchłani pomiędzy piekłem a niebem. Tak jak i ja, ku temu przekleństwu wiecznemu...

– Kim jesteś? – spytałem, zdziwiony, że ktokolwiek odzywa się do mnie. Mój towarzysz mówił głosem pewnym, jakby z wyższością; zdenerwowało mnie to, bałem się jednak pokazać tego po sobie.

– Obróć się... Nie ujrzesz mnie nigdzie! Nie towarzyszy mi już jakakolwiek materia – jestem jedynie Duchem. Możesz uciekać, lecz na cóż? Obaj cierpimy przez, jakby to powiedzieć... Tego samego gatunku chorobę. Ja również jestem na tym starym cmentarzysku, od kiedy wspaniały postrzał Kölderlina zabrał mnie ze sobą!

– Czy to...

– Podmiejski cmentarz dla wyklętych; takie przesłanie głoszą przynajmniej tablice tutaj też się znajdujące.

– Na Boga!

– Nie ma żadnych powodów do wzywania Jego imienia. Pozostał tylko nasz byt, zawieszony pomiędzy Niebem a Ziemią. Ucieczka jest jedynie złudzeniem; nikt nie dojrzy zranionej twarzy... Jedyne Bóg czy Szatan! Tak brzmią nasze ideały.

Na te słowa tajemniczej zjawy mimowolnie zadrżałem tym, co pozostało z mojego bytu. Przerazenie zagościło w pozostałościach dawnej potęgi Duszy, przeplatając się przy tym iluzją rozpaczliwego szloch. Zdusiło mnie niewyobrażalne cierpienie, którego nigdy dotąd nie zaznałem. Wszystko zaś miało płynąć ze świadomości, że nigdy nie będzie mi już dane ujrzeć i wypowiedzieć choćby jednego słowa do ludzi, którzy byli bliscy memu sercu; do kobiety, którą ukochałem miłością najsilniejszą, na jaką zdobyć się mogłem. Chciałem płakać, jednak nie mogłem wydusić żadnej łzy; zapomniałem, że świat materialny opuścił mnie wiele dni temu.

– Demonie! – krzyknąłem, działając pod wpływem jakiejś bliżej nieokreślonej siły, która w tamtej chwili spowiła me słowa; dziś śmiem żałować czynu, który wtedy, ku mojej zgubie, uczyniłem.

– Jestem jedynie stworzeniem, takim samym jak i ty. Zawisłem pomiędzy bytem a duchem boskim. Obu z nas spotkało to samo przekleństwo...!

Ach...! Niech będzie przeklęta decyzja, którą podjąłem, obawiając się tego tajemniczego przybysza! Przez tę na pozór banalną decyzję muszę pozostawać teraz wyklętym; bez nikogo, kto mógłby pobieżnie wysłuchać mych uczuć. Jestem zmuszony funkcjonować jako samotnik, o którym zapomniały wszelkie stworzenia, tak żyjące, jak i tej wspaniałej czynności pozbawione!

To, co dawniej mogłem nazywać słońcem, chyliło się ku upadkowi; pozostając więc w strachu, by przebywać po zmroku na cmentarzu, uciekłem... Nogi niosły mnie niczym bohatera bajeczek dla dzieci wielkiego von Chamisso; uciekałem przed jedynym stworzeniem, które mogło mnie zrozumieć i wesprzeć! Przez swoją egoistyczną, zachłanną rozpacz porzuciłem pozór tego, co mogło uczynić mnie szczęśliwym. Dziś jedynie umieram nadzieją, że może chociaż Szatan zechce mnie zabrać w swe hojne progi.

Tak, uciekałem! Pode mną drżała ziemia, zaś drzewa chyliły się ku upadkowi. Niosłem ze sobą burzę niczym jeden ze skandynawskich herosów, o których z taką pasją czytałem w dzieciństwie... Szczera rozpacz, a dokładniej zaś to, co m o g ę od tej pory nazywać tym świętym określeniem, prezentowała się jako zachłanne pioruny, swoją mocą niszczące kolejne lasy i domostwa. Ujrzałem przed sobą prawdziwą definicję Apokalipsy, nie wiedząc jednak, czy jest jedynie moim złudzeniem, czy wynikiem cierpienia.

Po dłuższej chwili tej na pozór niekończącej się podróży dotarłem do miejsca, które od wielu już lat należało do mojej starej, szanowanej rodziny. Jak zwykle tętniło życiem – kupcy sprzedawali towary, zakochani całowali się, zaś staruszkowie z wdziękiem popijali miejscowy alkohol.

Bez trudu znalazłem dom, gdzie dawniej mieszkałem wraz z moją rodziną. Był to piękny, wybudowany w iście średniowiecznym stylu budynek, drżący w posadach od pozornego przepychu. Jeśli mnie pamięć nie myli, pomalowany był na błękitno; z pewnością musiał być to któryś z odcieni znamienego koloru niebieskiego.

Przez drzwi domostwa wyszedł pospiesznie dosyć młody, barczysty mężczyzna, tytułujący się naszym proboszczem; był znany z płomiennych kazań, długich i sumiennych rozgrzeszeń oraz niewinnego nawyku rubasznych uwag odnośnie swoich podopiecznych.

Tamtego dnia uśmiechał się, najwyraźniej zadowolony z ubitego targu – świadczył o tym wyraz jego twarzy, która zastygła w grymasie uśmiechu typowego dla hipokryty.

Targany sprzecznymi uczuciami wpadłem do miejsca, które dawniej ośmielałem się nazywać moim domem. Nie zwracając najmniejszej uwagi na żałobne dekoracje, które spowiły jego wnętrze, trafiłem do salonu, skąd dobiegały odgłosy wskazujące na ożywioną rozmowę. Wiedziony ciekawością – ostatnią z cech ludzkich, które pozostały przy mnie, wpadłem tam, rozwierając drzwi na oścież... Chciałem krzyknąć, jednak nie wydobyłem z siebie jakiegokolwiek dźwięku; zostałem więc zmuszony zachować milczenie.

Cierpienie, które wtedy czułem, należało do najpotężniejszych, jakich kiedykolwiek doświadczyłem w swym życiu, tak ziemskim, jak i po utraceniu materialnej powłoki. Patrząc na mych najbliższych, spowitych odrażającym całunem żałoby, pragnąłem dać choćby minimalny znak świadczący o moim ciągłym istnieniu... Ku spotęgowaniu mojej męki, działania te spełzły jednak na niczym. Ach, jakże trudno jest mi przywoływać te okropne wspomnienia!

– Ja mogę pokryć koszty pogrzebu. Mi to nie robi większej różnicy, bo to dosyć mała suma... Ale w końcu sami wiecie. Ja mogę dalej pracować, i czynię to sumiennie (i do tego w stolicy!), a was spowiła już starość na tyle, że z trudem możecie nawet się ubrać. Rzecz jasna, to wasza decyzja... – powiedział opierający się na starannie rzeźbionym, hebanowym krześle mężczyzna, w którym rozpoznałem swojego starszego brata. Był on szanowanym lekarzem w stolicy, o czym świadczył choćby jego elegancki ubiór, a także utrzymane w nienagannym stanie wąsy i broda.

– Zapłaciłabym wszystko, gdyby tylko mój synek spoczął na normalnym, miejskim cmentarzu...! – odparła starsza kobieta, którą podczas mojej ziemskiej egzystencji nazywałem matką. Mówiła przez łzy, nie kończąc nawet swojej wypowiedzi, która została szybko przerwana przez szloch.

– Cicho siedź! – wrzasnął mój kochany staruszek, ojciec – To dla wszystkich nas tu zgromadzonych trudna chwila i nie mam zamiaru wysłuchiwać twoich jęków. Sam mam pod dostatkiem zmartwień, więc nie wymagaj ode mnie przyjęcia następnych. To ogromna strata, a także największa hańba dla naszego pradawnego, szlacheckiego rodu. Nie tylko ja czuję teraz ból przez to, co się wydarzyło kilka dni temu. Musimy szybko zapomnieć o hańbie, która nas spotkała... A jeśli chodzi o pogrzeb. To dosyć mała kwota, więc nie będę prosić o jakąkolwiek pożyczkę żadnego z was, drodzy krewni; ciebie też, mój drogi synu, to dotyczy. Pogrzeb się już odbył, zaś zapłaty dokonam w najbliższych dniach przez pośredników... Nie uważam, że jest to temat godzien dalszej uwagi – oznajmił mój ojciec,

popijając przy tym gorącą, turecką herbatę z filiżanki należącej jeszcze do jego pradziadka. Tamtego popołudnia prezentował się wyjątkowo groźnie; być może wpłynął na to posępny nastrój i ubiór.

Nie pamiętam już, jak dalej potoczyła się rozmowa. Zastanawiam się do tej pory, jakie słowa zmusiły mą udręczoną duszę do opuszczenia budynku, gdzie onegdaj mieścił się mój dom. Zapamiętałem jedynie, iż wychodząc, pełny byłem smutku, jednak nie aż tak potężnego, jak przed przekroczeniem progu mojego dawnego domostwa. Pełen sprzecznych uczuć udałem się znowu do centrum miasta, podświadomie pragnąc ujrzeć inne znajome twarze. Prawie że biegnąc, pokonywałem kolejne ulice i zaułki, chcąc jak najszybciej dotrzeć do celu podróży. W mojej duszy pojawiła się zapomniana już nostalgia i tęsknota... Cierpienie przemieniło się z nagłą we wspomnienie tego, co dawno minęło – rodziny, która przywdziała pozory żałoby po śmierci najmłodszego jej członka!

Jedynym uczuciem, jakiego wtedy pragnąłem, było zapadnięcie w niepamięć; uzyskanie wiecznej ulgi czy choćby chwilowego błogostanu. Radość, uprzednio tak przeze mnie odrzucana, stała się jedynym Marzeniem, na jakie zasługiwał mój byt! Chciałem... Musiałem zapomnieć o tym, co ongiś zmuszony już zostałem przeżyć. To, co kiedyś nazywałem pięknym, dostatnim życiem, było jedynie mieszaniną pozorów, przez które mogłem czasem doświadczyć uczucia Szczęścia. Materia, której dawniej mieniłem się niewolnikiem i wyznawcą, okazała się złudną; wszystko, do czego zmusiło mnie Przyzwyczajenie okazało się kłamstwem, w którym odwiecznie błądziłem! Ludzkości! Ciebie wielbiłem na próżno...

Mijając radosnych, śmiejących się przedstawicieli gatunku ludzkiego, płakałem w duszy, chcąc móc czynić to razem z nimi. Mimo że ujrzałem wtedy wielu znajomych mi mieszkańców naszego szacownego miasta, u nikogo z nich nie znalazłem najmniejszych śladów żałoby po mojej osobie, co zasmuciło mnie niezmiernie.

Po pewnym czasie, sam nie wiedząc, czyją mocą poprowadzony, trafiłem do domu, który znałem już nazbyt dobrze... Emanowało wręcz od niego potężnie nasiloną wonią kwiatów, jeśli się nie mylę – irysów; sam budynek prezentował się zaś jako przeciętnej elewacji kamieniczka. Wiedziony wspomnieniami, postanowiłem zajrzeć do tego zachwycającego dawniej me serce przybytku.

Pamiętając dobrze tę, którą przez większość ziemskiego życia kochałem, przedostałem się szybko do jej pokoju, chcąc ujrzeć jej piękną, melancholijną twarzyczkę chociaż po raz ostatni. Pierwszy raz od wielu ciągnących się godzin poczułem jakiś sens, cel przekłętej egzystencji. Oddałem się Nadziei, która pobudziła moją duszę do pozorów radości



i szczęścia. Z mieszanymi uczuciami oczekiwałem chwili, kiedy wreszcie mógłbym ją zobaczyć.

Wreszcie ukazała się. Przyszła zmęczona, ledwo trzymając się na pięknych, drobnych nogach. Zachwiała się.

Wyglądała wspaniale jak zawsze; a przynajmniej tak, jak ją widziałem po raz ostatni przed porzuceniem złudnej, materialnej powłoki. Z bladej twarzyczki emanowało coś w rodzaju smutku; to uczucie przeniosło się na melodię jakiejś melancholijnej, popularnej piosenki, którą podśpiewywała pod nosem. Obserwując jej czarowne oblicze, a także smukłą, idealną wręcz sylwetkę, doznawałem uczucia nieznanej śmiertelnikom rozkoszy, marząc o tym, co miałem przed sobą i zachłannie bawiąc się wspomnieniami.

Po chwili zrzuciła swą szatę zwiewną, pajęczą; niedbale zostawiła ją u swoich stóp. Następnie rozpuściła cudne, kruczoczarne włosy, w których dawniej gubiłem swoje pocałunki pełne namiętności i miłosnego wzburzenia. Opieszalym ruchem rozpięła elementy swojej już i tak wyjątkowo zubożałej garderoby. Ukazała się w poświacie Ideału, prezentując, co miała najpiękniejszym. Ciało, które mogło uchodzić za wzór dla autora słynnej Venus Victrix...

Pełen radości, spoglądałem na to dzieło boskiego geniuszu, które dawniej mogłem kochać i mieć u swego boku. Radowałem się, pocieszony tym zjawiskiem po jakże przykryj scenie w mym domu rodzinnym. Jak wspaniałym mogło być życie w tej chwili!

Zza okna słyszeć można było dziecięce krzyki i śpiewy; słońce świeciło jasno, jakby chcąc za wszelką cenę podkreślić swoją obecność. Z majestatycznego, emanującego zielenią drzewa uderzała wesołość, zwiastun młodego lata. Na jednej z gałęzi siedział stary, niedołączny kruk – lecz nikt nie zwracał na niego uwagi.

Tymczasem zawiął wiatr. Moja niegdysiejsza ukochana zamknęła szczelnie okno, po chwili uczyniła to samo z drzwiami. Wokół unosił się wszechobecny zapach irysów... Musiało być to tylko złudzenie, które zapanowało w pozostałościach mej wyobraźni. Czułem, jak z wolna dawna ma wybranka opada na krzesło, sięgając po pióro. Poczęła coś szybko zapisywać, jednak nie obchodziło mnie w najmniejszym choćby stopniu, co to mogło być; obserwowałem jedynie z radością majestatyczne ciało tej niesamowitej kobiety... Pełne prawie że dziewiczego powabu piersi; nogi o niewyobrażalnej wręcz gracji...

Po chwili wstała i podeszła do dębowego kredensu, przeszukując w pośpiechu szuflady, gdzie znajdowały się jej rzeczy osobiste. Czyniła to wyjątkowo energicznie, jednak z wdziękiem, który nadawał jej wyglądowi czystego wcielenia Piękna... Przedstawiała się jako stworzenie geniuszu, za które mógłbym z radością... umrzeć?

Wyjęła ze spokojem jakiś zawinięty w brudną szmatkę przedmiot, po czym uniosła go pod światło, jakby chcąc się przekonać, czy jest to obiekt jej poszukiwań. Pospiesznie odwinęła zawiniątko, ukazując... stalowy, błyszczący nóż!

Zanim zdążyłem zrobić cokolwiek, uniosła go wysoko, niczym kapłan unosi hostię podczas mszy; patrzyła w niego wzrokiem pełnym nadziei, marzenia... Uśmiechnęła się, po czym przyłożyła go sobie do szyi.

Szybkim i zdecydowanym ruchem przecięła cienką warstwę skóry, następnie zaś aorty; krew wytrysnęła z miejsca nacięcia. Coraz większy strumień powiększał plamę, która pojawiła się na obitej deskami podłodze.

Moja ukochana upadła z wolna, odsłaniając tym samym wyraźniej wnętrze gardła. Ideał zatonął w kałuży własnej krwi...

Przeżony, uciekłem. Tak, uciekłem przed Śmiercią, której częścią jestem! Dziś pławiąc się w tych okropnych wspomnieniach, mogę tylko tonąć we własnych wyobrażeniach Życia.

Rękopis ten, będący świadectwem przekleństwa, które mnie dotknęło, porzucam, nie chcąc dłużej spoglądać na słowa, które przyniosły jedynie ból. Bo dziś... Dziś świat, który dawniej znałem, spoczął na nędznych cmentarzach wkoło mnie!

# † ODPUŚĆ NAM NASZE WINY ‡

## GRZESZNA ANTOLOGIA

D. ADWENTOWSKA P. BOROWIEC  
P. CIELICZKO P. KARBOWSKI  
A. KWIATKOWSKA O. ROT M. ZYCHŁA

**HISTERIA**  
Wydawca: V. 1. 17

MAGAZYNHISTERIA.PL



YES



NO

SHRED PERSPECTIVES WORKS  
DESIGN



DARK ART  
AND DESIGN

GOOD BYE



# ODBICIE CZARNEGO KOTA

Martyna Major

*Once upon a midnight dreary, while I pondered, weak and weary,  
Over many a quaint and curious volume on forgotten lore,  
While I nodded, nearly napping, suddenly there came a tapping,  
As of some one gently rapping, rapping at my chamber door<sup>1</sup>.*

Świat rozwija się, cywilizacja postępuje naprzód, racząc aktualnie żyjących mnogością nowinek technologicznych i naukowych. Wydawać by się zatem mogło, iż ludzie będą odsuwać od siebie stare, nieprzystające do nowoczesności wierzenia, przesady i legendy. Jest jednak zgoła odwrotnie, bowiem istnieją one nadal, zakorzenione głęboko w umysłach i świadomości niemal każdego człowieka. Te dziwne, tajemnicze symbole trwają ukryte w pamięci każdego z nas, by w odpowiednim momencie wyjść na światło dzienne – tak, jak pukający do drzwi gość w przywołanym powyżej fragmencie poematu Edgara Allana Poeego.

Z ogromnego zbioru przesądów obficie czerpią autorzy dzieł sztuki, jak również utworów literackich i filmowych. Szczególnie zaś upodobała sobie temat literatura grozy, ponieważ wprowadzenie do akcji wierzeń i przesądów zbliża tekst do potencjalnego czytelnika, powoduje zderzenie fikcyjnych zdarzeń z pamięcią zbiorową i indywidualną. Wszyscy wierzymy w jakieś przesady, więc, pomimo racjonalnych przesłanek, zdarza się nam

---

1

☞ E. A. Poe, *The Raven*, [w:] tegoż, *Poetry and Tales*, New York 1984. Poniżej zamieszczam tłumaczenie tekstu autorstwa Stanisława Barańczaka: *w głuchą północ, w snów tumanie, gdy znużyło mnie dumanie/ Nad księgami zapomnianej magii, znanej w dawnych dniach,/ Chyląc głowę nad folialem, niespodzianie usłyszałem/ Chrobot, jakby ktoś nieśmiałym palcem skrobał znak na drzwiach.* Zob. E. A. Poe, *Poezje*, Toruń 1995.

dać wiarę wydarzeniom fikcyjnym, które swój fenomen opierają na wspólnym dla danej społeczności zbiorze wyobrażeń.

Literatura grozy staje się specyficznym tworem, przystosowanym do wykorzystania różnego rodzaju przesądów i wierzeń, ponieważ oddziałuje ona nie na umysł człowieka i jego racjonalne podejście do otaczającej rzeczywistości, lecz raczej na sferę emocjonalną. Ta irracjonalna strona natury ludzkiej jest natomiast bardziej otwarta na dostrzeganie i akceptowanie tego, co nie posiada rozumnego wytłumaczenia. Odwołań do przesądów, wierzeń ludowych i mitów, propagowanych przez konkretne zbiorowości, można doszukiwać się w utworach wielu twórców literatury grozy. Myślę, że w tym miejscu warto odnieść się do jednego z najwybitniejszych amerykańskich prozaików, słusznie nazywanego ojcem tamtejszej literatury grozy – Edgara Allana Poeego. *Opowieści niesamowite* Poeego stanowią dobry przykład budowania pewnych koncepcji tekstotwórczych na znanych szerokiemu gronu odbiorców wierzeniach. Prawdopodobnie istotną rolę w takim ukształtowaniu pisarstwa amerykańskiego prozaika odegrał czas, w którym przyszło mu żyć. Pierwsza połowa XIX wieku to okres rozkwitu europejskiego romantyzmu, postulującego odwołanie do uczuciowości i natury. Autor *Kruka*, jako jeden z twórców amerykańskiego romantyzmu może zatem wpisywać się w tę strategię kreacyjną, podkreślając w swoich opowieściach grozy sferę duchową, zapominając zaś niejednokrotnie o racjonalizmie i realizmie.

W twórczości prozatorskiej autora *Ligei* odnaleźć możemy dwa bardzo charakterystyczne motywy związane ze znanymi przesądami: pechowego czarnego kota oraz zwodniczą moc zwierciadła. Charakteryzują się one odmiennym sposobem istnienia w obrębie tekstu. Pierwszy jest dany czytelnikowi bezpośrednio – już poprzez tytuł opowiadania. Lecz równocześnie należy wniknąć głębiej w specyficzne wydarzenia rozgrywające się w noweli, by dostrzec, kto odpowiedzialny jest za klęskę narratora. W drugim przypadku nawiązanie do przesądu jest ukryte nieco głębiej. Poe wykorzystuje wierzenia dotyczące lustra, lecz przekształca je, oddając rolę zwierciadła wyjątkowo realistycznemu malowidłu. Czytelnik ma szansę dostrzec tę zależność dopiero po zapoznaniu się z całością noweli, jej przemyśleniu i zrozumieniu ukrytego w niej sensu.

Przesąd dotyczący wpływu czarnego kota na życie ludzi jest jednym z najstarszych wierzeń ludzkości. Jest on znany niemal na całym świecie. Choć zmieniają się nieco szczegóły, m.in. sposób zachowania zwierzęcia, nadrzędny sens pozostaje niezmienny: czarny kot przynosi pecha oraz ściąga nieszczęście na osobę, która go posiada, zobaczy czy nieopatrnie przestąpi drogę, po której uprzednio szedł. Czarne koty towarzyszyły wielu bóstwom, m.in. skandynawskiej bogini Freyji, która przybyła do krainy ludzi powozem

zaprzężonym w dwa koty właśnie tej barwy. Dlatego też stopniowo odchodząca od wierzeń politeistycznych na rzecz monoteistycznej religii ludzkość odcinała się od tematyki czarnego kota, uznając go za wymowny symbol wiary, która przeminęła, lub też za towarzysza kobiet parających się czarną (słowo to oczywiście warte jest podkreślenia!) magią.

Czarny kolor odgrywa u Poe'go niezwykle ważną rolę. Niemal wszystkie opowiadania grozy autora *Kruka* rozgrywają się nocą, w ciemnych, tajemniczych przestrzeniach. Nie jest więc faktem zaskakującym, iż opisany w opowiadaniu *Czarny kot* zwierzak zyskuje właśnie tę barwę. Jednakże dokładne prześledzenie akcji samego utworu pozwala dostrzec inny cel autora, którym wydaje się odwołanie do symboliki czarnego kota. Zwierzę z opowieści Poe'go początkowo ukazane jest jako niezwykle przyjazny oraz miły towarzysz narratora. Stopniowo staje się ono powodem wszelkich nieszczęść młodego mężczyzny. Można uznać, iż to właśnie obecność zniechęconego zwierzęcia przyczynia się do dokonania tragicznego w skutkach czynu – zabójstwa żony.

Poe konstruuje w swoim opowiadaniu dwie postaci czarnego kota. Pierwszy to ofiara nałogu alkoholowego głównego bohatera, drugi to specyficznie przedstawiony mściciel, mający dokonać zemsty za cierpienia poprzedniego zwierzęcia. Pierwszy kot – posiadający wdzięczne imię Pluton – ukazany jest jako przyjaciel i towarzysz narratora. Dopiero działanie, którego bohater dopuszcza się pod wpływem alkoholu – wylupienie kotu oka, powoduje stopniową utratę przyjaznych uczuć opowiadającego, jego rosnącą nienawiść do zwierzęcia wywołaną wyrzutami sumienia i poczuciem winy. Ostatecznie narrator zabija pupila, lecz czuje przez to ogromne wyrzuty sumienia. Szuka zatem drugiego kota, który mógłby zadośćuczynić pustce stworzonej poprzez śmierć ulubieńca.

Działania narratora mające na celu próbę odkupienia win względem Plutona są tylko zręcznie skonstruowaną fikcją, bowiem ostatecznie to kot-mściciel „pozwała się zauważyć”. Panowanie nad tym (oraz niewątpliwie kolejnymi) wydarzeniem w opowieści oddane zostaje zwierzęciu. Narrator wydaje się w tym momencie zaledwie statystą wykonującym nieme rozkazy kota. Fakt, iż zwierzę pojawia się właśnie w tej tawernie, w której upija się bohater, nie jest dziełem przypadku. Nikt nie zna kota, co wskazuje, że nigdy wcześniej nie pojawiał się on w szynku. Założenie, iż tej konkretnej nocy znalazł się tam przypadkiem i – również przypadkowo – siedział na jednej z beczek, patrząc wyczekująco na młodego mężczyznę, wydaje się bardzo mało przekonujące. Należy zatem uznać celowość działań kota, dokładne przemyślenia i plan dotyczący dalszych wydarzeń.

Następca Plutona staje się swoistym wcieleniem postaci demonicznego, złego czarnego kota, zmieniającego życie człowieka w piekło. Kot jest bowiem powodem stopniowego

popadania narratora w obłąd prowadzący do potwornego zabójstwa. Przyjęte przez bohatera zwierzę nie przyczynia się swoim zachowaniem do szybkiego wzrostu niechęci nowego właściciela, jego gniewu czy odrazy. Wręcz przeciwnie, kot: *oblaskawił się łatwo i stał się wielkim ulubieńcem mojej [narratora – przyp. aut.] żony* (ON, s. 112). Jednak główny bohater odczytuje zachowanie zwierzęcia nieco inaczej. Narrator wspomina, że:

*...pomimo odrazy, jaką czułem do kota, przychyłność jego ku mnie zdawała się zwiększać. Nie odstępował mnie ani na krok z trudnym do zrozumienia uporem. Gdym siadał, zwił się w kłębek pod mym krzesłem lub wskakiwał mi na kolana, darząc mnie swymi ohydnyymi pieszczotami. [...] Byłbym go wówczas najchętniej uśmiercił jednym uderzeniem, lecz wstrzymywała mnie od tego po części pamięć dawniejszego występku, głównie zaś – niech mi będzie wolno wyznać od razu – istna trwoga przed tym zwierzęciem* (ON, s. 114).

Autor powyższych słów czuje obawę względem nowego pupila, boi się, że kot rzeczywiście stanowi odpowiedź na popełnione przez niego uprzednio czyny, m.in. zabójstwo Plutona.

Już sam wygląd kota powoduje ogromne wyrzuty sumienia bohatera oraz jego złe samopoczucie. Zwierzak ma bowiem na piersi znamię przypominające kształtem szubienicę. Świadomość narratora, iż każdego dnia musi patrzeć na bliznę w kształcie przedmiotu, poprzez który doprowadził do śmierci poprzedniego ulubieńca, powoduje zmianę w jego zachowaniu i podejściu do przygarniętego kota. Dodatkowo następca Plutona, podobnie jak jego poprzednik, posiada tylko jedno oko. Odkrycie tego faktu, do którego dochodzi już po przyniesieniu kota do domu, napawa bohatera grozą i bojaźnią przed zwierzęciem. Obecność nowego towarzysza przekształca się w karę za popełnione czyny.

Bodźcem, który potęguje strach narratora wydaje się być również pamięć o poczynionej przez żonę uwadze na temat mistycznego wymiaru egzystencji kota. Otóż bohater w początkowej części opowieści wspomina, iż jego żona: *czyniła nieraz aluzje do starodawnego, ludowego zabobonu, wedle którego wszystkie koty są przedzierzgnionymi w zwierzęta czarownicami* (ON, s. 110). Świadomość, iż koty identyfikowane są z posiadającymi dar magiczny kobietami zwiększa obawy względem nowego pupila. Poprzez pogląd żony bohatera wprowadzony zostaje do tekstu opowieści, tym razem w sposób bezpośredni, pewien aspekt przesądności. Narrator przytacza go w sposób żartobliwy, lecz równocześnie daje sygnał, iż przesąd ów jest mu znany. Uznawanie kota za kolejne wcielenie czarownicy nadaje zwierzęciu specyficzne znaczenie, konotuje skojarzenia z mądrością, tajemną wiedzą oraz mocą, jaką może dysponować zwierzę.



Czarny kot sprowadza na narratora ostateczną zgubę. W czasie wędrówki po piwnicznych schodach pupil ściąga na siebie gniew właściciela. W amoku bohater zabija żonę, starając się obronić niewinne zwierzę, co staje się powodem całkowitej klęski życiowej mówiącego w opowiadaniu mężczyzny. Zniknięcie z akcji utworu czarnego kota, następujące bezpośrednio po zbrodni, zdaje się potwierdzać ideę zemsty przyświecającą zwierzęciu. Podkreśla je również dalszy rozwój wypadków, ponieważ to właśnie dzięki odgłosom wydawanym przez zwierzę przeszukujący piwnicę śledczy odkrywają zwłoki. Podwójny morderca (przypomnijmy uprzednie powieszenie kota) trafia do aresztu, by odbyć zasłużoną karę.

W przedstawionym powyżej tekście kot spełnia idealnie swoje wynikające z przesądu zadanie. Spotkanie pierwszego zwierzęcia – Plutona oraz negatywne zachowanie względem niego powoduje pasmo niepowodzeń w życiu głównego bohatera, prowadzące do wielu haniebnych czynów. Drugi kot zostaje wprowadzony do opowieści jako postać mszcząca pierwsze zwierzę, zwiastująca zapowiedź kolejnych nieszczęść. Nie sposób dokładnie określać, jaki jest wkład samego narratora w procesie stopniowego gubienia własnej osobowości i sumienia, jaką zaś rolę spełnia w całej opowieści Pluton. Do zguby bohatera przyczynia się jego złe postępowanie względem pierwszego kota, podsycane chorobą alkoholową. Biorąc jednak pod uwagę wcześniejsze założenia, iż pojawienie się nowego kota nie jest dziełem przypadku, lecz raczej dokładnie zaplanowanym posunięciem, rola narratora wydaje się raczej znikoma i wątpliwa.

Pierwszy z przywoływanych tekstów Poeego odnosił się do wierzenia traktującego o żywym stworzeniu. Drugi dotyczy przedmiotu, charakteryzującego się bardzo bogatym symbolicznym znaczeniem. Przedmiotem tym jest lustro. Zwierciadło nie pojawia się w żadnym z utworów autora *Ligei* bezpośrednio. Zostaje ono, dokładnie zaś jego symbolika związana z przesądami, zręcznie ukryte pod postacią obrazu. Jedno z najkrótszych opowiadań autora *Kruka* zatytułowane *Portret owalny* wydaje się idealnym odwzorowaniem wierzeń dotyczących wyniszczającej mocy luster.

Nowela bazuje na koncepcji opowieści szkatułkowej – narrator opowiadania czyta przekaz historyczny na temat komnaty, w której przypadkowo zatrzymuje się na noc. Mamy zatem do czynienia z dwiema płaszczyznami akcji utworu. Pierwszą jest czas spędzany z opuszczonym zamku, umilany podziwianiem malowideł i lekturą, drugą – wywołująca uczucie strachu historia pięknej kobiety i zakochanego w niej artysty.

Uwaga narratora skupia się na wyjątkowo realistycznym malowidle, znajdującym się u wezgłowia wystawnego łoża. Owalny portret przedstawia młodą, piękną dziewczynę.

Bohater dostrzega, iż *czar malowidła polega na żywotności wyrazu, który jest bezwzględny równoważnikiem samego życia* (ON, s. 56). Obraz ten jest tak żywy, w idealny sposób odwzorowujący rysy przedstawionej na nim kobiety, iż wydaje się, jakby piękna dama miała za chwilę wyjść z jego ram i rozpocząć rozmowę z bohaterem. Ta specyficzna obserwacja wywołuje w narratorsze mieszane uczucia. W utworze możemy przeczytać wypowiedź bohatera, który mówi: *[obraz – przyp. aut.] od pierwszego wejrzenia przejął mnie dreszczem i ostatecznie – stropił, ujarzmił, przeraził. Z głębokim strachem usunąłem świecznik na dawne miejsce* (ON, s. 56). Ów głęboki strach powodowany jest prawdopodobnie przeczuciem, iż dusza młodej dziewczyny sportretowanej na malowidle nadal pozostaje zamknięta w ramach obrazu. Bohater mimowolnie dostrzega tę zależność, choć nie zna jeszcze opowieści, która zapisana została w leżącej nieopodal książeczce – opisie i ocenie zgromadzonych w komnacie dzieł.

Historia, którą odczytuje późną nocą narrator opowiadania dotyczy właśnie kwestii stopniowego przelewania duszy modelki na obraz. Młody malarz, do szaleństwa zakochany w dwóch rzeczach: sztuce oraz swojej uroczej żonie, pragnie namalować najpiękniejszy z portretów ukochanej. Jednak każde pociągnięcie pędzla powoduje osłabienie sił witalnych małżonki. Stopniowo, lecz konsekwentnie piękna kobieta słabnie, zaczyna chorować, zanikać. Ostatnia plamka dodana przez malarza oznacza śmierć modelki. Podobnie jak lustro zamyka w sobie duszę przeglądającej się w nim osoby, tak stworzony przez artystę obraz wchłania w siebie siły witalne przedstawionej na nim kobiety.

Powiązanie przeczytanej przez narratora historii z symboliką lustra okaże się łatwiejsze do zrozumienia w sytuacji, gdy weźmiemy pod uwagę jeden z wielu przesądów dotyczących zwodniczej siły zwierciadła. Otóż lustro uznawane jest za przedmiot wyjątkowy w wielu kulturach na całym świecie. Mieszkańcy Wielkiej Brytanii wierzą, że każde spojrzenie w lustro powoduje zamknięcie małej części ludzkiej duszy wewnątrz zwierciadła. Chińczycy, podobnie jak przedstawiciele wielu innych narodowości, zasłaniają wszystkie lustra w domu zmarłego, odcinając tym samym duszy dawnego mieszkańca powrót do miejsca, gdzie spędził część swojego życia. Nowela amerykańskiego pisarza nawiązuje do obu tych wierzeń, ponieważ opiera się na wizji człowieczej duszy ukrytej wewnątrz przedmiotu – w przypadku *Portretu owalnego* w odwzorowującym piękno kobiety malowidle.

Należy przyznać, iż sposób przedstawienia historii młodej żony i męża-malarza różni się nieco od powszechnie znanego przesądu dotyczącego zwierciadeł, bowiem w przypadku opowieści Poego pojawia się osoba pośrednika. Malarz przyczynia się do śmierci ukochanej, ponieważ to on przelewa jej życie na płótno. Lecz jednocześnie nie sposób nie zwrócić uwagi

na omamiającą siłę sztuki, która zniewala mężczyznę i nie pozwala mu dostrzec stopniowego obumierania ukochanej. To sztuka, będąca raczej ideą niż realnie istniejącym bytem zmusza go do kolejnych dni tworzenia arcydzieła. W większości wersji przesądu (różniącego się nieznacznie w odmiennych kręgach kulturowych) rolę działającego przedmiotu odgrywa lustro – przekształcając się dzięki temu w byt niemalże ożywiony. Panuje ono nad życiem i istnieniem duszy, zamkniętej w jego ramach. Można zatem powiedzieć, iż zyskuje dzięki temu ogromną moc, dorównującą na pewno człowiekowi, a może nawet Bogu.

Groza *Portretu owalnego* przejawia się przede wszystkim w otwartym – niedopowiedzianym, zakończeniu opowieści. Narrator zapoznaje się z historią powstania portretu. Wiemy już, że jest przejęty strachem, obawą, złymi przeczuciami, motywowanymi obecnością dziwnego malowidła. Poe nie pozwala czytelnikowi poznać dalszych losów bohatera. Zabieg taki powoduje różnorodne koncepcje kontynuacji opowieści, łącznie z pomysłem dotyczącym młodej dziewczyny wychodzącej z ram portretu. Autor *Kruka* świadomie pozostawia otwarte zakończenie, licząc na pomysłowość i wyobraźnię odbiorców swojego tekstu. A my – czytelnicy, naznaczeni świadomością kulturową, wyposażającą nas w bogaty repertuar wierzeń, przesądów, zabobonów, czujemy niepewność i specyficzny rodzaj strachu. Któż bowiem z nas nie widział choć raz bardzo realistycznego obrazu?

Zaprezentowane motywy nie wyczerpują bynajmniej możliwości poszukiwań relacji *Opowieści niesamowitych*, oraz – może nawet w większym stopniu – twórczości poetyckiej Edgara Allana Poeego, z szeroko pojmowanymi przesądami i wierzeniami. Problematyka ta stanowi szerokie pole badawcze, zwłaszcza w odniesieniu do mnogości kultur, obfitujących w wiele przedmiotów, działań, zabiegów, podnoszonych do rangi przesądów. Powyższy tekst raczej dotyka, aniżeli całościowo bada problem przesądności autora *Ligei* oraz jego zabiegów, polegających na umiejętnym wykorzystywaniu wierzeń ludowych dla podniesienia „niesamowitości” opowiadań i nowel. Podobne wnioski wysnuć można w oparciu o twórczość innych autorów, nawet jeżeli pochodzą oni z całkowicie odmiennych kręgów kulturowych. Pisarze odwołują się do przesądów świadomie – pragnąc uczynić swój tekst bliższym dla czytelnika, lub też podświadomie – prowadzeni przez nieświadomione sygnały wpływające z wpojonych im nauk i wierzeń. Szukanie powodów i motywacji nie jest w tym przypadku istotne. Literatura grozy musi straszyć i wywoływać lęk, więc posługuje się narzędziami, które zapewniają jej skuteczność. Czytelnikowi pozostaje tylko czytać – z uczuciem niepokoju oraz przeczuciem, że ktoś nas obserwuje i nieustannie patrzy...

Przytoczone cytaty pochodzą z następujących wydań utworów Edgara Allana Poeego:

E. A. Poe, *Opowieści niesamowite*, Wrocław 1997.

E. A. Poe, *Poetry and Tales*, New York 1984.

E. A. Poe, *Poezje*, Toruń 1995.

# PARTNERZY



## STRASZNE-HISTORIE.PL

ODWAŻYSZ SIĘ?!



HORROR.COM.PL



StephenKing.pl



CREATIO  
FANTASTICA



WWW.CREATIO.ART.PL

Horror  
na Roztoczu





Jeśli  
piszesz  
horro-  
ry,  
wiedz,  
że HIS-  
TERIA  
się  
tobą  
intere-  
suje

Czekamy na Wasze historie! Zakres tematyczny jest bardzo szeroki. Im bardziej będziemy się bać czytając Wasze prace, tym lepiej.  
Długość tekstów od 5 do 15 stron znormalizowanego maszynopisu (1800 znaków ze spacjami na stronie).

Teksty należy przesyłać na adres:

[magazynhisteria@gmail.com](mailto:magazynhisteria@gmail.com)

